

HELENA SEKUŁA

Pierścień Kalifa



1.

– Kalif cię wzywa.

– Co się stało?!

– Mnie się nie zwierzał. Wsiadaj – ostatnie słowo zagłuszył huk boeinga startującego do Toronto, nabierał szybkości nad lotniskiem.

– Na pewno mówił o mnie?

– Nie pytaj głupio.

Moje niezbyt sensowne odezwanie wynikało z porażającego lęku o Kalifa i zaskoczenia. Wywołał mnie przez radiotelefon dyżurny inspektor personelu naziemnego.

– Zgłosił się ktoś od twojej siostry. Czeka przy wejściu dla pracowników.

Właściwie regulamin nie zezwalał załodze na opuszczanie wyznaczonego sektora po przekroczeniu umownej granicy, lecz zakaz należał do słowa pisanego. W rzeczywistości nieraz stewardesy musiały osobiście interweniować w cateringu znajdującym się poza terenem portu, beznadziejnej prowizorce nie mającej wiele wspólnego z prawdziwym przemysłem przygotowującym posiłki wydawane na pokładach. Poza wszystkimi mankamentami łączność z owym działem funkcjonowała źle albo wcale. Ostatecznie tą samą drogą można było wyjść i do rodziny. Rodziny nachodziły pracowników wyjątkowo, na ogół z powodu leków nie do zdobycia w kraju.

– Od siostry?

– Od siostry – potwierdził inspektor.

Ukryłam zdziwienie. Odkąd wymówiła mi rozkładane łóżko w swoim domu, odwiedziłam ich jeden raz. Umyślnie poszłam w służbowym uniformie. Nie omyliłam się, zrobił wrażenie niebieski kostium ozdobiony złotym galonem z emblematami linii lotniczej, złote spinki w mankietach bluzki z prawdziwej popeliny. Tylko że mój ubiór skojarzyła z milicyjnym mundurem i chciała wiedzieć, co to za glińska formacja taka elegancka, chociaż inny był krój i odcień błękitu – jednolity, od czółenek po kepi z otokiem haftowanym złotą nicią.

– Stewardesa? Aha, taka samolotowa kelnerka – skwitowała wyjaśnienie. – Jeździsz za granicę, dokąd?

– Berlin, Kolonia, Londyn – nie mogłam się oprzeć wyliczeniu olśniewająco brzmiących imion miast w wielkim świecie, których ona nigdy nie zobaczy inaczej niż w telewizorze po kawałku.

Prawdę mówiąc, ja z tego świata widywałam przeważnie terminale, strefy bezcłowe, magazyny hurtu i noclegownię w Londynie, skąd następnego rana powtarzaliśmy tę samą trasę do Warszawy. Załogi maszyn dalekiego zasięgu okrążające w jednym rejsie niemal kulę ziemską naszą caravele przezywały dorożką.

Wielki świat nie zrobił na siostrze wrażenia, tylko wywołał odruch praktyczny.

– Chwała Bogu, masz nareszcie prawdziwe zajęcie, twoja poprzednia praca ni z pierza, ni z mięsa, w ogóle dla obiboków. Ale teraz przywiozłabyś chociaż zimowe trzewiki dzieciom. W handlu nie ma butów, na komis nie ma pieniędzy.

Był środek lat osiemdziesiątych, panowała inflacja i dotkliwy brak właściwie wszystkiego. Istniały trzy możliwości zdobycia rzeczy niezbędnych. Staż w kolejkach pod sklepami liczący się już nie w godzinach, ale na dni i noce, łapówki dla sklepowej, albo kupno po drakońskich cenach na Wolumenie lub bazarze Różyckiego, najpopularniejszych wówczas targowiskach.

Wzięłam miarki odrysowane na papierze według wyściółek z noszonego przez malców obuwia. Wyświadczenie przysługi sprzyjało moim rachubom. Dobrze nastrajała siostrę perspektywa bucików, poza tym wciąż jeszcze dręczył ją sposób, w jaki mnie usunęła ze swojego domu. Nie była zła, tylko zaharowana i zamknięta w klatce wciąż ubożającego budżetu.

– Mam do ciebie prośbę. Dostałam miejsce w hotelu portowym, ale zameldowana wolałabym nadal pozostać u was. Częściej mnie nie ma, niż jestem, paczka czy jakaś wiadomość zawsze pewniejsza u swoich.

Mnie nie robiło różnicy, Kalifowi jednak zależało, abym nie pozostawiała śladu obecności w lokalu przy Zarankiewicza, gdzie mieszkaliśmy. Z tego powodu opłacałam również łóżko w trzyosobowym pokoju noclegowni dla personelu latającego, gdzie sypiałam przed rejsem. Nie traciłam wtedy czasu na dojazdy, chociaż nie uważałabym ich za uciążliwe. Ale tak zdecydował Kalif i kazał pozostać przy poprzednim meldunku, zapisanym także w moim paszporcie i świeżym patencie stewardesy.

– Pewno, co rodzina, to rodzina – zgodziła się siostra ucieszona, że między nami nie ma już mojego żalu i jej poczucia winy. Nareszcie samodzielna przestałam zagrażać jej metrażowi, a jeszcze kapnie im co nieco z mojej dobrej posady.

Teraz więc, gdy inspektor zawiadomił o posłańcu od siostry, pomyślałam: pewnie w

sprawie obiecanych albo jeszcze dodatkowych bucików. Daj palec, złapią rękę. Ale nie ona, tylko Kalif posłużył się rodzinnym kamuflażem i przysłał po mnie ludzi, bowiem ani on, ani Jasny w moim towarzystwie nie pokazywali się nawet w okolicach lotniska.

Nigdy przedtem nie widziałam mężczyzny siedzącego za kierownicą. Fakt ów nie wywołał żadnej refleksji, poza Jasnym Kalif izolował mnie skutecznie od swojego środowiska.

– Wsiadaj, inaczej nie zdążysz na lot – odezwał się drugi z tylnego siedzenia, wyglądający jak starsza kopia szofera. Upodabniał ich strój. Obaj nosili komplety z marmurkowego dżinsu, białe skarpetki i mokasyny typu college, mimikrę młodych mężczyzn wczesnych lat osiemdziesiątych.

– Powiedźcie, o co chodzi – upierałam się. Do odlotu pozostała godzina, Kalif znał czas startu. Nie do pomyślenia było, abym zeszła z pokładu i nie stawiała się na swój kurs. Mnie nikt nie był w stanie zastąpić. Nie mogłam na nikogo scedować Amfi.

– Kalif miał ciężki wypadek.

Runęło niebo na głowę. Zabrakło głosu, siebie odczułam jak kloc drewna nie mogący nawet skrzywić ust do płaczu, ponieważ nie ma ust, nie ma krtani ni strun do krzyku. Kochałam Kalifa, niewolniczo oddana. Nie podlegał ocenie, nie podlegał porównaniom. Wartość sama w sobie i punkt odniesienia.

– Gdzie jesteśmy? – myśli i odczucia były przy nim, ostatnie, co dostrzegłam, to czerwone światło w alei Krakowskiej przy jakimś skrzyżowaniu i później już nic. Auto toczyło się bez przyhamowań, teraz między lasem wiódł gładki asfalt, pęd wozu jak gdyby rozcinał i odkładał na boki lite zielonorude ściany. Uniosłam się trochę, zza ramienia kierowcy spjrzałam na szybkościomierz, strzałka dochodziła do dwustu.

– Zaraz będziemy na miejscu – starszy energicznie pociągnął mnie z powrotem.

– Spóźnię się na rejs – spjrzałam na zegarek, za pół godziny startował mój samolot.

– Zamknij się – powiedział znad kierownicy młodszy. Właśnie zabrzmiał sygnał Ci-bi. Starszy przechylił się przez oparcie, wziął bezprzewodowy telefon.

– ...wszystko w porządku...Over – zakończył rozmowę z angielska, położył aparat obok na siedzeniu.

– Co z Kalifem?

– Bez zmian. Po drodze bierzemy lekarza.

– Boże! Co to za wypadek, gdzie jest Kalif, dlaczego nie w szpitalu! Trzeba natychmiast wezwać pogotowie – sięgnęłam po Ci-bi.

– Jest przy nim doktor. Potrzebny specjalista. Zdarzają się sytuacje, kiedy należy

unikać oficjalnej medycyny, i to jest właśnie taka sytuacja – ścisnął mój nadgarstek, z martwiejących palców wypuściłam aparat.

Zegarek na moim przegubie ściagał się z samochodem. Wskazówki nawlekały sekundy, minuty, kwadranse. Myślałam o Kalifie, przestał obchodzić start samolotu, lecz ładunek Amfi był stałą troską Kalifa. Wypląnęły z pamięci jego słowa:

– Na nieprzewidzianą okoliczność zapamiętaj numer telefonu. Nie, nigdzie nie zapisuj. Gdybyś z jakichś względów nie mogła polecieć. Rozumiesz? Przeszkoda nie do pokonania. Ujawniona w ostatniej chwili. Amfi nie może pozostać bez opieki.

Amfi nie może pozostać bez opieki.

– Nie zdążę na samolot!

– Zdążysz. W najgorszym wypadku obejdą się bez ciebie.

– Muszę natychmiast rozmawiać z Warszawą.

– Z tego aparatu dyspozycje przyjmowane są wyłącznie ode mnie. Bezpośredniego połączenia z miastem nie ma.

– Pilne! Zastępstwo na lot... – podyktowałam cyfry. Starszy wiernie powtórzył moje hasło do membrany. – Over.

Myślami wróciłam do Kalifa.

Odkąd zaczęłam pracować w Air Madala, widywaliśmy się rzadko. Już nie wynajmowałam apartamentu w Forum, jak wówczas, gdyśmy się poznali. Wciąż w rozjazdach, istny komiwojażer. Zawsze wracał do naszego domu, czyli mieszkania przy Zarankiewicza, własności, jak głosił formalny zapis, człowieka, którego nigdy nie zobaczyłam.

Moje służby i nieobecności Kalifa układały się przemiennie, gdy miałam wolne, jego przeważnie nie było i nigdy nie zawiadamiał o przyjściu. Spadał jak meteor. Zaczynało się święto. Przeważnie krótkotrwałe, bo albo ja miałam zaraz dyżur, albo on swoją pogoń za biznesem – tak nazywał wieczne wędrówki bez udzielania o nich bliższych wiadomości.

Air Madala płaciły dobrze. Szybko przywykłam do godziwego standardu. Wydawałam wszystko, marzyłam o zwyczajnym życiu, niemożliwym z Kalifem. On kochał swoją niespokojną egzystencję.

– Pochodzę z nomadów. Ruch jest moim żywiołem, jeśli zostanę na miejscu, znaczy umarłem – odpowiedział swoją nie pozbawioną wdzięku, trudną polszczyzną na delikatną uwagę, aby chociaż trochę zwolnił tempo.

Dla siebie nie śmiałabym nawet wspomnieć o jakichś koncesjach. Zresztą akurat przy moim zajęciu nie mogło być mowy o żadnych ulgach. Albo obowiązujący limit rejsów, albo wcale. Bez żalu zrezygnowałabym z owej elitarniej pracy, gdyby Kalif rzekł słowo, lecz on

tego słowa nigdy nie powiedział. Nie po to wyłożył masę pieniędzy na moje szkolenie i łapówki dla urzędników wystawiających dokumenty.

Ta funkcja tylko z daleka wydawała się nieustannym festiwalem, rzeczywistość okazała się ciężkim dniem powszednim. Stewardesa nie może być zmęczona, smutna, w niedobrym nastroju. Kłopoty, zawody miłosne, kłótnie z kochankiem, kac, chandra, w ogóle życie osoby samotnej – zameżne kobiety są wyjątkami w tej profesji – wszystko, co nie dotyczy obowiązków zawodowych, musi zostać przed wejściem do samolotu.

Dzień służbowy zaczynał się o czwartej rano. O tej porze w nieskazitelnym uniformie, popelinowej bluzce bez jednej zmarszczki, starannie uczesana, z dyskretnym makijażem, z doskonale utrzymanymi paznokciami i nienagannym lakierem, świeża, uśmiechnięta, pachnąca subtelnie kompozycją Chanel pięć – mogła być inna woda kwiatowa, broń Boże perfumy – stawałam w porcie przed inspektorką. Po lustracji, okazaniu dokumentów, stwierdzeniu tożsamości przypinałam do klapy otrzymany od niej znak identyfikacyjny: imię, nazwisko wytłoczone złożonymi literami w złożonym otoku na błękitnej wizytówce. Po czym mała podróż do stanowiska samolotu.

Podtaczały się meleksy, furgonetki, czasami trzeba je było wydzwaniać, czasami, gdy łączność nie działała, interweniować w gospodarczym osobiście. Odbierałam kojbrzy, jak w żargonie obsługi nazywano prowiant dostarczany z cateringu. Gromadziłam zapasy w kojcu pod tytułem kredens, pomieszczeniu ciasnym, niewygodnym i kiepsko wentylowanym, zwłaszcza w nie najnowszego typu maszynach Air Madala. Później dwanaście godzin w powietrzu minus krótkie postoje, uzupełnianie zapasów zgodnie z umowami firmy z miejscowym cateringiem. Znowu kojbrzy, tylko przywożone punktualnie, i znowu na pokładzie z tacą, dzbankiem, kurczakiem garni, na zimno, gorąco, wino, koniak, szynka z chrzanem, komuś zimno – pled, parówki z musztardą – zamknąć wywietrznik, sos Cumberland, duszno – otworzyć wywietrznik, tabasco, proszek przeciw chorobie powietrznej, sos tatarski, uśmiech, uśmiech, uśmiech do wszystkiego, niczym przyprawy z torebek cateringu. Posiłki dla pilotów, kawa dla pilotów, napoje dla pilotów. Spódnica jak na manekinie, bluzka nieskazitelnie gładka, nie wolno się spocić, zaplamić, nie wolno usiąść.

Na trasie za mało czasu, aby w jednym z pięciu portów wyjść bodaj na ulicę, dopiero w Londynie. Ale w Londynie marzyłam już tylko o uwolnieniu się od leciutkich czółenek na wysokiej szpilce z miękkiej jak atlas, niebieskiej giemzy. Po dwunastu godzinach nieustannego chodzenia katowały stopy rozpalonym żelazem.

Hiszpański bucik, mówiły dziewczyny o tych świetnych pantoflach wyrabianych na zlecenie linii lotniczej przez włoską firmę o dużej renomie. Tak przy okazji dowiedziałam się,

że hiszpański bucik stanowił narzędzie tortur stosowane przez świętą inkwizycję. Czym była święta inkwizycja, dotarło do mnie znacznie później. Biorąc poważnie niemiłe zalecenia Jasnego nie byłam skora pytać ani mówić ponad konieczność, tym bardziej że wtedy już sama krytycznie oceniałam siebie. Rozumiejąc, na ile odstaję od średniej w tym zawodzie, udawałam sfinksa.

W hotelu kładłam korekcyjne drewniaki, wlokłam się do kabiny odnowy i waliłam na łóżko z nogami podpartymi zrolowanym kocem. Rano o czwartej z rąk tamtejszej inspektorki odbierałam znak identyfikacyjny i da capo. Różnica polegała na opakowaniu fabrykatów. W jedną stronę wiozłam pakiet, z powrotem kiszkę.

Teraz wzrastał niepokój z powodu Amfi, natrętnie przywodził na myśl instruktaz Kalifa.

– Tylko ja i Jasny możemy zmienić dyspozycję. Nikt więcej w żadnych okolicznościach.

Zegarek prześcignął samochód, samolot wystartował beze mnie. Auto zmniejszyło szybkość, skręciliśmy z szosy na boczny asfalt, nikt nie wspomniał o lekarzu, nikt się nie odezwał. Wyczulone nerwy odebrały nastrój odprężenia. Oprócz lęku o Kalifa pojawił się inny niepokój.

Nie poleciałam. Dokonała się groźna zmiana wymuszona przez nieprzewidziane wydarzenie i ludzi przysłanych przez Kalifa. Nieznanych ludzi. A przecież z intencji Kalifa, gdy wdrażał mnie w proste zresztą obowiązki, wynikało jednoznacznie i raz na zawsze: rozkład lotów nie podlega dyskusji, polecenia przyjmuję jedynie od niego, ma do nich prawo także Jasny. I nikt więcej.

Po mnie powinien przyjechać Jasny!

Dałam się zwieść, wszystko przysłoniło nieszczęście z Kalifem. Miłość jest niedobrym współnikiem w interesach, powiedział kiedyś Jasny, lepiej ufaj walucie. Waluta nigdy cię nie zawiedzie, chyba że cały Zachód trafi szlag.

Jeśli obaj są ranni? Zaczęłam zwracać uwagę na tablice z nazwami mijanych miejscowości. Nic nie mówiły, nie pomagały zorientować się w terenie.

Zapytać? Nie. Udawać dobrą wiarę. Niechaj, kimkolwiek są, zrobią pierwszy ruch. W końcu muszą odkryć zamiary. Przecież to porwanie. Podstęp i uprowadzenie. Okup? Nonsens. Nie byłam bogata. Chcieli pieniędzy od Kalifa? Prawda, żył szeroko, miał gest, ale czy miał pieniądze? Przecież dla zdobycia środków wszystko, co posiadał, zainwestował we mnie, w łapówki dla polskiego przedstawiciela Air Madala i w Amfi. Tak mówił. Dopiero zaczęliśmy odrabiać wyłożone sumy – tak mówił. A więc tak było. Kalifowi wierzyłam bezgranicznie.

– Wysiadamy.

Wokół rósł las. Osłabłam ze strachu. Wiedziałam, opór na nic się nie zda, najwyżej rozwścieczy prześladowców. Krzyżeć? Tylko wzbudzę złość, agresję i reakcje niewspółmierne do problematycznej korzyści. Może nie byłabym taka rozważna i taka potulna, ale pojęłam: zamroczona niepokojem pozwoliłam się zwabić nie wiadomo w jaką zasadzkę. Obezwładniało uczucie, że cała moja szaleńcza obawa, cała serdeczna troska okazały się daremne. Zamiast wesprzeć, mogłam zaszkodzić. Zyskałam już prawie pewność przyczyny sytuacji, w jakiej się znalazłam. Stawką było Amfi. Ale właśnie w związku z Amfi na końcu tej drogi mógł oczekiwać Kalif ranny, potrzebujący pomocy, uwięziony przez cyngli w marmurkowym dżinsie. Może nawet sam kazał mnie tutaj sprowadzić.

Na końcu drogi nie zastałam Kalifa, tylko porośnięte lasem wzniesienie i zasnutę jeżynami krzepkie drzwi. Zapałam się jak rzeźne zwierzę czujące niebezpieczeństwo. Nie zdążyłam wydać głosu, zamoczyło uderzenie w twarz i wnieśli mnie za furtę wiodącą w głąb pagórka.

Otrzeźwiałam w komorze z betonowych płyt stroszących spod poczerńiałej zaprawy pręty zbrojenia. Podłoga, raczej tok ze zwiertzałego cementu z prawie białymi pędami jakichś roślin w pęknięciach, leżał poniżej wejścia, poziom wyrównywały podobnie skruszałe, chwiejne stopnie. Zanim oswoiłam półmrok – w stropie musiała być szczelina, stamtąd sączyła się skąpa jasność i wyraźny prąd powietrza – szofer rozstawił, widocznie zabrane z pojazdu, dwa turystyczne krzesła i leżak.

– Siadaj – wciąż jeszcze miałam męt w głowie, pulsowała opuchła i rozcięta o zęby warga, opadłam na pasiaste płótno opinające stelaż z aluminiowych rur.

– Jeśli zachowasz się rozsądnie, nic ci się nie stanie. – Starszy rzucił mi na kolana pled z auta. Dygotałam ze zdenerwowania i chłodu wionącego od żelbetowych konstrukcji lochu. Zdziwił niespodziewanie przyjazny gest.

– Kawy? – kierowca odkręcił termos. Zapachniało. – I są kanapki, z szynką!

W tamtym czasie szlachetne wędliny były trudno dostępnym artykułem, stąd podkreślenie. Pewno bym się roześmiała, gdyby nie nastrój klęski zawinionej własną łatwawiernością.

– Dziękuję – niczego nie mogłabym przełknąć, może poza paroma łykami gorącego naparu, lecz przyjęcie zaproszenia wydawało się zdradą wobec Kalifa.

– Nie bój się, niczym nie podprawiona – szofer otworzył radio, odezwała się jakaś muzyka. Japoński odbiornik wielkości pudełka od papierosów szemrał cicho. Starszy umieścił pod ręką bezprzewodowy telefon, rozsiedli się, zaczęli jeść.

- Co się stało z Kalifem, gdzie jest?
- Pewno fryga śniadanie w Victorii albo puszcza w obieg kolejną idiotkę, albo śpi po nocy z początkującą idiotką. Nie wiemy. U nas go nie ma.
- Mówiliście...
- Mówiliśmy. Nie mogłem cię z miejsca zaprawić po lokach i załadować pod lotniskiem, chociaż i na taki zabieg byliśmy przygotowani.
- Czego ode mnie chcecie?
- Tego, czego chcemy, pewno byś się wzbraniała – roześmiał się szofer z ustami wypchanymi bułką z szynką.
- Zamknij jamochłon – zmarszczył się starszy – Nie bój się, mała, nic ci się nie przydarzy, posiedzisz trochę, potem cię wypuścimy, a może nawet podwieziemy bliżej Warszawy.
- Gdzie jesteście?
- Nieważne.
- Ale o co chodzi?
- Co za różnica, skoro i tak na nic nie masz wpływu. I nigdy nie miałaś.
- Dlaczego mnie trzymacie, właśnie mnie?
- Tacy jedni, malkontenci, likwidują kanał.
- Nie rozumiem.
- To samo co szlak albo droga. Byłaś ogniwem na tej drodze. I powiem zupełnie prywatnie: gdy już stąd wyjdiesz, nigdy więcej nie baw się w podobne rzeczy, inaczej możesz nie dożyć sędziwego wieku. Jesteś naiwna, twój narzeczony wcale o ciebie nie dba, skoro wpasował cię w takie zajęcie. W każdym razie ja swojej dziewczynie nigdy bym nie pozwolił. Wiesz, co woziałaś?
- Rzadki składnik do preparatu przeciw rakowi w stadium prób. Z pominięciem komory celnej, ponieważ laboratorium jest biedne. Niemoralne jest branie opłat wwozowych od surowca mającego wpływ na powstanie leku ratującego życie i nie mam sobie nic do zarzucenia – wyrecytowałam słowo w słowo, czego na najgorszy z możliwych przypadków nauczył mnie Jasny. Tylko miałam zgryz, czy najgorszy z możliwych właśnie się wydarzył, bałam się bólu, zniekształcenia twarzy, porzucenia w lochu.
- Jezu! Nie wytrzymam. Sama wymyśliłaś? – śmiał się jak szalony szofer.
- Mógłbym nawet zaraz zaaplikować ci ten uzdrowicielski środek, ale nie chcę złamać życia. Jesteś jeszcze bardzo młoda – powiedział starszy.
- Beznadziejnie głupia czy ma nas za niedorozwiniętych? – zastanawiał się szofer.

Popatrzeli na siebie. Pytanie zostało bez odpowiedzi.

- Ile ci Kalif płacił?
- Przecież dostaję pensję w liniach lotniczych.
- Nic ci nie dawał? Wszystko z miłości!

Milczałam. Nie było siły zdolnej zmusić mnie do wystawiania uczuć na ich drwiny. Miłość, oddanie, wdzięczność za świetny los osiągnięty dzięki Kalifowi, uniesienia i związki nieprzeliczalne na żadne pieniądze.

– Alfons. Powinien pilnować swojego rzemiosła. W przeciwnym razie...

– ...samolot linii lotniczych Madala lecący z Warszawy przez... przymusowe lądowanie... – zaszemrało radio. Starszy wzmocnił odbiór – ...pod Poznaniem z osiemdziesięcioma pasażerami na pokładzie... nagła niedyspozycja pilota, podobne objawy stwierdzono u większości pasażerów... – znowu rozległa się muzyka. Starszy ściszył odbiornik. Wymienili między sobą spojrzenia. Wydawali się zdezorientowani.

– Ale krzywo poszło – mruknął szofer.

– Po herbacie. Nie dotarli na Tempelhof. Alfons ma szczęście. Co tym razem miało być, kodeina, benzyl-menthyl-keton? – nachylił się nade mną starszy. Wyraźnie wiadomość bardzo ich poruszyła.

– Nie wiem – nie znałam nazw przez niego wymienionych, chociaż domyśliłam się, dotyczyły kiszek.

– Daj spokój, dla narzeczonej za inteligentne – skrzywił się szofer. Słowo narzeczoneja zabrzmiało jak obelga.

– Słuchaj, mała, w czym wiozłaś Amfi? – starszy sprawiał wrażenie, jakby odgadł coś bardzo istotnego, ale w ogóle stracili impet, pomarkotnieli zawiedzeni i rozczarowani. Milczałam.

Odezwało się Ci-bi.

- Tak zrozumiałem, Over.
- Zbieraj się, podwieziemy bliżej cywilizacji. Później musisz sobie sam radzić
- Nie mam polskich pieniędzy. Przed rejsem zostawiłam je u inspektorki przy odbieraniu znaku identyfikacyjnego.
- No nie, jeszcze mam cię wspierać finansowo!
- Wymień dole. Mam dychę.
- Beznadziejna! Znalazła sobie cinkciarza. Mogę ci odebrać, wiesz?
- Wiem.
- No dobra, wczoraj chodziły po siedem, dzisiejszego kursu nie znam – starszy

wymienił mój banknot, wówczas stanowił poważną sumę. – Jesteś spalona, rozumiesz swoją sytuację?

– Co się tak nagle troszczysz?

– Bardzo możliwe, szuka cię już Glinówek w związku z przymusowym lądowaniem samolotu.

Odkąd znalazłam się we wnętrzu pagórka, pojęłam, ich szef, czy z kim się tam porozumiewali, nie zatelefonował pod numer dany mi przez Kalifa na nieprzewidziane okoliczności. Im przede wszystkim zależało, żeby Amfi pozbawić dozoru, ale lądowania pod Poznaniem nie przewidzieli.

– Nie idź na Zarankiewicza ani do hotelu w porcie, ani tam, gdzie jesteś na stałe zameldowana, jeśli nie chcesz wsiąknąć i wsypać narzeczonego – znowu szczególna intonacją nadająca słowu narzeczonego brzmienie wyzwiska.

Dokąd uciekać? W jednej chwili runął dach nad głową, przemieniłam się w łowną zwierzynę. Nie wiedziałam, gdzie szukać Kalifa, jak skomunikować się z Jasnym i czy już wiedzą o moim nieszczęściu. Pamiętałam tylko numer awaryjny dany na wszelki wypadek, lecz zdradziłam go obwiesiom, co z tego, że w najlepszej wierze.

– Posłuchaj. Idź do Haiti na Pigalaku. On tam puszcza w obieg dziewczyny za mało dobre na pierwszą lokatę. Tańszy dupiznes obsadził kuzynami. Powiesz pierwszemu z brzegu alfonsowi, żeby skomunikował cię z Kalifem albo z polskim kuzynem. I nie zapomnij przekazać naszego przesłania, niechaj zajmuje się swoją działką i nie wychyla poza przerabianie narzeczonych na dziwki.

– Nie wierzę wam.

– Dla mnie możesz nawet iść na Glinowo, dać głowę pod topór, umoczyć Kalifa. My w każdym razie nie podamy was Emolom ma półmisku. Jeśli jednak nie zaprzestaniecie procederu, następnym razem będziemy bardzo nieprzyjemni – powiedział wszystko jednym ciągiem, bez szczególnego nacisku.

– W tym przebraniu ona jest bardzo znaczna, nie uważasz? – szofer skubnął złoty galon emblematu na moim rękawie.

2.

– Dobry Boże, dziewczyno, szukam takiej twarzy, sylwetki!

W biały dzień pod Victorią zaczepił Anielkę cudzoziemiec zagapiony w nią jakby trochę nieprzytomnie, ściągnął z ramienia kamerę, przytknął oko, gdzie trzeba, ćwierknęła przesłona, gość puścił aparat, chwycił rękę Anielki.

– Jestem Hanig. Fotografik. Firma Lothar Lunze.

Anielka, poza Herr Gott, niewiele pojęła ale domyśliła się, że jest wielbiona po niemiecku. Bądź co bądź przez ostatnie kilka lat, jeśli nie mogła się urwać, odsiadywała w szkole lekcje tego języka. Z garści oswojonych słów, zachowania cudzoziemca, barwy jego głosu i jakby olśnienia jej widokiem rozumiała, że jest nią zachwycony.

Spódnica – błysnęło Anielce. Wyłaniające się jedna z drugiej faliste smugi w dziewięciu odcieniach malachitowej zieleni. Cudo. Bardzo szeroka, przymarszczona, dołem podobna do korony fantastycznego kwiatu. W ruchu szeleściła, rozkołysana w rytm kroków odstaniała rąbek halki utrzymanej w podobnej palecie, obrębionej ręczną koronką dobraną kolorem i tylko nieco jaśniejszą od tła spódnicy. Tę samą barwę miała góra, podobnie jak wykończenie spodu, udziergana przez Babkę. Anielka zdeptała miasto, zanim znalazła przędzę o odpowiednim walorze. Babka mimo utrudzenia domowym kieratem wyczarowała bluzkę dopełniającą niezwykłą całość. Ten strój widać. Nawet Dobra pani zauważyła.

Dobra pani miała ubiorów więcej niż potrzebowała na najbliższe pięćdziesiąt lat, a wszystko gatunek i szyk, nie jakaś podszewka tłamszona w szafliku, żeby udawała gniewiucha czy lakierki, pozał się Boże, z plastyku twardego niczym czołgowa stal.

– Za młoda jesteś na jedwabie – Dobra pani jednym rzutem oka wyceniła nowe odzienie Anielki. Wyglądała na niemile zaskoczoną, jakby ją osobiście znieważał muślin na dziewczynie wynajmowanej do sprzątnia, właściwie z litości.

W owej chwili Dobra pani była przekonana, że tylko dzięki czułemu sercu, raz w tygodniu daje zarobić uczennicy, a ta, proszę, wydziera jej tysiąc złotych za godzinę, aby się stroić w jedwabie. Pewno, ma za co! Nawet na mydło nie wyda. Każdej soboty, po porządkach, kąpie się i upiększa w łazience przeznaczony dla gości w domu Dobrej pani, na koszt Dobrej pani, nie żałując sobie szamponów ani kąpielowych płynów z dolarowych

sklepów, malując paznokcie u rąk i nóg zagranicznym lakierem Dobrej pani, na koniec wyjada wszystko, co się przed nią postawi, jakby w brzuchu miała komorę zsypową, a nie zwyczajny żołądek. Potwór.

– Materiał okazyny. Poza gatunkiem. Ma skazy – łagodziła Anielka ból Dobrej pani.

– Bluzka też z naturalnych nici – Dobra pani miętosiła w ręku dzianinę zdjętą przez Anielkę.

– Mhy – Anielka wyjęła z jej dłoni wieczory swojej Babki zatrzymane w ściegach z przędzy kokonów, strzepnęła pajęczą materię i ułożyła na krześle, gdzie już rozpostarła własne robiony. Zapinała roboczy fartuch.

Babka przestrzegała, nie kładź najlepszej sukienki, nie kłuj w oczy ludzi, od których jesteś zależna. Anielka nie mogła nie ubrać się w tak długo wyczekiwany strój, skoro Babka nareszcie skończyła nizać ostatnie sploty szydełkowej bluzki.

– I nie nosi się jedwabiu rano!

– Babka mówiła to samo – przyznała Anielka. Miała niewyczerpaną cierpliwość dla całego świata z powodu wspaniałej kreacji, która wycisnęła gorycz nawet z Dobrej pani.

Babka oceniła podobnie, jednak nie tak samo. Przymierzała nową spódnicę Anielki, jak wiele innych rzeczy, do przedwojennej Kolonii. Nie dorosła jeszcze pełnych czternastu lat, kiedy przyjęto ją na pokojówkę w eleganckim domu. Stamtąd, chociaż minęło pół wieku, pamięta, jak się wytwornie śmiać, żeby nie pokazywać plomb, z której strony gościa trzymać półmisek podając potrawę, jak nakrywać stół, jakie kieliszki do czego, na jaką porę dnia co się nosi. Jednak oprócz znajomości najlepszego bon tonu z przedwojennej Kolonii Babka od zawsze żyła w dzielnicy, nawet kiedy ta była jeszcze ubogą wsią na peryferiach miasta, i rozumiała, że jak człowiek spotęży się na lepszą sukienkę, to jej nie rozmnoży na różne ubiory. A poza tym, kto teraz na takie szczegóły zwraca uwagę, chyba jedynie ci, co jak Dobra pani dopiero się dorobili i tylko patrzą, czym jeszcze odróżnić się od gorzej ustawionych w życiu.

Ulica nie dba o subtelności, ulica nosi wszystko do wszystkiego i Anielka do muślinu kupiła meble. Na lepsze obuwie już nie miała pieniędzy. I tak zapłaciła dużo za dwa paski ciemnozielonej skóry podtrzymującej spody na obcasie z lakierowanego drewna. Nie stać jej było nawet na plastikową tandetę, która rozprzestrzeniała się jak nowotwór.

– Dziesięć lat w takich pantoflach i masz nogi staruchy. Zwróć uwagę, jakie platformy wyhodowały już niektóre dziewczyny w naszej klasy. To od plastikowych dybów, od szmaciaków. Drewniaki są przynajmniej zdrowe, korekcyjne i estetyczne – pochwaliła nabytek Wiśka.

Dla Anielki dziesięć lat stanowiło niezmierny obszar czasu, nawet nie umiała siebie wyobrazić w tak odległej przyszłości, ale cieszyło dobre zdanie Wiśki o zakupie. W dziedzinie mody Wiśka była najwyższym autorytetem w całym liceum.

Nosiła obuwie robione ręcznie z miękkich skór, z gadów, plecionek, na futrówkach naturalnych, podeszwach ze skóry cienkiej, sandały na korku, mokasyny na krepie, zamawiane w jednej z najlepszych firm w Warszawie. Czekały tam na Wiśkę kopyta wykonane według odlewów jej stóp. Przy każdym zamówieniu robią świeżą matrycę i porównują. Jeśli stwierdzą jakieś odkształcenie modelu, nanoszą korekty na drewniane formy. Wiśka ma zdrowe, piękne nogi, płynny gips nie ujawniał najmniejszej deformacji.

– O elegancji decyduje obuwie i fryzura, co jest w środku, mniej ważne – mówiła Wiśka zakładając płaszcz ze srebrnych lisów.

Lustro odbijało włosy zebrane w węzeł, kielkujące drobnymi kędziorami na gładko uczesanej głowie stwarzały wrażenie złocistej aureoli. Wiśka nigdy nie przychodziła do szkoły w futrze. Do szkoły nosi się w stambulskim dżinsie, bawełnianych bluzkach, kurtce na baranku, nie wyróżnia się spośród innych. Zmienia skórę wieczorem albo w wolne dni. Razem z tureckim bławatem i tajlandzką dzianiną odkłada Wiśkę i przemienia w tajemniczą Kamę.

Anielki nie stać na fryzjera ani na futro, nie stać na kapotę podbitą jagniętami ani na markowe pantofle, ani na sposób, w jaki zarabia Wiśka. Zaplata włosy w harcap lub przewiązuje u nasady, ale odkąd Wiśka zaprowadziła się u znakomitego szewca, Anielka zaczęła dbać o odnóża. Uprawia gimnastykę, szoruje i namaszcza pięty, po mieszkaniu chodzi bosą, przysięgła sobie nigdy nie nosić szmaciaków ani tandety. Z dwojga złego lepiej państwowe z przeciwplafusową wkładką, ale państwowe to już także tylko płótno, syntetyczne spody i równie lichy plastik, niechlujna robota, odrzuty z odrzutów, szmelc jakby pozbierany ze śmietnika. Kto zauważy kształtne, zadbane stopy Anielki zakute w chodaki jak ze złego snu znerwicowanego ortopedy.

Anielka kończy sprzątanie.

Dobra pani przeżywa chwilę rozterki. Chciała zabrać z łazienki dla gości kąpielową kosmetykę francuskiej firmy, lecz nie miała nic gorszego na podorędziu. Dobra pani nawet w konsoli pod lustrem nie trzymała ostatnich gatunków, jeszcze by kto ze znajomych zajrzał i pomyślał, że na pokaz wystawa, a w szafce były co. Postanowiła kupić coś krajowego, przechowywać gdzie indziej i wykładać tylko w soboty przed przyjściem tego potwora.

– Można wziąć emalię? – wyplawiona w wonnych pianach Anielka, owinięta

puchatym ręcznikiem, dogoniła Dobrą panią w hallu przy wyjściu.

– Weź – dźwięczy kluczykami od samochodu Dobra pani. Nastrój jej się poprawił. Dziewczyna skandalicznie gospodarzy zarobionymi pieniędzmi, jednak pracuje porządnie, nie trzeba jej pilnować i nie trzeba płacić ubezpieczenia. Wprawdzie dużo je, lecz niczego nie podkrada, nie sprowadza pod nieobecność gospodarzy mężczyzn ani koleżanek, nic z horrorów opowiadanych przez inne Dobre panie o swoich służących, które przyodziane w peniuary Dobrych pań, na pościeli Dobrych pań tarzają się z przygodnymi panami i biorą za to pieniądze, a do sprzątanía podnajmują inne osoby, też Bóg raczy wiedzieć, co za jedne. Ideałem Dobrych pań jest krzepka emerytka w wieku kanonicznym, samotna, bez nałogów i bez wnuków. Tylko gdzie taką znaleźć.

Anielka w garderobie Dobrej pani nie może się zdecydować obezwładniona mnogością wyboru i znowu wszystkie dwadzieścia paznokci maluje jasnym lakierem. Praktyczny, nie widać, gdy odpryskuje w ciągu mijającego tygodnia i nie pogryzie się z barwą nowego stroju.

W kuchni na stole inaczej niż zwykle. Nie ma półmiska z zimnym mięsem, brakuje maselnicy. Na samotnym talerzu kilka płatków krakowskiej, plasterki tyłzyckiego, rozeta masła z foremki, kleks marmolady. Jedynie koszyk z pieczywem nie zmienił objętości.

Anielka nie odczuwa żalu do Dobrej pani. Wiadomo, drożyzna. Dzisiejszy pieniądz nie jest pieniądzem wczorajszym, ceny skaczą jak pchły po bezdomnym kocie. Przez myśl jej nie przejdzie łączyć ograniczenia ze swoją nową spódnicą.

– Dopóki jest chleb, nie ma głodu – mawia Babka.

Anielka oszczędnie smaruje i obkłada kromki. Przy nakryciu leży pięć banknotów po tysiąc złotych, równowartość pięciu godzin pracy, chowa pieniądze i zabiera się do jedzenia.

Wytworna Anielka obnosi jedwabie po Trakcie Królewskim, łowiąc odbicie w wystawach Nowego Świata.

Wszystkie po kolei potwierdzały piękno stroju jednocześnie przypominając o różnych rzeczach, których się nie ma. Dziwiło, w sklepach pusto albo ostatni szmelc, a tyle można by jeszcze kupić. Lepiej bez pieniędzy, wtedy nawet pokusy znikają i sklepy nie obchodzą.

Krygowała się jak idiotka do witryn Nowego Świata, lecz niczego nie udawało się zapomnieć. Wypłatę od Dobrej pani odejmuje od ust rodzinie. Taka jest prawda. Nie żadna przenośnia. Ich garnek jest chudszy o sobotni zarobek Anielki, tylko skąd mogła wiedzieć, że w dwa miesiące po zaciągnięciu pożyczki bochenek chleba zdrożeje dziesięciokrotnie. Teraz powinna kupić lepszego jedzenia dla nich, w domu. Kawalek pasztetowej dla Teka, jabłek dla Babki. Czują się winna, mimo niespokojnego sumienia cieszyła przyczyna rozterki, zielona

spódnica.

Odwraca oczy od lakierków za szybą, chociaż akurat na tę parę mogłaby bezpiecznie patrzeć. Posiadana suma nie starczyłaby nawet na jeden obcas od tych pantofli.

Pieniądze należały do Wiśki. Kolejna rata. Ona wyłożyła na wietnamski jedwab, kiedy natknęły się na niego w Domach Centrum. Wiśka szukała coś ekstra i pociągnęła ze sobą koleżankę. Akurat Anielkę nie interesowały sklepy. Nie miała pieniędzy. Nic nowego, jej portfel przeważnie cierpiał na uwiąd. Towarzyszyła Wiśce z czystej przyjaźni, może tylko trochę z ciekawości.

– Mora?! Nie ma i nie bywa. Jest chińska przecena – powiedziała ekspedientka i popatrzyła na dziewczyny ponuro. Kto tym smarkatym tak poprzewracał w głowie?

Chińska przecena okazała się wietnamskim odrzutem poza gatunkiem, Wiśka orzekła, że plamy wzdłuż zakończenia brytu dadzą się sprać. Jeśli nie ustąpią, odetnie się je w krojeniu i na wszelki wypadek kazała zmierzyć o metr więcej. Anielka powinna mieć chociaż jedną przyzwoitą sukienkę. Należność odda po trochu.

Plamy puściły, Babka wie, jak się obchodzić z naturalnym jedwabiem, i potrafi szyć. Anielka przez wiele sobót przynosiła Wiśce część długu, chociaż mogłaby w poniedziałek, w poniedziałek znowu siadały w ławce obok siebie, wołała jednak zaraz po wypłacie oddać pieniądze, jeszcze by, nie daj Boże, podkusiło albo wybuchła domowa potrzeba.

Poza tym przyjemnie pobyć w eleganckim wnętrzu, obejrzeć wystawę dolarowego kiosku z bursztynami i srebrem, usiąść w hallu na miękkim fotelu i wyobrażać, że czeka na zakochanego chłopca albo na rezerwację, oczywiście apartamentu, albo na znajomego cudzoziemca z Rzymu lub Wiednia, Toronto lub Sydney z przesiadką w Bangkoku.

Nadchodziła Wiśka, zapraszała na kawę. Anielka raz tylko uległa pokusie mokki w Victorii. Za dwa naparstki Wiśka zapłaciła majątek. Anielki nie stać na rewanże, chociaż Wiśka ich nie oczekuje, nie może tylko korzystać, ma swoją dumę, wymawia się pracą w domu.

Wiśka nie nalega, rozumie szczególną drażliwość Anielki. Znając jej upodobania do salonów recepcyjnych gwiazdkowych hoteli na wszelki wypadek przestrzegała przed zawieraniem znajomości. I teraz Anielka, oko w oko z urzeczonym cudzoziemcem, trzeźwieje. Przychodzą na myśl przestrogi Wiśki. Pewno, miałyby się czym zachwycać. Wielkie mecyje, spódnica. Wprawdzie przy zieleniach oczy Anielki robią się jeszcze zieleńsze i bardziej je widać. Owszem, oczy ma na swoim miejscu, ale reszta nic nadzwyczajnego, chociaż mogło być gorzej. Zawsze może być gorzej czy z urodą, czy w życiu. To Anielka wie, odkąd zaczęła rozumieć. W każdym razie nie ma szans na królową

piękności, żeby facet nie wiem jak terkotał kamerą. Zresztą wcale nie jest pewne, czy ma tam film, ograny sposób na naiwne.

– Spadaj, koleś.

Kupi sobie taki modne mokasyny, nałoży białe skarpetki, wdzije spodnie z żaglowego płótna made in Rembertów, uwiesi kamerę na brzuchu i zadaje szyku przed gwiazdkowym hotelem, a kiedy złowi cielęcinę, zanim wypije szklanekę coli, wyczerpie zasób obcych słów, wtedy zawiadomi, że rodak. Robił test albo żeby było śmiesznie, albo coś jeszcze innego i dla odmiany wejdzie w skórę biznesmena. W małym palcu ma rynki od Lizbony po Hongkong, a tak naprawdę w najbliższą sobotę na berlińskim targowisku znowu rozłoży parę głów tyłzyckiego, kilka kostek masła, z pół tuzina bawełnianych kalesonów.

– Źle trafiłeś. Przestałam się puszczać, kiedy byłam w drugiej klasie. A manów mam w bród.

Anielka dostrzega nadchodzącą Wiśkę. Macha do niej ręką. Wiśka także ją widzi, unosi dłoń i przystaje na światłach dzielących skwer przed Zachętą od chodnika przy Victorii. Cudzoziemiec zauważył wymianę pozdrowień, ale nie odchodzi.

– Co ten tutaj robi? – Wiśka nieznacznym skinieniem głowy wita oboje.

– Chce mnie wykierować na modelkę.

Cudzoziemiec ożywia się, potwierdza znane słowo i trochę po niemiecku, trochę po polsku obiecuje dużo pięknych fotografii, dużo dobrych niemieckich pieniędzy i sławę. Zaprasza do hotelowej kawiarni.

– Idziemy – zgadza się Wiśka. Zna się na cudzoziemcach. Ten z pewnością nie jest piątkowym. Wiśka nie zadaje się z piątkowymi, w ogóle nie zawiera znajomości w lokalach i odradziłaby takie znajomości Anielce.

Piątkowi turyści przyjeżdżają na weekendy. Skandynawowie, gasterbeiterzy z Republiki Federalnej i przeważnie nie są to najsubtelniejsi chłopcy. Ściągają ich pod koniec tygodnia najtańsze alkohole, najtańsze lokale, najtańsze dziewczyny w całej Europie. Mężczyźni, których nigdzie indziej nie stać na markowe hotele, którzy w swojej ojczyźnie czy kraju zamieszkania nigdy nie przekroczyli progu z portierem w galonach, tu za cenę dniówki mogą kupić wszystko, co u siebie widują wyłącznie w kinie. Za cenę dniówki przekraczają ekran, wchodzą w film trójwymiarowy i materialny z sobą w roli głównej. Na dzień i dwie noce przestają być drwalami, subiektami, sprzątacami ulic, służącymi w domach zniedołężniałej starości, przemieniają w selfmade manów. Za kilkanaście dolarów wypełniają się alkoholem aż do pięt, za kilkanaście dolarów kupują dziewczynę na całą noc, za kilkanaście dolarów zapewniają sobie pobłażanie i względy obsługi. Niedzielnym rankiem

odlatują czarterami, uwożą kaca i podbudowane ego. Wracają za tydzień, znów w światłach barów odmienieni w ludzi sukcesu, wspaniałych mężczyzn, szczęśliwych kochanków.

– A jeśli to Stróż? – podpowiada Anielka.

Piątkowi obcokrajowcy budzą zawiść. Zawiść rodzi Stróżów narodowej czystości obyczajów. Stróże poddają próbie lojalność rodaczek udając cudzoziemców. Biada, jeśli dziewczyna ulegnie i pozwoli się gdzieś zaprosić, dokąd i tak nigdy nie dotrze. W odludnym miejscu odprawia nad nią sąd, a zanim pobiją, ograbią, zdarza się zgwałca, wygłoszą sentencję w rodzaju: przyzwoita Polka puszcza się tylko z Polakami, Wanda leży w polskiej ziemi, bo zechciała Niemca.

Stróże wystrzegają się dziewczyn profesjonalnych. Są stracone dla narodowej wyłączności. Mają opiekunów. Ich reakcja bywa szybka i okrutna. Poza tym alfonsi tolerują Stróżów, owa fauna żerująca na obrzeżach ich zawodu odstrasza amatorki, niepodporządkowaną konkurencję.

– Autentyk – ocenia Wiśka i wdaje się z nim w rozmowę. Swobodnie włada niemieckim i coraz lepiej francuskim. Uczy się języków, interesuje sztuką, literaturą, polityką, fryzjerstwem i wielu innymi rzeczami, o jakich nawet nie ma wzmianki w programie liceum.

Podchodzi kelnerka, kładzie na stoliku kartę, Anielka prosi o herbatę. W końcu ile może kosztować szklanka naparu, nawet tutaj. Chce sama zapłacić Za swoje zamówienie.

– Herbaty nie ma – nostalgiczne spojrzenie kelnerki bieгло w dal poprzez Anielkę.

Inicjatywę przejmuje cudzoziemiec. Zamawia dla wszystkich kawę i Henessy.

Anielka martwieje. Mała mokka kosztuje tu trzy tysiące złotych, ile koniak, nie wie. Anielka posiada w majątku trzy setki i pięć tysięcy dla Wiśki.

– On się nazywa Hanig. Fotografik. Pracuje dla agencji artystycznej Lothara Lunze. Proponuje kontrakt i dużą zaliczkę.

– Tobą się nie zainteresował?

– Nie.

– Bardzo dziwne – brak uwagi dla nieprzeciętnie pięknej Wiśki, skoro już ją zobaczył i mógł obie dziewczyny porównać, wydaje się Anielce bardzo podejrzany.

– Możesz zastrzec w umowie zabranie opiekunki. Na własny koszt.

– On przyjmie taki warunek?

– Sam powiedział.

– Opiekę też można wyrolować.

– Mów powściągliwiej, on, jak sądzę, więcej rozumie, niż się przyznaje. Oferta wydaje

się ucziwa, zresztą wszystko da się sprawdzić.

– Ale dlaczego ciebie nie angażuje? Zapytaj.

– Przestań. Nie będę pytać.

– Eee, zgrywa albo jakieś draństwo. Chodźmy stąd, Wiśka, zanim nam wykreśli pirueta.

– Trafiasz okazję jedną na tysiące, a zachowujesz się jak gęšina.

– Pewno z tego szczęścia. Będiesz robiła za opiekę?

– Nie będę. On sobie nie życzy. Wyraźnie zastrzegł osobę starszą, skłoną dbać o porządek, kuchnię i takie tam. Widocznie przewidział twój pomysł i z góry wykluczył moje towarzystwo.

– A jeśli się uprę?

– Ty, gwiazda! Nie zaczynaj grymasów. Zostaniesz kimś, postawisz warunki. Wtedy mnie zaprosisz.

– Tylko co powiem Babce. Nawet słuchać nie zechce o modelce.

– Podasz jej do wierzenia jakieś godne zajęcie. Czyszczenie kibli, zmywanie garów, podcieranie debili. Coś takiego Babka z pewnością zaakceptuje. Uczciwa, zbożna, ciężka harówa. Żadne kurwienie. Amen.

– Rzucić szkołę na rok przed maturą! – marudzi Anielka wiedząc, że rzuci i akurat rozstanie z nauką przyjdzie jej najłatwiej.

– Za zielone maturę na tacy podadzą.

– Nie wszystko można kupić.

– Świadectwo można.

– Wolę własną.

– Później możesz zdawać jako ekstern albo wrócić do ławki chociażby w wieczorówce i zaliczyć swoją kolekcję trójek, skoro ci tak na nich zależy.

Anielka nie błyszczała świetnymi notami ani pilnością, ani szczególnym talentem w jakiejś dziedzinie wiedzy, z wyjątkiem czytania. Żarła książki. Zupełnie nie wiadomo, skąd to miała, po Babce nie. Babce wystarczył modlitewnik, pismo „Przyjaciółka” i telewizja. Anielka prawdopodobnie nabawiła się tego przez Dobre panie.

Miała cierpliwość do zwierząt i dzieci. Psy i berbecie bezbłędnie wyczuwały brata łate, do Anielki zawsze garnęły się jakieś małe i wszelkie kundle. Pariasy, kanapowce, zerwane z uwięzi, złe, dobre, pańskie i bezpańskie. Łby, głowy, twarze, pyski, runo, loki, sierść, ręce, łapy, nogi, za całą gromadę cieszyły się ogony.

Blokowe matki prędko zwróciły uwagę na tę właściwość Anielki. Początek zrobiła

lokatorka z trzeciego piętra. Przyszła i poprosiła o wypożyczenie Anielki na wieczór. Chcieli z mężem pójść na imieniny. Ona, lokatorka, już nie pamięta, kiedy miała okazję założyć wyjściową sukienkę i poczuć się jak człowiek.

Tak naprawdę lokatorka z trzeciego chciała wybrać się do teatru, ale po zastanowieniu, co lepiej odbierze Babka, wyszło jej przyjęcie z powodu patrona. Będzie bliższe i bardziej zrozumiałe od przedstawienia. Teatr co tydzień pokazują w telewizji, można się napiąć bez wychodzenia z domu. Babka uzna taki powód za fanaberie i nie puści Anielki. Lokatorka z trzeciego była psychologiem, do problemu podchodziła naukowo, ale Babki nie rozgryzła. Miała za mało danych. Wtedy nic jeszcze nie wiedziała o młodości Babki u Lepszego państwa na przedwojennej Kolonii.

Babka miała zrozumienie różnych okazji, natomiast w jej mniemaniu Lepsze państwo obowiązkowo powinno chodzić do prawdziwego teatru. Psycholożka według oceny Babki była Lepszym państwem. Wprawdzie żyli z jednej pensji, mąż inżynier czasami tylko miewał boki, ale lokatorka z trzeciego była kształcona, znała języki i teraz na wychowawczym nie zbijała bąków, tylko trudziła się nad pracą naukową, do tego proponowano jej robotę w ambasadzie, a właściwie u Ambasadora za gospodynię w przedwojennej willi na Saskiej Kępie. I ona miała nie lada zgryz! Wziąć miejsce u dyplomaty czy zostać na uniwersytecie, gdzie jej płacili mało, bo mało, ale jednak za niańczenie własnego potomka. Natomiast kontrakt u dyplomaty nic nie wspominał o zwolnieniach na koklusze, świnki, prześwietlenia, zalew mieszkania czy awarię centralnego.

Anielka poszła pilnować dzieciaka.

Pani z trzeciego po powrocie znalazła pociechę śpiącą w objęciach śpiącej niańki. Anielka także była jeszcze nieduża i zmorzyło ją, gdy ukołysała podopiecznego. Pani zawiadomiła Babkę, że dzieci śpią i szkoda budzić. Rano nakarmiła Anielkę i podziękowawszy za opiekę jak komuś dorosłemu, podarowała trzy olbrzymie pomarańcze. Jedną natychmiast porwał Teko i chciał zjeść bez obierania. Babka kazała oddać, wyłuskała ze skórki, dzieliła na części, wkładała Tekowi do ust. Oranżowy sok ściekał mu po brodzie.

– Reszta na później – Babka zdjęła Tekowi serwetkę z szyi zawiązaną do jedzenia, schowała połowę owocu. Teko protestował, nie widywał takich frykasów. Babki nie było stać na cytrusy.

Anielka bawiła się swoją pomarańczą, przeżywając zapach, intensywność barwy, nie wytrzymała długo, zjadła, zanim nastał wieczór. Babka swoją złocistą kulę rozdzieliła między Anielkę i Tekę, sama ledwo skubnęła. Skórki wielokrotnie gotowała zmieniając wodę, gdy straciły gorzkość, usmażyła w cukrze.

– Do świątecznego ciasta – cieszyła się Babka i wyniosła stoik do swojej wyprawowej szafy zamykanej na klucz. Masywny sprzęt stał w mniejszym pokoju, nie mógł się do niego dostać Teko.

Skórek przybywało, Anielka często chodziła niańczyć dziecko Pani z trzeciego piętra, za każdym razem coś dostawała. Kiedy się bardziej zżyli, przyszła do Babki z zapytaniem, czy pozwoli ofiarować sobie używane rzeczy, ale czyste i w doskonałym stanie. Od dawna pragnęła je dać, nie wiedziała jednak, jak to Babka przyjmie, bała się urazić.

Babka oszczędzała na wszystkim. Mimo całej przezorności zakup niezbędnych przedmiotów groził katastrofą finansową i znacznym pogorszeniem z reguły skromnego stołu na długi czas. Jednak do Opieki Społecznej nigdy nie poszła. Nie jest dziadem, nie będzie żebrać. Pomoc od zaprzyjaźnionej pani przyjęła. To co innego. Wnuczka zarobiła. I niczego nie musiała wypraszać, obnosić biedy i nieszczęścia. Inteligentna pani sama pomyślała o darze i uczyniła to najdelikatniej, jak umiała.

Malowane hasła mówiły o rosnącym w siłę kraju i dostatku obywateli, psycholożka ogłosiła zbiórkę wśród przyjaciół, dawali zupełnie przyzwoite ubrania, zdarzało się zupełnie nowy ręcznik czy prześcieradło, dorzucali paczkę kakao, czekoladę, torebkę rodzynek.

Pani z trzeciego przez myśl nie przeszło, że za progiem stoi czas, kiedy wielu z nich, w tym ona sama, nie doznają głodu tylko dzięki pomocy słanej z zagranicy przez ludzi dobrej woli, zrzutom – jak nazywała owo wsparcie warszawska ulica.

Słowo było rodem z wojny. Wtedy z nocnego nieba na naznaczone ogniskami polany lądowały pojemniki z bitewnym moderunkiem, takie same pojemniki pod czaszami spadochronów znosił wiatr nad ginącym Miastem. Słowo odeszło wraz z tamtym czasem. Miasto pamiętało. Teraz wydobyło nie używane słowo, sytuacja, chociaż nieporównanie inna, nasuwała złowrogie skojarzenia, skoro po różnych internatach więziono ludzi, którzy podczas ostatniej wojny walczyli w ruchu oporu, przeszli Oświęcim, Dachau, Pawiak i inne hitlerowskie katownie.

Babka chomikowała darowane delikatesy, dzięki czemu na Boże Narodzenie upiekła bakaliowy makowiec. Takiego ciasta, jak sięgnąć pamięcią, jeszcze nie mieli. Lokatorka z trzeciego przyniosła prezenty, jedwabną apaszkę dla Babki i książkę dla Anielki. Babka podarowała jej struclę. Przełamała się z Panią opłatkiem. Lokatorka powiedziała, ma wielki szacunek dla Babki, nisko się kłania przed jej hartem ducha. Babce zaszkliły się oczy. Nigdy dotychczas nie spotkało jej ani nie oczekiwała uznania za codzienne zmaganie ze złym losem. Nikt jej nigdy w taki sposób nie uczcił. Anielka po raz pierwszy zobaczyła łzy Babki.

Chusta ofiarowana Babce była nowa i bardzo piękna, ale wszystkie wyobrażenia

przeszła książka. Oczarowała Anielkę i Babkę, nawet Teko siedział spokojny, ociążały po wigilijnej kolacji, i przyglądał się czarodziejskim kartom.

Na stronicach w miarę ich przekładania barwne ilustracje z płaskich robiły się wypukłe, nabierały głębi. W domach widziało się meble i obrazy na ścianach, bohaterów opowiadań siedzących przy stole, w kuchni wylegiwały się koty, na podwórku żyły psy, w lesie rosły drzewa, swoimi sprawami zajmowały się dzieci, krasnoludki i królowny. Ale najbardziej zafrapowała Anielkę tajemnicza ręka leżąca na całej rozkładówce, odwrócona dłonią do patrzącego. Opuszki otwierały się na kształt drzwiczek zwieńczonych łukami, w środku każdego palca mieszkał ludzik. Anielka zapragnęła dowiedzieć się, dlaczego.

Miała ciężkie kłopoty z czytaniem. Ledwo dukąła, przez to dukanie nie przeszła, z trudnością przelazła do drugiej klasy.

– Jeśli nadal będziesz tak stękać, nie przepuszczę do trzeciej – zagroziła wychowawczyni.

Anielka nie bardzo się przejęła. Do następnej klasy wydawało się dalej niż do gwiazd. Nie była pilna, nie garnęła się do elementarza, lecz do wiosny, myślała: zdąży, i nic nie robiła, aby zdążyć. Jednak tę bajkę musiała przeczytać.

Zasiadła nad czarodziejską księgą, z determinacją łączyła sylaby. Wysiłek został nagrodzony. Brnąc pośród czarnych znaków, w pocie czoła łowiła treść, aż rozdarła się zasłona. Opowieść nie była o królownach, tylko o zwyczajnej dziewczynce mającej zmartwienia i nielekkie życie, podobnie jak Anielka. Kiedy jednak ugodziło największe nieszczęście i wydało się, że znikąd pomocy, bajkowym sposobem stanęło przy niej dziesięciu przyjaciół i wspólnymi siłami pokonali wszystkie biedy. A gdy dziewczynka stała się bezpieczna i szczęśliwa, zaczęli maleć i zrobili się każdy jak ziarno maku.

– Wrócimy, jeśli będziesz nas potrzebowała – powiedzieli na pożegnanie i pozamykały się za nimi miniaturowe drzwi, nie pozostał najmniejszy ślad po wejściu do pokoików w opuszkach palców.

Anielka oglądała swoje ręce, niechby wyszło dziesięciu przyjaciół, a chociażby pięciu, chociażby jeden, i pomogło Babce i Tekowi. Nigdy nie pomyślała o nim: ojciec. Teko był niepodobny do żadnego z ojców. Inni ojcowie od Lepszych państwa wieźli dzieci na rytmikę, na pływalnię, na języki, na wakacje do Bułgarii, do Grecji, Hiszpanii. Ojcowie zarabiający za mało też dbali o dzieci, wysyłając na powietrze do rodzin na wsi, na kolonie, szli z dziećmi na spacer, do parku, karmili łabędzie i wiewiórki, podziwiali pawie. Gorszy ojcowie pili, kłęli, tłukli dzieci, nawet żony, ale przecież nie codziennie. Teko nie dało się zaliczyć do żadnej kategorii. Teko nawet nie chodził, tylko kicał, jakby każda noga była sprzężona z ręką i

pociągana sznurkiem, jego bełkot dokładnie rozumiała tylko Babka, kiedy mówił do Anielki, nazywał siebie Tato, wychodziło teko i tak został Tekiem. Anielka nie pamiętała go innym, podobno był kiedyś młodym mężczyzną na schwał, Anielka nie umie sobie wyobrazić Teka na schwał.

– Dobra pani – powiedziała Babka o lokatorce z trzeciego, zachwycona niezwykle książką, która zasadziła Anielkę do czytania. I tak się przyjęło, w następnych służbach Anielki, bez względu na usposobienie pani, mawiało się o niej: Dobra.

Pierwsza Dobra pani słysząc, jak Anielka morduje się nad Świerszczykiem, aby przeczytać wierszyk jej dziecku, zrozumiała nieobycie Anielki z treściami pisanymi i najpierw gwiazdkowym podarunkiem, z czasem innymi książkami, już bez trójwymiarowych ilustracji, uchyliła przed małą niańką drzwi w drukowane światy, dokąd niebawem Anielka zaczęła uciekać przed dniem codziennym.

Dobra pani nie wróciła na uniwersytet, poszła do dyplomaty jako gospodyni. Zarabiała dużo, plus podwyżki i gratyfikacje, chociaż dla fiskusa wykazywano wciąż jednakową sumę pensji, ze względu na rosnące podatki. Sama też łożyła na ubezpieczenie, ale się opłacało. Teraz stać ją było nawet na prawdziwą pomoc domową do własnego gospodarstwa i dziecka. Prawdę mówiąc musiała mieć całodzienną służącą. U dyplomaty schodziło jej do wieczora, nieraz zarywała noc organizując i czuwając nad przyjęciem, ponieważ przyjęcia były tam zdarzeniem powszednim. Anielka przez długi czas myślała, że praca dyptomatów składa się wyłącznie z bankietów i odpoczynku po bankietach.

Mimo polepszenia życia, Dobrej pani nie cieszyła zbytnio nowa posada. Babka rozumiała. Nie sam pieniądz człowieka raduje, chociaż bez niego źle. Przez ten brak Dobra pani stała się trochę lepszą służącą, chociaż jej miejsce było na uczelni. Powinna pomagać profesorom kształcić młodych i z czasem sama stać się kimś.

Dobra pani niekiedy zaglądała do Babki, mówiła o zwyczajach dyptomatów i wciąż jeszcze pożyczała Anielce książki, ale to już nie była ta sama przyjaźń. Dobra pani nigdy nie miała czasu, Anielka też nie, i nawet jeśli Dobra pani znalazła chwilę na odwiedzenie Babki, Anielka przeważnie jej nie spotykała. Niańczyła dzieci na przychodne u różnych pań, jeśli chciały ubrać się, wyjść, poczuć jak człowiek i odpocząć od bachorów.

Dużo pań chciało i musiały zapisywać się u Babki na Anielkę, jakby to były klucze od pralni, i uzależniać swoje wychodne od grafiku, co nie odpowiadało Drugiej Dobrej pani i ona wzięła Anielkę na wszystkie popołudnia.

Druga Dobra pani żyła w tym samym domu na pierwszym piętrze. Babka wspominała. Za jej wczesnej młodości pierwszą kondygnację od frontu zajmowało samo Lepsze państwo,

ale teraz w bloku wszystko jest pomieszane, a już w ich słupie z cementu nie bardzo wiadomo, gdzie przód, a gdzie tył, zwłaszcza gdy przy wejściu, a pod oknami mieszczą się spaczone, nie domykające się drzwi od nigdy nie mytej komory zsypowej.

W domach tamtej Warszawy, sprzed śmierci Miasta, sprawa przedstawiała się zupełnie jasno. Front stanowiła kamienica z bramą od ulicy, resztę oficyny zamykające czworobok podwórka z trzepakiem, ustępem i śmietnikiem. Klucz od wygodki był u stróża.

Lepsze państwo nadal stanowiło wyróżnienie w ocenach Babki, chociaż usytuowanie zajmowanego lokalu nie miało znaczenia. Tylko kryteria zrobiły się bardziej elastyczne. Coraz częściej tę samą osobę uznawała raz za Lepszą, innym razem za hołotę. Drugą Dobrą panią zaliczyła do pierwszej kategorii. Jej mąż pracował na zagranicznym kontrakcie, sprzedał się na dziesięć lat, ona za jego zarobki brane z konta pilnowała budowy w Zalesiu. Tylko na przeczekanie, a także dla zabezpieczenia pieniędzy kupili cztery pokoje w betonie, dokąd Dobra pani zwoziła antyki nabywane jako dobra lokata i ozdoba nowej siedziby. Willa już była pod dachem, wykańczana w środku, i właśnie doglądać tego wykończenia jeździła Dobra pani, a wtedy Anielka pilnowała jej dwojga dzieci.

Do południa użerała się z nimi Dochodząca, prowadziła do i z przedszkola. Anielka po powrocie z lekcji galopem połykała obiad, biegła na górę uwolnić Dochodzącą, której pilno było do własnego dziecka biegającego samopas po skończonej nauce. Dochodząca, nie posiadając męża, sama musiała zapracować i wychowywać. Zanim nadciągnęła Anielka, Dochodząca zdążyła pochować zapalki, ostre przedmioty, odłączyć gaz, nalać do termosu gorące kakao na kolację dla malców oraz Anielki i ubrana do wyjścia czekała w przedpokoju. Obok kłębił się szatański tandem, także czekał. Dopiero zaczynała się zabawa.

Anielka nadal miała cierpliwość do dzieci, lecz ten dynamit tkwiący w dwóch chudych ciałach wymagał szczególnej uwagi. Zaraz po odejściu Dochodzącej wypuszczała niebezpiecznych malców na dwór, rwały przed siebie z wrzaskiem ścinającym krew w żyłach i tupotem tabuna koni. Pozwalała im krzyczeć, biegać, pełzać, zwisać z trzepaka, pilnując jedynie, aby się nie pozabijały. Metoda przynosiła rezultaty. Pod wieczór wyciszone, łudzaco podobne do normalnych dzieci ładowała do wanny hurtem, po dobranocce prawie bez oporu dawały zapędzić się do łóżek. Wtedy byle zbyć odrabiała albo i nie zadania. Szła do książek.

W największym pokoju stały w szeregach oszklone szafy, pełne tomów dostojnych, oprawnych w czerwoną skórę ze złoconymi napisami. Onieśmiały. Jeszcze nigdy takich nie widziała. Książki jej dostępne to były polepione taśmą, żółtkłe stronice o startych brzegach z niechlujnie klejonych zszywek w kartonowych okładkach obłożonych w przezroczysty, wystrzępiony plastik.

Przekręciła mosiężny klucz tkwiący w obłożonej mosiądzem dziurce, zaczęła oglądać. Trafiła na komplet Sienkiewicza i ugrzęzła w Quo vadis. Dawno słyszała o tej powieści, ale nie wypożyczono jej w szkolnej bibliotece.

– Za poważna dla ciebie – oceniła pani bibliotekarka i dała Anielce coś odpowiedniego.

Teraz bez wiedzy Dobrej pani myszkowała po półkach i szarogęsiła się pośród welinów czystych jak lza, jakby nie tkniętych ludzką ręką, odkąd wyszły spod prasy. Nie poprosiła o zezwolenie, żeby nie odmówiono albo nie wybrano czegoś właściwego, albo co gorsza nie zamknięto przed nią szaf.

Przed przyjściem Dobrej pani odnosiła książkę do szeregu, równała złożony grzbiet do innych w szyku złożonych grzbietów. Anonimowy, nie wystający, nie wysunięty głębiej strzegł tajemnicy do następnego wieczoru, kiedy ułożyła do łóżek zmęczone bachory.

Anielkę zaskoczyła pani starsza. Miała klucze od mieszkania i spadała bez zapowiedzi w rozłąkę młodej kobiety, pilnując z doskoku praw syna, który z piasków Iraku mozolnie wydobywał swój dom.

– Synowa płaci za opiekę, nie za czytanie.

– Ja tylko tak, żeby nie usnąć, proszę pani. Jak małe śpią, a ja beczynn timer przy nich siedzę, to mnie morzy – przytomnie znalazła się Anielka.

– Nie mogłaś wziąć jakiej przyniszczonej, musiałaś nowego reprinta, czy wiesz, ile kosztuje! To książka ekstra na poziomie i dobra lokata, byle tylko myszy nie pocięły, jak się oni wyprowadzą do Zalesia. Na parterach lubią się gnieździć gryzonie. Musowo hodować kota. Dawaj, trzeba odłożyć na miejsce, takie do używania bierze się w bibliotece. Darmo.

– Pani pozwoli dokończyć.

– A o czym to?

– O męczeniu chrześcijan – wyeksponowała Anielka największy atut mający szansę trafić do pani starszej.

Może chrześcijanie, a może rozpacz w głosie Anielki powstrzymała natychmiastową rekwizycję. Pani starsza poleciła obłożyć książkę w gazetę, myć ręce przed dotknięciem, po czytaniu odkładać na stół, a bibliotekę zamknęła na klucz.

Dzięki trzeciej Dobrej pani Anielka poznała całego Mickiewicza. Tu dzieci również ujawniały energię zdolną uruchomić elektrownię średniej mocy, lecz jako nałogowiec zawsze potrafiła tak się urządzić, aby urwać trochę czasu na czytanie. Książek znalazła bez porównania mniej niż u pierwszej czy nawet drugiej Dobrej pani, ale jakie!

O biednych, szlachetnych, czystych dziewczynach nazywanych dziewczętami albo

dziewicami. Cyniczni mężczyźni najpierw podstępnie dziewice rozkochiwali, później wywozili do lupanarów Argentyny. Te książki niechętnie użyczały treści, brakowało w nich kartek i pisownia była jakaś nie z tego świata, a o dziewczach i rozpuście Anielka niewiele wtedy rozumiała. Nieświadoma zasadzek mowy ojczystej zgorszyła wychowawczynię, do której dotarło, o czym Anielka opowiada koleżankom, a ona przekazywała tylko tajemnice dziwnych, starych książek. Podobnie się miało ze słowem: prostytutka. Od szczeniaka Anielka mniej więcej była zorientowana w potocznym znaczeniu określenia: kurwa. prostytutkę odebrała jako odmianę nazwy osoby prostej, użyła w odpowiedzi na lekcji, wywołując śmiechy bardziej osłuchanych dzieci, nerwową reakcję nauczycielki i wezwanie Babki do szkoły.

Dobłą panią bolało trwonienie przez Anielkę bądź co bądź zapłaconego czasu i starała się z pożytkiem go zagospodarować. Poleciała Anielce myć naczynia, pastować podłogi, ręcznie prać kołnierzyki przy koszulach pana przed włożeniem bielizny do pralki, sprawdzała pod światłem czystość stołowego szkła. Sadowiła na taborecie swoją tuszę, oko dostrzegło, a palec wytknął najmniejszą niedokładność. Lecz w niedzielę, jeśli Anielka była potrzebna do dzieci, nie wypadało zadawać dodatkowych robót i pani w imię święcenia dnia świętego musiała cierpieć nieróbstwo Anielki, a ona zawsze wynalazła sposób, aby się dobrać do przygód dziewcz sprzedawanych w Argentynie.

– Zgłupiejesz od tego czytania – przepowiadała Dobra pani po powrocie ze świątecznego brydza. Wyłuskana z gorsetu, wyszczuplającej zbroi firmy Triumph, upodabniała się do Buddy opiętego perkalem.

Dobra pani usunęła z zasięgu Anielki wszelkie książki. Poza jedną jedyną.

– Masz tutaj Mickiewicza. To wieszcz narodowy. – Dobra pani nic więcej nie miała do powiedzenia ani o poecie, ani o jego dorobku. Była jednak pewna, że ochwaci Anielkę grubym tomem pełnym rymów. Dobra pani nigdy przez nie nie przebrnęła.

Anielkę zaciekawiła karta tytułowa: Adam Mickiewicz, dzieła poetyckie, wydał i objaśnił Tadeusz Pini, wydanie trzecie zupełne z portretami i podobiznami autografów poety, Nowogródek 1933 rok, nakładem Komitetu Mickiewiczowskiego.

– Też pradawna – oceniła.

Tamte o cnotliwych dziewczach nosiły jeszcze wcześniejsze daty edycji, ta była większa, miała nadpalone rogi i swoją historię. W roku tysiąc dziewięćset czterdziestym czwartym wyrzucona na ulicę przez zwycięzców, którzy po splądrowaniu wymierzali śmierć domom, padła blisko tych o dziewczach, też wyrzuconych, tylko z innego księgozbioru i innego okna, leżała z odchylną okładką i śladem podkutego buta na karcie tytułowej z

nazwiskiem autora.

Wszystkie uratował dziad Dobrej pani.

Miasto płonęło, ostatnie kolumny mieszkańców miały rogatki w drodze do Pruszkowa, dziad Dobrej pani z narażeniem życia przedarł się do stolicy na szaber. Szukał przedmiotów wartościowych, podniósł jednak księgę ze śladami ognia z szacunku dla imienia, o którym słyszał, że wielkie, chociaż żadnych wierszy nigdy nie czytał. Za przyczyną księgi, opromienione mocą jej chwały, dostało ocalenia w worku dziada Dobrej pani kilka z tamtych o dziewicach.

Anielka, zwierzę wszystkożerne, poradziła sobie i z wydaniem trzecim, zupełnym, wielkiego Adama. Z początku brnęła na przekór złośliwym intencjom Dobrej pani i nie wiadomo, kiedy księga wciągnęła. Anielka przeczytała wszystko, nie zmoła jedynie rozdziałów pielgrzymstwa, ale niektóre frazy jakby same zaległy w pamięci. W starszych klasach Anielka odcinała kupony od tego Mickiewicza poznanego jakby z musu.

Błysnęła znajomością wieszczą nawet przed panem wizytatorem. Było umówione z Panią, że Anielka zgłosi się do odpowiedzi i powie, co wynikało z programu nauczania. Powiedziała, zakończyła o strofach, które trafiły pod strzechy, co teraz stanowi li tylko metaforę, albowiem w Polsce Ludowej już nie poszywa się dachów słomą. Tenor wypowiedzi wyraźnie podobał się Pani i Panu wizytatorowi, pewno dlatego Pan wizytator zapytał Anielkę, czy zna wieszczą spoza przerabianej lektury, i Anielka wyrecytowała:

– Ręce za lud walczące sam lud poobcina; Imion miłych ludowi – lud pozapomina...
Wszystko przejdzie! Po huk, po szumie, po trudzie Wezmą dziedzictwo cisi, ciemni, mali ludzie.

Anielka widziała, jak mierzchnie twarz nauczycielki, a zmarszczka wytężonego namysłu redli czoło wizytatora, potem uderzyło jego ciężkie spojrzenie.

– Dziękuję – ruchem dłoni odesłał Anielkę do ławki. W klasie zapadła cisza. Później, w pokoju nauczycielskim, chciano wiedzieć, dlaczego w odpowiedzi wizytatorowi przyszedł jej na myśl wiersz o cichych, ciemnych, małych ludziach i skąd go zna, skoro nie ma owych rymów w szkolnych wydaniach. Nie obyło się bez wezwania Babki.

W następnym miejscu Anielka już nie niańczyła dzieci, niańczyła samą Dobrą panią. Nie byle kogo. Poetessę. Pomagała jej przy ubieraniu pilnując przed wychodzeniem z domu w dwóch pantoflach na lewą nogę. Strzegła ładu nie pozwalając ukrywać się rzeczom przed sędziwą Damą. Na dalsze spacerzy wozila ją popychając fotel na kółkach, zamawiała radio-taxi w przypadku prawdziwie odległych wypraw, kiedy wspomnienia domagały się powrotu do czasu dawno przeżytego. Toczyła wózek po Starym Mieście, Kolonii oficerskiej, Trakcie

Królewskim. I niekiedy odnajdywały owo zaprzeszłe. Pani kazała prowadzić się do Semadaniego, Ziemiańskiej, do Marca, do swojej młodości.

Od razu Anielka pojęła, że Semadani, Ziemiańska czy Marzec mogą być wszędzie, lecz zaczynając podróż w minione źle trafiła. Przez oszczędność. Dochody Dobrej pani nie przedstawiały się bogato, Anielka wybrała lokal zbyt pośledni. Szatniarz nie chciał ani przyjąć na przechowanie, ani wpuścić na salę fotela na kółkach i wygłosił przy tym niewybredną mowę przeciw takim gościom.

– Ani słowa więcej, proszę właściciela! – władczo wtrąciła się Poetessa.

– Zabieraj warzywo! – wrzasnął do Anielki.

– Zabłądziłam, tu nie Semadani – Anielce zrobiło się wstyd za szatniarza.

– Od razu tak pomyślałam. Semadani nie trzymałby ani przez chwilę ordynarnej obsługi.

– Jazda, sklerozo!

– Gdyby nie tacy jak ona, jeszcze siedziałbyś na drzewie i wybierał pluskwy z sierści! Chociaż niezupełnie pewne, czy z niego zlażesz – rozzłościła się Anielka.

Miała szczęście. Zestawienie pluskwy z sierścią na moment opóźniło reakcję szatniarza. Zanim wytruchtał ze swojego kojca z zacinającą się ladą, którą musiał unieść, aby wydostać stamtąd swoją zażywność, Anielka zupełnie nieciekawa odpowiedzi już toczyła fotel skroś chodnika ludnej ulicy. Pogroził tłustą pięścią i obiecał, że jej pokaże.

Po tym doświadczeniu powroty w młodość Dobrej pani dokonywały się w Bristolu albo w Europejskim, albo pod Krokodylem. Tutaj nie robiono im wstrętów i przyjmowano na przechowanie składany wózek.

Anielka była dumna z Poetessy i swojego miejsca w jej życiu. Pewno, miało owo miejsce i swoje cienie. Stara pani kazała otwierać tapczan i liczyła gromadzone w pudle torebki z kartkowym cukrem. I znowu rachunek jej się nie zgadzał. Z pewnością złodzieje. Przychodzą nocą, wynoszą, trzeba wymienić zamki. A może Anielka wzięła?

– Nie wzięła – Anielka nie czuła urazy, oczywiście nie było jej przyjemnie, lecz rozumiała, to uskładane lata mącą w głowie Dobrej pani.

Znalazła radę. Razem policzyły opakowania, stara Dama własnoręcznie zanotowała ilość, opatrzyła podpisem i zamknęła dokument w tapczanie. Później wystarczyło tylko zestawić zapas z wykazem i znowu powracał zwykły ład.

Stara dama już nie jadała mięsa, żywiła się słodyczami, poza herbatą o barwie czerwonego wina nie przyrządzała sobie nic gorącego. Anielka doniosła o tym Babce.

– Jak się szykuje na troje, czwarte też się pożywi, i tak nieraz zostaje – Babka zgodziła

się z intencją wnuczki i zaczęła gotować trochę więcej zupy. Nalewała wrzącą do termosu, kładła do koszyka foremkę budyniu, racucha, albo co mieli na dodatek, jeśli wygospodarowała bogatszy obiad.

Stara pani kilka razy przyjęła dary i przyszła do nich osobiście. Podziękowała, pochwaliła jedzenie przysyłane przez Babkę, bardzo lubi właśnie takie, prosi, niechaj Babka skalkuluje z pożytkiem dla siebie i na stałe zatroszczy się o jej stół.

Babka nie miała sumienia zarabiać na łyżce zupy, policzyła tylko mniej więcej cenę produktów i na desery brała co miesiąc kilogram cukru w naturze.

Stara dama nie była kłopotliwa, bez nadmiernych wymagań, nie dręczyła częstym żądaniem usług czy uwagi. Gdy pracowała, a pracowała do samej śmierci, umarła z ołówkiem w ręku nad kartką papieru – panował święty spokój. Anielka mogła w sąsiednim pokoju czytać do woli. Z początku, zanim się nie oswoiła, w ciągłej rozterce, co wybrać, za który tom najpierw chwycić, żeby nie ominęło najpiękniejsze.

Ściany w dwupokojowym mieszkaniu były wymurowane książkami. Tylko w środku jednej obniżona półka ustępowała miejsca portretowi Dobrej pani namalowanemu przez Witkacego. Tak poufale nazywała pisarza. Jego istnienie, niezwykłość, jego przeżywanie świata objawiło się Anielce też za przyczyną Dobrej pani.

Obraz fascynował. Mimo deformacji modelu była to bardzo piękna kobieca twarz, cała jakby złożona z błyskawic i płomieni. Teraz oryginał w niczym nie zdradzał tamtej, wielkiej urody z portretu. Nieraz, kiedy stara Dama szła z pomocą laski, zwłaszcza gdy przystawała wsparta na niej oburącz, wysoka, przygarbiona, o zatraconych kształtach, przypominała Anielce smutnego mastodonta z ilustracji oglądanej w atlasie prehistorycznych zwierząt z najniższej półki księgozbioru. A jednak coś pozostało z tych błyskawic i pełgających ogni, zwłaszcza w jej erotykach pisanych do końca dni. Z czasem Anielka zrozumiała podwójność wizerunku, tę drugą Poetessę, a może właśnie pierwszą, ukrytą wewnątrz urodziwej powłoki, i jej wiersze miotane przez owe błyskawice.

U Poetessy Anielka nie znalazła opowieści o szlachetnych dziewczicach sprzedawanych do Argentyny. Poetessa za nic miała takie książki. Żeby Anielkę odtruć i uratować dla literatury, zaaplikowała jej Balzaca i całe metry klasyków, a Anielka nie pozwoliła sobie zlekceważyć zaleceń Wielkiej Damy pióra, instynktem odgadując w niej ową wielkość. To był Ktoś!

Tworzyła porywające strofy, przekładała Safonę z oryginału, wprowadziła Anielkę w świat antyku i pomagała jej tam się zadomowić. Urzekła. Anielka wciąż od nowa się dziwiła, jak w tej starej, zmęczonej głowie może się pomieścić naraz tyle wiedzy, poezji i urojeń.

Zamiłowanie do literatury wynosi się z najmłodszych lat, mówiła stara pani, i rzucała Anielkę na głębokie wody trudnej prozy. Kładła przed nią Prousta, Anielka brnęła przez Prousta. Z czasem nauczyła się go rozumieć i tak nabierała smaku do twórczości piśmienniczej. Jakby weszła jej w krew. I pewno przez to pogarbiło się jej wykształcenie. Pchała nos w książkę w każdej wolnej chwili, nawet na lekcjach, gdy drętwy wykład kapał jak uszkodzony kran.

Zaliczała cierpkie uwagi, wlokła się o trójkach, skoro przenosiły z klasy do klasy, nie warto się wysilać. To dobre dla nierobów albo bogatych. Anielka musiała mieć czas i energię na drugą zmianę, tę z bachorami, a do bachorów nie trzeba piątek, tylko serca.

Babka marzyła o lepszej przyszłości dla Anielki.

– O czym ty mówisz, lepszej przyszłości zabrakło na transparentach – tłumaczyła z pobłażaniem Anielka. Nie umiała wtedy wyobrazić sobie siebie w odległym czasie przyszłym, niedokonanym, zwłaszcza owej pomyślności, i nie błyszczała notami z żadnych przedmiotów, nawet z polskiego. Chociaż obeznana prawie do perfekcji, obojętne: proza, biały wiersz czy rymy, za wroga miała gramatykę i prawidła języka. Obyta z dobrą frazą prawie nie popełniała błędów stylistycznych, lecz ortografią potrafiła czasami wstrząsnąć nawet najbardziej zahartowanym polonistą.

I tak była kimś.

Do Anielki szło się po streszczenie klasyków czy innej obowiązkowej nudy, zwłaszcza pisanej mową wiążaną, po zgrabne wypracowanie, po hasło do krzyżówki, a zasób jej wiadomości z literatury zdawał się niewyczerpany. Niesamowite, znała poetów, dramaturgów, historyków antyku, wybitne teksty starożytnej Grecji, Rzymu, eposy średniowiecza, dorobek Odrodzenia, napisane lub przełożone na polski, lecz nie nauczyła się obcego języka, który jej towarzyszył przez kilka szkolnych lat.

Babka nie śmiała posądzać książek o utrudnianie Anielce edukacji. Na Kolonii przed wojną Lepsze państwo miało pełne szafy książek i nikomu nie szkodziły. Przeciwnie, jeśli dzieci chciały się czegoś dowiedzieć albo nie były pewne, brały z oszklonej biblioteki gruby tom i zaraz robiły się mądrzejsze. Nie czytanie, a robota u Dobrych pań przeszkadza, przez zajęte popołudnia nauka cierpi, powiedziała sobie prawdę w oczy Babka. Czowała się winna.

– Wieczne jej odpoczywanie, a ty już nigdzie nie pójdziesz na wysługi – zapowiedziała po śmierci Sędziwej Damy.

Podjęła z książeczki oszczędności ciułane na zimową kurtkę dla Anielki, pożyczyła od pierwszej Dobrej pani, której nadal świetnie się wiodło na posadzie u Ambasadora, nie pożalowała odprawy danej Anielce przez córkę Poetessy mieszkającą w Paryżu.

Szafę w mniejszym pokoju kazała umocnić żelaznymi sztangami. Znajomy ślusarz z Bagna, dawnej dzielnicy rzemiosł tworzących w metalu, okuł mebel i nie zdał za robotę. Kilka razy obróciła do monopolowego i za wszystkie pieniądze przyniosła wódki.

– Wygląda jak więzienie – Anielka przyszła ze szkoły, przyjrzała się szafie. Babka ustawiała na półkach półlitrowe butelki. Wyprawowy mebel Babki, pękata zawałdroga z litego drewna, wyglądał jeszcze gorzej przekreślony na krzyż żelaznymi ramionami ze skoblem na ruchomej sztabie.

– Nie wywołuj wilka – przeżegnała się Babka – a na brzydotę zaradzimy. Zrobi się zasłonę.

– I przed kim tak się obwarowałaś? Ja nie piję – Anielka nie miała swojego pokoju, najlepiej czuła się w pobliżu Babki, ten służył do odrabiania lekcji, tutaj mieściły się książki i inne przybory do nauki, tutaj siadywały z Wiśką. Mniej zażyłych koleżanek nie sprowadzała do domu. Wstydziała się jego ubóstwa.

– Strzeżonego Pan Bóg strzeże – Babka zabezpieczyła miejsce, gdzie została złożona nadzieja nabyta za wszystkie własne i skredytowane zasoby. Wiedziała swoje, droga do przyzwyczajenia zaczyna się od łatwego alkoholu.

Kto to kupi? Martwiło Anielkę, przecież Babka nie wywiesi ogłoszenia.

– Jeśli kto porządny, u mnie zawsze dostanie butelkę – Babka zaniósła wici bliżej znanym sąsiadom i Panom od Dobrych pań.

Przyszli. Sami porządni ludzie. W osiedlu, wielkiej sypialni, niemrawo budowano pawilony sklepowe, do najbliższego monopolu kawał drogi. Babka doliczała umiarkowaną marżę, mieszkańcy mieli wygodę, uszlachetnioną ideą. Pomagali zarobić starej kobiecie na utrzymanie inwalidy i dziecka.

Nawet sztangi opasujące szafę na coś się przydały. Kiedy po raz pierwszy zrobiła nalot milicja, nie znaleźli niczego, co świadczyłoby o melinie. Czysto, schludnie, żadnej zapitej gęby czy podejrzanej ilości butelek. A Babki, jakby Pan Bóg nad nią czuwał, nie było w domu. Stała w kolejce po wódkę. Zaczął się czas, gdy każdą dostawę bez względu na ilość wykupywano na pniu.

– Tam są weki. Zamykamy przed Tekiem. On nie ma miary w jedzeniu. Może się zająć na śmierć. Klucze są u Babki, pojechała do miasta – uprzejmie objaśniła Anielka.

Trzymała palce złożone w diabełki, modliła się bezgłośnie i nakazywała Babce na odległość: zostań, gdzie jesteś, albo wracaj bez wódki. Dwie transcendencje, podbudowane naukowym przesyłaniem wiadomości głowa-głowa, wyraźnie pomogły. Spóźnił się dowóz alkoholu do sklepu. Babka przytaszczyła się z pełnymi torbami długo po odjeździe patrolu.

Żeby jednak nie nadużywać cierpliwości Pana Boga, mocy tajemnych, nawet wspartych telepatyczną transmisją myśli, wypracowały z babką parę scenariuszy na różne ewentualności. Po raz drugi uratowała je wersja: zgubione klucze.

Gliniarze napierali się obejrzeć szafę od środka. Babka zażądała od Anielki kluczy. Anielka zwiesiła głowę i milczała. Na co Babka wpadła w nerwy wcale nie udawane. Oni mogli stracić cierpliwość i zdobyć szafę szturmem.

– Zgubiłam – chlipnęła Anielka i rozplakała się prawdziwymi łzami ze strachu o Babkę i zawartość mebla. Tym razem gliniarze nie zdecydowali się ukrećić kłódki i nie tknęli wyprawowego sprzętu Babki. Z czasem dopadli. Kolegium ludzko się z Babką obeszło. Przez wzgląd na warunki rodzinne wyznaczyło umiarkowaną grzywnę.

Babka skądś się dowiedziała, najpewniej w monopolowym, o gliniarskich punktach. Milicjantom stawiają ptaszki za mandaty, aresztowania, odzyski alkoholi. Jak sobie jeden z drugim ueziera tych ptaszków, dostaje awans albo premię, albo wyższe stanowisko i jakieś lepsze wczasy lub sanatorium na dokładkę.

Nastał inny dzielnicowy.

– Niech pani skończy z procederem. Następnym razem będzie pani musiała zapłacić nową karę, surowszą, za niepoprawność. Skąd pani weźmie pieniędzy?

Nie skończyła. Świadoma groźby. Orzeczona kwota byłaby poza możliwościami Babki. Abstrakcja. Renta Teka z kilku lat. Ale renty Teka nie mogli zająć, ona handlowała wódką, nie Teko. Ją mogli wsadzić do więzienia, ale co wtedy zrobić z Tekiem. Jaki pożytek z zakluczenia starej kobiety, jedynej opiekunki ciężko okaleczonego człowieka i nieletniej dziewczyny. Wprawdzie nikt się nie wzruszył chorym dzieckiem pierwszej Dobrej pani, kiedy o dwunastej w nocy wyłamali drzwi do mieszkania, bo nie chciała otworzyć, i wywlekli ją, jak stała, do milicyjnej suki, powieźli w grudniową noc. Załadowali w samolot. A przez całą powietrzną drogę dręczyli pozorami zsyłki na Syberię. No tak. Dobra pani miała na hipotece politykę. Babka tylko wódkę.

Jakoś to będzie. Postanowiła ciągnąć, ile się da. Później woła boska. Babka nie chciała wybiegać myślą w owo później.

Nowy z Dzielnicy nie chciał wpędzić Babki za kraty, może oni wcale nie mieli tych punktów, mało ludzie klepią byle co, zwłaszcza w kolejkach, gdy im się nudzi. W każdym razie nie starał się Babki przyłapać. Widać to było gołym okiem.

Zaglądał, Babka przecierała fartuchem zresztą czyste krzeselko, służbowy mars tajał mu na twarzy na widok kicającego Teka albo Anielki.

– Współczujący człowiek – Babka zawsze starała się wypuścić na dzielnicowego

Teka. Zobacz, z czym się borykam. Dzielnicowy przejrzał intencje Babki, ale przecież nie była to gra. Kto inny dałby taką opiekę kalece i dziecku? Dzielnicowy wychodził nawet nie zważając spojrzeniem wyprawowej szafy, tylko apelował o zaniechanie procederu. Bez przekonania. Znał sumę renty Teka i możliwości chałupniczego dorobienia przez Babkę. Z ludzkiego odruchu uczulił opiekę społeczną.

Przyszła pani z opieki, przygroziła odebraniem elementowi Anielki.

– A weźcie, weźcie, jego też weźcie – Babka zawołała Teka. Wiele rozumiał w też swojej uszkodzonej głowie. Rozgniewany kicał ku Pani z Opieki groźnie bełkocąc. Pani uciekła.

– Chcesz nas oddać? – Anielka poczuła, jakby jej skaleczono serce.

– Nigdy, dziecko, póki we mnie tchu! Ale z taką dobrodziejką inaczej nie można.

Babka poszła do pierwszej Dobrej pani po radę, bała się. Dobrodziejka gotowa nie zrezygnować z prób resocjalizacji elementu. Dobra pani porozmawiała z różnymi mądrymi ludźmi.

– Może nękać, może nawet zaszkodzić – brzmiał wynik konsultacji.

Na dwa sposoby uprzedzono ewentualny atak. Po pierwsze, Dobra pani napisała, jak właściwie i z sercem Babka zajmuje się Anielką i okaleczonym inwalidą pracy, pismo podpisały czytelnie i z adresem wszystkie Dobre panie i wszyscy, co kupowali wódkę u Babki. Sami porządni ludzie. Wiele podpisów, i nie byle jakich, inżynierowie, magistrzy, lekarze, doktorzy, trafił się dziennikarz, aktor, sławny sportowiec, facet na ważnym stanowisku.

Babka dała odbić na ksero. Oryginału z podpisami, był wspaniały, żałowała się wyzbyć, a i dobrze mieć taki dokument w domu. Odbitkę zaniósła dzielnicowemu, jak jej poradzono, opowiedziała o groźbie Dobrodziejki.

– Jeśli nie można inaczej, niechaj mnie wychowuje jakaś inna Pani z Opieki.

Druga interwencja podążyła dojściem. Znajomy znajomych znał osobiście zwierzchność Dobrodziejki, poprosił więc o zamianę na osobę mniej autorytatywną, jeśli już Babka Anielki nieuchronnie musi pozostać pod opieką Opieki.

Nie wiadomo która z prośb odniosła skutek, w każdym razie Dobrodziejka nigdy więcej do nich nie przyszła. Od czasu do czasu zaglądała inna. Zwyczajny człowiek, zżyły się z Babką. Pani było po drodze, powracając z pracy do domu, niosła wypchane zakupami torby.

– Przyszedł olej z darów, proszę wstąpić, jest dla pani odłożony – mówiła. Siadała ciężko na podsunięte krzesło, uwolniona na chwilę od powszedniego brzemienia dawała wytchnienie zmordowanym rękom, obrzękniętym nogom poznaczonym archipelagami

żyłaków.

– Da pani biedniejszym. Nam takie wsparcie nie pomoże. I po co z nas dziadówny robić? Czy Teko nie powinien mieć większego dodatku na dziecko i większej renty, abyśmy mogli żyć godnie – Babka przygarnęła z dawna znane słowo, które ostatnio robiło karierę.

– Powinien – przyznawała zrezygnowana pani z Opieki. Starania o zwiększenie świadczeń spełzły na niczym. Wielka Budowa, która zabrała mu zdrowie, chociaż na straży jej interesów stali już zupełnie inni Radcy, pozostała niewzruszona jak betonowy kloc.

– Tylko nie przeszkadzajcie, poradzę sobie sama.

– Przy takim procederze na kogo pani dziewczynę wykieruje?!

– Do mnie hołota nie przychodzi, samo Lepsze państwo.

Proceder Babki ukróciła konkurencja.

– Żeby cię więcej, stara, w kolejce nie widział – powiedział Łobuz i wypchnął Babkę z ogonka po wódkę. Za Łobuzem i przed nim stała jego szpana. Nikt ze zwyczajnych klientów nie miał zamiaru się narażać, ekspedientki ich się bały. Poza tym nikt się nie litował nad meliniarką, wiadomo: hiena. Wynosi pełne torby, nazywa się, naród rozpija, bije monetę z musu pijaków, sklep ogałaca z towaru, braknie dla normalnych ludzi, co przyszli po jedyne pół litra.

Babka pojechała do innego sklepu, gdzie jej nie znano. Wracającej z zakupem Łobuz zastąpił drogę w pobliżu domu. Szła skrótem, wydeptaną między krzewami dróżką.

– Czas zamknąć metę, stara – strzepnął dłonią, z garści wyskoczyła krótka laga z gibką, spłaszczoną gruchą na końcu, jak łeb węża. Przeciągnął nim po boku jej torby. Zgrzytnęło kruszone szkło, zboczyło wódkę.

Jej krzyk nie wydobył się z gardła. Zaległ w krtani. Na tym skrócie była tylko ona, Łobuz i jego obstawa. Obstawa miała widok na dróżkę i na sąsiedni chodnik.

– Więcej ostrzeżeń nie będzie. Nie posłuchasz, ucierpi debil albo mała.

– Posłucham – przebił się głos przez zdrętwiałe usta. Łobuz usunął się ze ścieżki. Ruszyła przed siebie, bezgłośnie przeklinając, żeby sparciał, okulał, nie minął go pierwszy tramwaj.

Butelki potłuczone blisko dolnej krawędzi utraciły zawartość. Przepędziła resztki pozostałe na dnie, drobiny szkła osiadły na szmatce. Razem zebrała się flaszka.

Dozorca zdjął żelaza z wyprawowego mebla. Nie chciał przyjąć pieniędzy za usługę, ofiarowała swą ostatnią wódkę. Jeszcze tylko przez jakiś czas zawracali spod drzwi zawiedzeni klienci. Rychło sąsiedzka poczta rozpowszechniła dwa nowe adresy.

Pod jednym przez całą dobę sprzedawano alkohol, pod drugim wynalazki. Denaturat,

wodę toaletową, preparaty z dziedziny chemii gospodarczej. Obejmowały rząd dusz nad dotkniętymi przekleństwem musu, dla których najtańsza wódka była za droga.

3.

– Powinnaś pomyśleć o lepszym zabezpieczeniu.

– Szkatuła pochodzi z czasów młodości domu, niechaj się razem starzeją.

Wpójoną w mur ognioodporną kasę z żeliwnym ornamentem naśladowującym płaskorzeźbę chroniły dwa rygle. Staroświeckie i precyzyjne, uruchamiane kluczami z wielością ząbków na piórze, stwarzały blisko dwieście kombinacji. Tyle musiałby wypróbować potencjalny amator zawartości sejfów, aby trafić na dwie właściwe. Szkatuła brała początek w trzeciej ćwierci ubiegłego stulecia.

– Jest dość wnek na zamocowanie nowej, bez naruszania klauzuli kontraktu.

Na kupno posiadłości zaciągnęłam pożyczkę poręczoną przez Lothara, bank wyraźnie zastrzegł, dopóki nie zostanie spłacona cała należność, nabywcy nie wolno dokonywać żadnych przeróbek.

Mój zabytek posiadał tylko jeden komplet kluczy. Prawdopodobnie ów szczegół najbardziej niepokoił Lothara. Jako gwarant kredytu miał prawie nieograniczony wgląd w mój stan posiadania, poza leciwym skarbczykiem, który w domu pod attyką był jedynym pewnym miejscem, gdzie mogłam nie tylko przechowywać kosztowności, ale i ukryć dropsy.

– Park chroni ta sama klauzula.

– I jeszcze naczelnym ekolog miasta.

– Dlaczego więc kazałeś rozkopywać trawniki?

– Sadzono rośliny. Kultywowanie zieleni nie obejmuje formuła zachowania status quo do czasu nabycia pełnych praw, podobnie jak szeroko pojętej konserwacji budynków.

Miał odpowiedź gotową na wszystko. Zamarzyłam, aby musiał się zająć tą szeroko pojętą konserwacją. Przestałam ufać jego dobrej woli, odkąd bezwzględnie, dla mojego dobra oczywiście, pozbawił mnie mieszkania, pracowni w pawilonie, skazał na pomieszczenia za duże dla mnie, w których nic się nie zamykało i od dawna należał remont.

– Załatwię skrytkę depozytową w banku – wrócił do interesującego go tematu. Bulldog. Jeśli już coś chwyci – nie wypuści.

– W każdym razie biżuterię muszę mieć pod ręką. Nie sądzisz? – usiłowałam przejrzeć, co ukrywa za nowym pomysłem. Nie widzi dla mnie miejsca, spisał na straty? Ale

przecież muszę zarabiać, muszę pracować na moją popularność. Popularność przynosi pieniądze, pieniądze popularność. Jak mówił? Sprzężenie zwrotne, funkcja z cybernetyki i czegoś jeszcze, nie pamiętam. Podobne wiadomości nigdy się mnie nie trzymały. Muszę ocalić posiadłość, zabezpieczyć przyszłość Joannie, skoro nie mogę dać terażniejszości. O czym myślę. Jestem młoda, wyglądam na mniej lat, niż liczę. Wyglądam? Wyglądałam.

Jeśli jednak założę szłyk à la Russe albo perukę, jestem wciąż dobra, a jeszcze stretch, błogosławione włókno dające cudowną elastyczność materiałom podkreślającym linię. Tylko bez paniki, ale i bez złudzeń, jak długo jeszcze utrzymam się na rynku przy obłędnej konkurencji już nawet dwunastolatek. Każdy beczynny dzień powstaje przeciwko mnie.

– Możesz nosić imitacje klejnotów. Tak postępuje wiele kobiet.

– Pomyślę.

– Jeszcze jedno...

– Wiem. Nie powinnam być sama, ty nie możesz mnie niańczyć. Masz swoje życie i sprawy zawodowe. Świetnie. A ja nie zniosę nikogo obcego w moim domu, ciebie, przy całej sympatii, też wolę oglądać rzadziej. Jest fotokomórka, telekamera, alarm ochronny, telefon przewodowy, bezprzewodowy. Wystarczy.

Nareszcie sobie poszedł. Wprawdzie nie nachodzi mnie zbyt często, jego czas liczy się w najczystszych pieniądzech, lecz każdą obecnością wnosił niepokój i nowe żądanie. Kiedyś pod jego urokiem, wdzięczna za nowe życie, przepełniona podziwem dla jego wiedzy, stylu, elegancji, pozycji firmy, której był twórcą i animatorem, nie mogłam się doczekać spotkania. Imponował. Nie kochałam go nigdy. Już nie byłam zdolna do miłości, wypaliłam się do cna po niszczącym uczuciu do Kalifa. Oczarowanie Lotharem przeminęło, zwłaszcza odkąd zdobyłam własne imię. Własny sukces i własne konto.

On dał mi kształt i mocny punkt oparcia, przecież nie z altruizmu. Zainwestował i zbierał plon. Dzięki takim jak ja rosła jego marka, jego rachunek bankowy, opinia przedsiębiorstwa. Byłam awersem wciąż bardziej złotej monety Lothara Lunze.

Byliśmy kwita. Odkąd skończył się nasz romans, może nawet jeszcze wcześniej, zaczęło topnieć moje zaufanie. Nie było ślepą wiarą, która zginęła wraz z uczuciem do Kalifa, tylko pewnym kredytem, teraz na wyczerpaniu. Ostatnio w każdej jego radzie, a w gruncie rzeczy apodyktycznym nakazie, w końcu tak czy inaczej na mnie wymuszonym, zauważałam ostrze.

Goraz niechętniej znosiłam obecność Lothara, coraz bardziej cieszyły jego służbowe peregrynacje. Czym dalsze, tym lepiej. Znajdując się na miejscu mógł zaglądać o każdej porze. Miał dyskietkę do zamków. Teraz wyjechał do Kolonii. Wina mozelskie. Żadne

większe targi nie odbyły się bez udziału Agencji Artystycznej Lothara Lunze. Koniaki, lampy Tiffaniego, pasta do zębów, samochody, holenderskie sery, wyposażenia gabinetów dentystycznych, meble, kosmetyki, włoskie obuwie, austriackie gorseciarstwo, japońska elektronika nabierały klasy w towarzystwie albo na dziewczynach Lothara Lunze.

Uwolniona od groźby nagłej kontroli sama wynajęłam skrytkę w skarbcu bankowym. Jeśli nie będę mogła pracować, jeśli nie podołam spłatom, posiadłość albo przypadnie Lunzemu jako gwarantowi pożyczki, albo pójdzie pod młotek, albo zabierze ją bank. W każdym z tych przypadków mogą obłożyć sekwestrem cały stan posiadania za jednostronne niedotrzymanie umowy, za nie zapłacone odsetki czy inne należności, o których nie wiem i nie mam pojęcia. Bankierzy z tego żyją, bogacą się na bogactwie i na biedzie, na powodzeniu i na nieszczęściu klientów, tak mówił Lunze, a on zna się również na bankierskim rzemiośle. Więc muszę przynajmniej cenne drobiazgi ocalić dla Joanny, dziecka rozpaczy i przypadku.

Z pudła po norymberskich piernikach wyjęłam, osłoniętą pikowanymi saszetkami, biżuterię, kolekcję miniatur, kiedyś sztuka po sztuce doradzonych przez Lothara, trochę starych sreber, trochę kruszcowych monet, trochę akcji, w tym przedsiębiorstwa Lunzego. Na dnie pustej szkatuły niczym nie chroniony brzęknął, przetoczył się złoty pierścionek z turkusem, wymieniony za brylant Kalifa.

Od dawna nie myślałam o Kalifie.

Poznaliśmy się przed wejściem do Forum. Czas zaoszczędzony dzięki giełdzie gońców trawiłam na przeniknięciu w Wielki Świat. Wówczas w moim pojęciu Wielki Świat krążył po orbicie nocnych lokali, aby tam się znaleźć, należało poznać odpowiedniego mężczyznę, ponieważ do eleganckich knajp nie wpuszczano samotnych dziewczyn, w każdym razie takich jak my, z giełdy gońców.

– Żeby zainteresować właściwego faceta, trzeba wyglądać na dziewczynę wielkowiejską – oświeciły mnie bardziej obyte koleżanki po fachu.

Niedawno przyjechałam ze wsi.

Podczas lata w domu przez sześć tygodni zastępowałam urlop macierzyński w gminnej spółdzielni. Załatwił brat ojca. Miał chody, był wagowym w skupie zwierząt rzeźnych. Do szesnastu lat brakowało mi ośmiu miesięcy, czułam się dorosła, marzyłam o miłości. W wyludnionej gminie, gdzie większość wsi liczyła po kilkoro ludzi, samotne stare kobiety, ostatnie strażniczki trawionych przez czas dziedzin, umierały stojąc na progach swoich chat.

Kto miał ręce i nogi, ciągnął do miasta albo na zagraniczne roboty. Nie zauważyłam chłopaka godnego moich marzeń. W magazynie widywałam wciąż tych samych niemłodych mężczyzn. Śmierdzieli potem, nie pranymi drelichami, marnym tytoniem, przetrawionym

alkoholem albo świeżym samogonem. Dnie stały w miejscu, podobne do zawiesiny z żabiego skrzeku.

Za zarobione pieniądze uciekłam do siostry w Warszawie.

– Wyrzucili mnie ze szkoły – zaszlochałam na jej ramieniu. Wcale nie musiałam udawać, tak się wczułam w skłamanie nieszczęście. – Pozwól pobyc, może się gdzie zaczepię i jakoś urzędę.

– Spróbuj – powiedziała siostra i zdjęła z pawlacza składane łóżko.

Znalazłam pracę gońca. Brałam rano korespondencję, jeździłam po mieście. Poznawałam stolicę i takich jak ja z innych instytucji. Wprowadzili mnie na swoją giełdę. Tam w określonych godzinach posłańcy z ministerstw i pomniejszych urzędów wymieniali między sobą przesyłki. Każdy roznosił pocztę różnych firm w obrębie jednej enklawy, zamiast gonitwy tylko z własną z krańca na kraniec. W godzinę rozprawiałam się z zadania poprzednio wypełniającego cały roboczy czas.

Resztę etatowej dniówki przesiadywałam w lokalach śródmieścia, oszczędnie sącząc kawę, która jeszcze długo wcale mi nie smakowała. Za pierwszą pensję kupiłam sobie modne ubranie, czułam się kimś, byłam szczęśliwa, czego nie dało się powiedzieć o siostrze.

Nie miałam szans na mieszkanie z uposażenia gońca, więc mój pobyt zapowiadał się nie wiedzieć na jak długo, może na zawsze. Dręczyła myśl, że z dobrego serca ubrała się w niedołęgę, która będzie wisieć u szyi po wieki wieków i jej dobroć, rodzinna lojalność obróci się przeciwko niej, jej dzieciom i mężowi.

Zajęta sobą nie miałam pojęcia o rozterkach siostry. Właśnie zaczęłam trenować wielkowiejskość podpatrując sposób bycia, makijażu i stroje w lepszych kawiarniach centralnej dzielnicy, to znaczy zbijając baki nad filiżanką naparu. Tak dokonałam podstawowych odkryć.

Od stóp po głowę nosiłam źle uszytą, źle wykończoną, jaskrawą tandetę, liche pantofle po pierwszym deszczu straciły fason, jeśli w ogóle kiedykolwiek go miały. Za dużo marnych kosmetyków, za dużo marnych pachnideł. O sztuce stosowania upiększających specyfików nie miałam pojęcia.

Zaciągnęłam dług w kasie pożyczkowej, kupiłam drogie czółenka i dobrze skrojoną sukienkę. Wprawdzie z żalem, ale wyniosłam do zsypu, żeby nie kusity, plastikowe kolczyki, czarnożłote romby dyndające na niby złotych łańcuchach, taki sam naszyjnik. Wyrzuciłam tanie kosmetyki. Na bardzo dobre nie było mnie stać. Przestałam się malować.

Flakonik markowych perfum kosztował więcej niż miesięczne wynagrodzenie. Z nich najłatwiej zrezygnowałam. Nie czułam jeszcze smaku zbytku, wyrafinowania, dyskretnej

elegancji. Wychodząc z „Mody Polskiej”, wspomniałam higienistkę z internatu szkoły odzieżowej. Kiedy nareszcie przyznano mi miejsce, przeniosłam się tam z prywatnej stancji.

– Śmierdzi jak w lisiej jamie polanej perfumą – pociągała nosem po wejściu do przeludnionej sypialni i goniła nas pod prysznicę, do pomieszczenia słabo opalonego, z wodą w najlepszym razie letnią, mozolnie ciurkającą z zardzewiałych sitek. Miałam przewagę nad współlokatorkami, moja wieś leżała nad rzeką, przywykłam od dziecka do jej zimnego nurtu. Teraz złożyłam daninę pamięci szkolnej higienistki. Powtórnie weszłam do sklepu i wybrałam najdroższy dezodorant o subtelnym zapachu. W portmonetce pozostała równowartość dwóch kaw.

Nazajutrz portier odziany w tabaczkowy kaftan obszyty złotym galonem wziął ze mnie miarę lodowatym spojrzeniem i nie wpuścił do Forum, ale w tym samym momencie, jakby go chwyciło lumbago, gwałtownie przełamał się w pasie, wykonując skłon.

– Ta pani jest ze mną – powiedział ktoś nad moim ramieniem i ujął pod rękę. Jak w transie dałam się prowadzić odbiorcy czołobitności fagasa, ogłupiała ze szczęścia, triumfująca.

– Czekasz na kogoś?

– Nie, chciałam tylko napić się kawy.

Był piękny, wspaniały, olśniewający. Nosił srebrzyście białą koszulę, ciemnogranatowe ubranie, złotą spinkę w krawacie, złote spinki w mankietach, złoty zegarek na pasku ze złotych segmentów, na drugim przegubie już tylko dla samego szyku pobrzękiwała przy każdym ruchu ręki gruba, szeroka bransoleta ze złotych elips.

– Zapraszam na obiad. I nie mów nie. Bardzo proszę. To cię do niczego nie zobowiązuje – mówił z cudzoziemską, uśmiechał się jak szlachetni bohaterowie z filmu..

Nawet nie pomyślałam, żeby odmówić. Gdybym mogła, zatrzymałabym czas. Nie musieć stąd odejść. Nigdy. W środku mnie kiełkował już smutek rozstania, ale on wcale nie chciał się rozstawać.

– Wiesz, co teraz zrobimy? Odwiozę cię do domu, zmienisz sukienkę na wieczór, przez ten czas ja także się przebiorę, przyjadę po ciebie i będziemy znów razem, chcesz? Potańczymy. Wybierz lokal, jaki najbardziej lubisz.

– Nie mogę – byłam bliska płaczu. Zdruzgotana przeszkodą nie do pokonania.

– Rodzice nie pozwalają?

– Moi rodzice nie mieszkają w Warszawie... – odpowiedziałam na pytanie nie zdając sobie sprawy, że objaśniam sytuację rodzinną, społeczną, lokalową. Na wszelki wypadek dorzuciłam sobie dwa lata wieku.

- Jeszcze się uczę – nie przyznałam się do pracy gońca, uznając za mało prestiżową.
- Szkoła zabrania dansingów i znajomości z orientalnymi Panami?
- Nie – byłam nieszczęśliwa, lecz wstyd powstrzymywał wyznanie. Nie mogłam się przebrać na wieczór, ponieważ miałam na sobie jedyny najlepszy strój.
- Rozumiem – klepnął się w czoło – możesz iść wszędzie w swoim kostiumie. Jesteś śliczna, a twoje włosy są piękniejsze od najpiękniejszych klejnotów.

Przez kilka następnych dni po rozniesieniu poczty już nie wysiadywałam po kawiarniach, śpieszyłam do domu i kładłam się spać. Na odwieczny budził mnie powrót domowników, umyślnie zachowujących się bardzo głośno. Mieli za złe wylegiwanie, podczas gdy oni pracują. Siostra z zaciśniętymi ustami głośno przestawiała garnki, ja okupowałam łazienkę, szwagier niby przez roztargnienie gasił światło. Nieczuła na szykany i pretensje, znowu wychodziłam wieczorem i nie było siły ani awantury zdolnej mnie zatrzymać.

Za zakrętem osiedlowej ulicy, w wiśniowym audi czekał Kalif, moje prawdziwe życie. Pod koniec nieustającego święta, przetańczonych wieczorów, zarwanych nocy założył na mój serdeczny palec pierścioneł z kamieniem przejrzystym jak krynica, rozłamującym światło na tęczujące promienie. Pierwszy raz w życiu zobaczyłam brylant.

– Teraz jesteś moją narzeczoną – powiedział, a ja poczułam się zaręczona. Stał się moim udziałem obyczaj widywany czasami na starych filmach. W moim otoczeniu nikt się nie zaręczał, także wyszło z mody słowo narzeczeni.

Oczarowanie. Utożsamienie ze światem pewnego gatunku kina. Może jakieś geny, albo nerwowe styki, w encyklopedii wpisane pod hasło dendryty, czyli wypustki komórek nerwowych, zmuszały mnie do wejścia w krainę stworzoną przez Kalifa, wyizolowaną z rzeczywistości.

Noce spędzałam poza kontrolą siostry. Zmęczonej ciasnotą dały okazję do rozgęszczenia metrażu. Wymówiła turystyczne łóżko rozstawiane dla mnie na noc w pokoju, gdzie spali wszyscy.

– Nie mam zamiaru czekać, aż sobie brzuch uhodujesz!

Sprawę załatwiła krzykiem, krzykiem osłoniła niezadowolenie z siebie, swój wstyd i żal do mnie, przyczyny frustracji, ponieważ jakkolwiek niepokoił ją przysłowiowy brzuch, nie umiała zataić nawet przed sobą, że stanowi pretekst do pozbycia się mnie z mieszkania. Dzieci wlażyły pod stół, szwagier schował się w łazience, odżałowałam pozostawiony tam mój wytworny dezodorant.

Ja również byłam zmęczona ich stałym oczekiwaniem na głośno wyrażaną wdzięczność i usługi. Posądzalam siostrę o zawiść. Z mojej nowej perspektywy jej życie

wyglądało szaro, nędznie i bez nadziei. Gwałtowna scena przyspieszyła rozstanie. Byłam zadowolona. Zdecydowano za mnie. Odeszłam natychmiast, pewna, że mam dokąd.

– Wyrzucili mnie z domu – zawiadomiłam Kalifa i rozplakałam się ze strachu, dopiero teraz niepewna jego reakcji.

– Porzucisz ojca, matkę i pójdziesz za chłopem – zacytował wers ze świętej księgi we własnej interpretacji, tylko jemu właściwą polszczyzną.

Moje nowe miejsce na ziemi stanowiły dwa piękne pokoje urządzone meblami z jasnej sosny.

– Tu będziemy mieszkali.

Zamarzyłam o białej sukni z komisu, ślubie w naszej parafii i weselu, na które sprosimy krewnych, sąsiadów, znajomych i dziewczyny z odzieżówki. Zamarzyłam o białym samochodzie ustrojonym łopocącymi w pędzie wstążkami. Na masce lalka w stroju panny młodej i wiązanka białych storczyków. Kolor i wystrój auta znałam ze swoich stron. Taka tam obecnie panowała moda. Bukiet żywych orchidei zobaczyłam na stole olśniewająco ubranej dziewczyny podczas jednego z wieczorów spędzonych z Kalifem. Z oglądanego niedawno filmu dodałam jeszcze długi welon niesiony przez dziewczynki przyodziane jak do sypania kwiatków podczas procesji i zesłam z rojeń na ziemię. Bogata oprawa uroczystości wymagała pieniędzy, o komplikacjach z powodu różnicy wyznań w ogóle nie myślałam. Kalifowi na razie wystarczało narzeczeństwo, o małżeństwie nie wspominał.

– Trochę mnie sytuacja zaskoczyła – przyznał ogarniając gestem mieszkanie. Właśnie ulokował kapitał w pewnym small-biznesie, resztę wolnej gotówki pochłonęło wynajęcie lokalu. Musiał zapłacić za rok z góry, po trzysta dolarów miesięcznie.

– Poszukajmy coś tańszego – przeraził mnie koszt.

– Nie bądź niemądra. Żadna oszczędność. Najlepiej pomożesz pracując.

Pożałowałam ukrycia prawdy, jednak z upływem czasu coraz trudniej było zdobyć się na wyznanie, że jestem gońcem. Oczywiście do wspólnej kasy przyniosę wszystko, co zarobię. Całe uposażenie, wówczas równowartość piętnastu dolarów. Namyslałam się już tylko, jak dokłamać uprawiane zajęcie do wymyślonej szkoły, uzasadniając pensję, i wpadłam, moim zdaniem, na pomysł świetny.

– Mogę przyjąć robotę gońca, nie będzie kolidowała z nauką – taki kontekst odejmował nieatrakcyjnej pozycji społecznej całą zgrzebność. Po prostu dorywcze zarobki uczącej się młodzieży, jak na Zachodzie. Kalif jednak pochodził z Bliskiego Wschodu i nic nie wiedziałam o jego poglądzie na mało ambitną posadę.

Wieczorem poznałam Jasnego.

– Polski kuzyn – przedstawił Kalif rosnącego osiłka ze złotą szopą włosów i twarzą świętego młodzianka.

Sięgnął do barku w regale, nalał sobie picie. Przyniósł z kuchni lód i jedzenie. Szarogęsił się niby u siebie. Zdziwiłam się nawet, skąd wie, co gdzie leży w świeżo wynajętym przez Kalifa mieszkaniu. Nareszcie usiadł, zagrzechotał lodem w wysokiej szklance, pociągnął łyk, obmacywał mnie wzrokiem. We mnie kiełkował niepokój, nikt się nie odezwał, poszukałam oczyma wsparcia u Kalifa. Nie patrzył na mnie.

– Owszem. Niezła na optykę – przerwał ciszę Jasny. – Ale ona ciebie nabrała, Kalif.

– Uważaj, co mówisz o mojej narzeczonej – obruszył się Kalif.

– Nawet nie ukończyła szkoły odzieżowej, uciekła ze wsi, robi za gońca w ministerstwie, do tego niepełnoletnia – poskarżył Jasny i do mnie: – Zaprzecz, jeśli kłamie.

Odczułam, jakbym ginęła w katastrofie.

– Honey – zwrócił się Kalif tajemnym imieniem naszej miłości. – Odpowiedz!

– Tak... ale nie tak... – głos uwiązł w gardle.

– Ufałem ci. Rozdarłaś moje serce – szepnął Kalif.

Ciężko zranił wyrzut, należało wstać i odejść, ale przyrosłam do ławy wysłanej orientálnymi poduszkami.

– Jutro się dowiem, co zdecydowałaś – wyniósł się Jasny.

– Idź spać – powiedział Kalif. – Porozmawiamy rano – postawił przede mną talerz z wędliną, chleb i termos z herbatą. W milczeniu zebrał puste naczynia po Jasnym, słyszałam ich dźwięk i odgłos strumienia wody z kuchni, później szum prysznic w łazience, kroki w przedpokoju i lekki trzask zamykanych drzwi sypialni. Mieszkanie było bardzo akustyczne. Skazano mnie.

Egzekucję odłożono do rana. Nie ruszyłam się z ławy. Cisza. Zstąpiłam do grobu. Zaczęłam w tym grobie płakać, zatulając twarz pluszowym jaśkiem ze srebrnym haftem. Świat się dla mnie kończył, kończyło życie. Wskoczyć przez okno? Pierwsze piętro, na dole trawnik, wystawię się na pośmiewisko, jeśli zostanę żywa, ale przede wszystkim nie mogłam zrobić Kalifowi świństwa ze zbiegowiskiem, milicją i dochodzeniem. Zdążę nazajutrz utopić się w Wiśle.

I nie do wiary, znowu lekkie kroki, które rozpoznałabym wśród tysięcy innych. Zamarło serce.

– Boli mnie, kiedy płaczesz – w smudze zapachu wody kolońskiej otoczyły znajome ramiona, już nie chciałam umierać. – I boli, kiedy ktoś bliski karmi fałszem.

Wstydziłam się niskiej rangi mojego zajęcia i braku wykształcenia. Nie jestem obyta,

przed spotkaniem ciebie nigdy nie byłam w Forum, Victorii czy Europejskim, nawet nie widziałam z bliska prawdziwej orchidei. Nie wierzyłam, aby cud naszej znajomości przetrwał bodaj dzień, więc co za znaczenie, kim się jest, tak myślałam. Później zamykał usta strach przed utratą zaufania i... nie zastanawiałam się, jak moja mistyfikacja zostanie osądzona, kiedy się wyda.

– Rozumiem. Ale nigdy więcej mnie nie okłamuj.

– Nigdy więcej.

– Od jutra koniec z noszeniem korespondencji i koniec z giełdą gońców, z całym tym towarzystwem nieuków i obiboków – wiedział o mnie prawie wszystko. – Załatwię ci prawdziwą, wytworną pracę, najpierw jednak musisz opanować pewien zasób wiedzy.

Nazajutrz obudziłam się późno, miałam zapuchnięte oczy, na stole w kuchni stało nakrycie do śniadania, w dzbanku zamiast mleka snop białych storczyków i poza mną nikogo.

Ucałowałam kwiaty. Byłam szczęśliwa.

Powrócił Kalif, przyprowadził Jasnego. Odbiło mi się wczorajszym koszmarem. Nie mogłam na niego patrzeć. Zauważył rezerwę.

– Nie miej do mnie żalu. Nie jestem twoim wrogiem, ale robota, jaką ci chcemy powierzyć, wymaga bezgranicznego zaufania.

Jasny zaczepił na ścianie wielki rulon. Z szelestem kartonu podklejonego płótnem rozwinęła się mapa, stuknął brzeg ujęty w obłą listwę.

– Jaka to część świata?

– Europa...

– Pokaż strony świata – podał cienką pałeczkę – pokaż Warszawę, Berlin, Düsseldorf, Kolonię, Londyn. Jezu! Gdzie ona szuka Londynu? Klimat, flora, fauna. Jezu! Fauna to zwierzęta w ogóle, wszystkie!... Przyjrzyj się, tak wygląda wnętrze samolotu.

Otworzył kadłub modelu, w środku były rzędy foteli, dały się pochylać, na bokach siedzeń kieszenie na prasę, książki, drobiazgi, chodnik przez środek, kabina pilotów, luki bagażowe, toalety, pomieszczenie kredensu.

– Jakiego języka uczono w twojej odzieżówce?

– Rosyjskiego, ale... nie umiem.

– I on chce ciebie przerobić na stewardesę. Jezu! Gość nie z tej ziemi.

Zamarłam z wrażenia. O stewardesach wiedziałam, że latają samolotami, eleganckie, piękne, ubrane żurnalowo, bywałe we świecie, przywożą sobie z tego świata fantastyczne rzeczy i pierwszorzędnym mężów. Pośród pasażerów pełno atrakcyjnych facetów, bogatych, na stanowiskach i w ogóle na poziomie, łatwo o dobrą znajomość. W moim pojęciu należały

do tej samej grupy wybrańców, co artystki, pieśniarki, zawodniczki sportowe, może tylko mniej sławne.

– Co właściwie umiesz?

Nie zdobyłam się na odpowiedź. Nie miałam żadnych kwalifikacji.

– Pomyślmy o jakimś obiedzie – zajął Kalif.

– Spośród tylu dziewczyn akurat ją musiałeś namotać? Pieprzony Pigmalion.

– Co to takiego Pigmalion? – zainteresował się Kalif.

– Palant. Zakochał się w damskiej figurze własnej produkcji. Ona nic nie umie – pokazał na mnie.

– Jest ładna, ma wdzięk i będzie wierna. Wykształci się, zobaczysz, wszyscy święci garnki lepią – zapewnił właściwą sobie polszczyzną.

– Kompletny kołek – ocenił Jasny.

– Czego powinnam się nauczyć? – poczułam się sponiewierana, ale przemilczałam epitet, jakby mnie nie dotyczył.

– Przynajmniej jednego języka zachodniej Europy, poruszania się w lecącym samolocie bez wywalenia dzbanka z gorącą kawą na głowę pasażera, również tak zwanej pomocy elementarnej, z czego, mimo łapówek za wepchnięcie cię w fach, musisz zdać egzamin, prowadzenia dwuśladów naziemnych i jeszcze kilku pomniejszych rzeczy.

– Ile czasu przewidziano na język, pielęgniarstwo i resztę?

– Kilka miesięcy.

Przy dużym niedostatku wiedzy ogólnej, zapóźnieniu cywilizacyjnym, niezadowolającym obyciu nie byłam pień. Po pierwszej panice, zwątpieniu w siebie, zawzięłam się. A właśnie, że się nauczę. Nie jestem gorsza od innych. Wspierały silne powody. Bardzo chciałam zostać stewardesą, jeszcze bardziej nie zawieść i nie utracić Kalifa, przy okazji utrzyć nosa jego przyszywanemu kuzynowi.

Otrzymałam najnowsze pomoce, słowniki, urządzenie do odtwarzania i kasety z nagranyimi tekstami. Na początku szło niesporo, nawet czysto techniczne szczegóły sprawiały kłopoty, ale najbardziej, zanim wdrożyłam się w obowiązki, przeszkadzał brak nawyku systematycznej pracy. Pewnie! W domu przed robotą chroniła matka, obciążając starsze rodzeństwo, w szkole sama odkryłam, jak się migać.

Teraz dzień w dzień od ósmej rano do południa emerytowany profesor uczył mnie sztuki gramatycznego mówienia i czytania po niemiecku. Po kilku godzinach morderczych lekcji jechałam do pani blisko siedemdziesięcioletniej o giętkim ciele kobry, Baleriny w stanie spoczynku. Nigdy dotychczas nie widziałam starej kobiety o takiej sylwetce. Nie

mogłam oderwać od niej oczu, kiedy opięta czarnym stretchem demonstrowała swoją biegłość. Naśladując ją, czułam się z początku ciężka i niezdarna. Poza godzinami wychowania fizycznego w szkole, nigdy nie uprawiałam żadnej gimnastyki.

– Tylko od ciebie zależy, jak długo zachowasz piękną linię, jędrne mięśnie i gładką skórę. Natura postąpiła względem ciebie hojnie. Nie zmarnuj daru. Jesteś młodziutka, ale ćwicz, ćwicz codziennie przynajmniej pół godziny. To twój kapitał na teraz i na później, kiedy już nie będziesz młoda.

Nawet nie zastanawiałam się nad przemijaniem. Mnie czas nie obowiązywał. Starość należała do nieszczęść, jak nieuleczalna choroba, kalectwo czy śmierć w katastrofie. Ja miałam wyłączność na wieczną młodość. Jednak wszystkie zalecenia Maestry odbierałam gorliwie, jak najwyższe wtajemniczenie do zawodu fascynującego dziewczyny z internatu szkoły odzieżowej w mieście nie posiadającym połączeń lotniczych ani lądowiska.

Uczyłam się ładnie chodzić, zachować właściwą postawę także w najtrudniejszych warunkach, w czółenkach na wysokiej szpilce podnosiłam sto pluskiewek, każdą oddzielnie, rozsypanych na parkiecie, spacerowałam ze stertą książek na głowie, wprawiając się w serwowaniu posiłków, nachylona nad fotelem, z tacą ciężką od stołowego szkła i fajansu na przedramieniu, drugą ręką nalewalam z dzbanka herbatę do filiżanek podawanych Balerinie.

Po zajęciach u Maestry, łykając bułkę z pieczarkami oproszoną serem, sandwicza warszawskiej ulicy tamtych lat, porwanego z mijanej przyczepy spełniającej rolę kiosku, śpieszyłam na kurs samochodowy. Z kursu biegłam na wieczorowe seminarium dla pielęgniarek, dokąd wkręcił mnie Jasny jako wolnego słuchacza i gdzie zdobywałam wiadomości z zakresu medycyny, warunkujące otrzymanie patentu stewardesy linii Madala. Moje dni były wypełnione po brzegi.

Nikt i nic nie odrywało mnie od zajęć. Kalif wyjechał. Przy pożegnaniu zapowiedział długą nieobecność. I tylko czasami zaglądał Jasny, wypłacał stypendium, pieniądze na moje potrzeby, sumę równą uposażeniu gońca.

– Przymierz. Oswój się. Zrobimy próbę – pod koniec edukacji Jasny przyniósł strój stewardesy. I już przy progu, z ręką na klamce: – Aha, telefonował Kalif, wraca jutro.

Kalif wracał. Wracało szczęście.

Na służbową bieliznę z prawdziwej jedwabnej dzianiny założyłam niebieską bluzkę z koszulowym kołnierzem podwiązanym niebieską aksamitką, ubrałam się w niebieski kostium i niebieskie kepi z niebiesko lakierowanym daszkiem, w mankiety wpięłam złote spinki z wygrawerowanym symbolem firmy, wzułam czółenka z cienkiej skórki barwy munduru, na rękawie i otoku czapki widniały emblematy linii lotniczych haftowane złotym galonem. W

lustrze zobaczyłam najprawdziwszą stewardesę. To byłam ja. Nie mogłam uwierzyć oczom.

Na wszelki wypadek okryta fartuchem przećwiczyłam wszelkie możliwe warianty z tacą zastawioną naczyniami. Następnego dnia już bez fartucha powtórzyłam sprawdzian przed Kalifem i Jasnym. Odpowiadałam po niemiecku na pytania zadawane przez Jasnego. Kalif rozumiał ten język, ale władał nim bardzo źle.

– Świetna! Mam oko, od razu wiedziałem – chwalił się Kalif.

– Lepsza, niż sądziłem – przyznał Jasny – jednak unikaj, mała, szerszej wymiany myśli zarówno po polsku, jak i po niemiecku. Tak, nie, proszę, dziękuję, uśmiech, ładna pogoda, brzydka pogoda, uśmiech. Te rzeczy. Najbezpieczniejsze dla ciebie. Uroczy sfinks. Aha! Sfinks to cyncaty lew z ludzką głową wystawiony jakieś cztery tysiące lat temu przez władców Egiptu pod piramidami, takie starożytne grobowce. Podobno czasami mówi, ale nikt jeszcze nie słyszał... Tu masz dokumenty, patent dziewczyny latającej, prawo jazdy i w ogóle. Za patent Kalif zapłacił majątek. Ponieważ na ogół przyjmują do tego fachu albo za wielką łapówkę, albo z wysokiej protekcji, przynajmniej w Peerelu.

– Po co jej to mówisz?

– Niechaj wie.

– Wgryź się w dokumenty. Powinnaś zawsze pamiętać i móc odpowiedzieć bez namysłu, gdzie i z jaką notą zdałaś egzamin – podpowiedział Kalif.

– I zdejmij pierścionek. Za bogaty, zwraca uwagę – Jasny przyjrzał się brylantowi na moim serdecznym palcu.

– Tak, Kalif?

– Wiesz? On chyba ma rację. Dam ci inny, roboczy, żebyś nigdy o mnie nie zapomniała. Cokolwiek się wydarzy!

Zastępczy pierścionek, turkus o odcieniu uniformu linii Madala oprawiony w cienkie złoto, leżał teraz przede mną. Cokolwiek się wydarzy! Klejnot Kalifa powrócił do zabytkowego sejfu w pudle po piernikach z Norymbergi.

4.

Anielka otwiera oczy, zamiast znajomego kąta w mniejszym pokoju z widokiem na szafę ze śladami po skoblach, upięty w poprzeczne fale kremowy jedwab cedzi słoneczny blask.

Nowe zasłony – skąd nowe zasłony?

Legowisko także nieznajome. Zamiast kanapy, najlepszego sprzętu oddanego Anielce, odkąd wyrosła i już nie mieściła się na tapczanie obok Babki, łóżko niskie i szerokie. Anielka leży w kremowych haftach oblekających złocistej barwy atlasową kołdrę, między szczytami z giętkiego drewna i plecionki z bambusowego łyka, też kremowej.

Jestem za granicą – w Berlinie.

Przypomniała się Poetessa. Stara Dama nazwę miasta wiodła od flisackiej berlicy. Z dała widoczny znak godności retmana zatknięty u czoła galara, barwnie przystrojony girlandą lub wieńcem, zwiastował komięgi ze słowiańskim ziarnem.

– Berli... berli... berli... – niosła się dobra nowina z biegiem Szprewy, poprzedzała sznur czworobocznych skut wypełnionych zbożem. Wraz z przybijającą flotyllą cumowało u nabrzeża rzeki oswojone słowo, z czasem wrosło w osadę jako jej imię.

Anielka nie odczuwa radości, nic ze stanu szczęścia dni poprzedzających wyjazd.

Do Berlina przyjechali nocą, samoczynnie rozsunęła się brama, lampiony na trawniku znaczyły wjazd do garażu ukrytego pod strzyżoną murawą. W mroku szumiały drzewa, z czarnej masy spęły cienie, falowały w nakładających się na siebie światłach kloszy osadzonych na mosiężnych łądogach wyrastających wprost z gruntu.

Z chwilą, gdy automat zatrzasnął drzwi podziemnego boks, mlecznymi lampami rozjaśniła się ścieżka prowadząca ku niewidocznemu pawilonowi, srebrem błyskały podbrzusza liści odwracanych powiewem, falami przepływała meszka, tańczyły i umierały ćmy. Anielka szła stukając drewniakami po płytach bielejących jak wytrawione kości, kładce rzuconej przez gąszcz, pośród samozniszczenia nocnych owadów.

Poczuła się nieswojo. Uwiędła cieleca szczęśliwość, gorączka przedwyjazdowych dni, poczucie wielkiej wygranej, zdechł duch. Przygnębiło pożegnanie z bliskimi, zmiana otoczenia. Dopiero tutaj zrozumiała, jak była do nich przywiązana. Opuściła dom. W zamięcie

serca, między radością a smutkiem rozstania i znużenia podróżą, jakoś nie bardzo cieszyła odmiana losu niczym w bajce. Dotknęło poczucie opuszczenia, sama jedna, zdana wyłącznie na siebie, przykuta kontraktem do Hausstrasse numer taki i taki na Grunewaldzie, dzielnicy ludzi bogatych.

Otrzeźwiło pukanie do drzwi. Siada i dopiero naprawdę się budzi. Ogarnia i wygładza wokół siebie kremowe nansuki, na wprost w lustrze obwiedzionym pasem plecionki, wyodrębniającym kremową ramę z kremowej ściany, widzi siebie w przepastnym łożu jak z filmu, w nocnej koszuli z kremowego batystu i tylko zmierzwiony warkocz nie jest kremowy.

– Dzień dobry, jestem Helmi – wchodzi dziewczyna ciągnąc za sobą odkurzacz. – Mam nadzieję, że madame odpoczęła po podróży. Madame spała dziesięć godzin. Jak się madame czuje?

– Jak w ptysiu – ziewa Anielka i wyskakuje z pościeli w kolorze bitej śmietany na dywan koloru bitej śmietany ze złotym szlakiem wzdłuż brzegów. Jest miły w dotyku. Anielka brodzi po wysokim runie jak po łące.

– Zbrzydła madame taka elegancka sypialnia?! – ożywiła się Helmi. Odsuwa zasłonę udrapowaną w poprzeczne fale i uchyla okno.

– Jeszcze nie zdążyła.

Anielka jest zachwycona, ale niedoczekanie, nie da po sobie poznać. Jest dzieckiem biedy, odkąd pamięta, jej naturalnym stanem był niedostatek i wstyd z tego powodu. Powstrzymuje się przed okazaniem szczególnej uwagi rzeczom pięknym i drogim. Niech nikt nie myśli, jakaś nędza traci przytomność na widok zbytku.

– I nie wygłupiaj się z tą madame. Mów po ludzku.

– Często zmieniasz meble? – Helmi nie daje się oderwać od tematu.

– Zależy – mówi od niechcienia Anielka, nie ma serca przyznać, że jeszcze nigdy nie urządziła domu i nie minęła doba, odkąd znalazła się w pawilonie z kremową sypialnią, która nie należy do niej, o czym Helmi zdaje się nie wiedzieć.

– A co robisz ze starymi?

– Tym się zajmuje służba – odpowiada nonszalancko Wielka Gwiazda Anielka.

– Kochana, wezmę z pocałowaniem ręki, gdy tobie się opatrzą.

– Z dnia na dzień nie wyrzucam dobrych mebli – wycofuje się Anielka.

– Poczekam – zapewnia Helmi i trochę już jak po własnym przeciąga irchą po szczycie łóżka, chociaż Anielka nie dostrzegła śladu kurzu.

Przez uchylone balkonowe drzwi przysłonięte gipiurą firanką wnika zapach nagrzanego słońcem geranium, dobiega odgłos strzyżenia trawy. Anielce przypomina inny

słyszany dźwięk. Zaatakował sen, przerwał gonitwę zapomnianych już majaków. Nie odnalazła kontaktu nocnej lampy, półprzytomna poszła na rysujący się pośród mroku kontur szyb, potknęła o niewidoczną oścież przeszklonego skrzydła. Otrzeźwił chłód posadzki na tarasie, w ciemności trwał krzyk. Niepodobny do głosu człowieka ni zwierzęcia, ni mechanizmu. Zamarł nagle, jakby pękł albo został przecięty. Anielce zrobiło się straszno, zamknęła drzwi, zacisnęła baskwil, ukryła się pod kołdrą.

Nocny epizod odrealniony światłem dnia wydaje się strzępem snu, reminiscencją nastroju, upadku ducha po przyjeździe. Wesoło jaśniej kremową terakotą taras położony wzdłuż całej kondygnacji, osłonięty markizą w złotokremowe pasy z brzegiem powycinanym w owale.

W kącie z ozdobnej donicy kipi pnąca petunia w gamie złota i bitej śmietany, dalej naprzeciw dwuskrzydłowych drzwi pokoju z kominkiem i częścią urządzoną jak jadalnia połyskuje lakierem wytłoczony w ażury ogrodowy komplet. Po bokach balkonu roztaczają okółki kępy srebrnych świerków, chwieją czubami na wysokości wyciągniętej ręki. Z daleka przez gałęzie prześwituje sąsiedni dom pod attyką, także kremowy, nawet widać naroże podobnej werandy, zamiast markizy pokryte pergolą z winogrodu. Tralki balustrady są identycznie obłe jak balaski pod poręczą, o jaką opiera się Anielka, tylko poszarzałe, widocznie dawno nie odnawiane.

– Bomba! – Helmi rozpakowuje bagaże, odkłada sztuki wymagające prasowania, dobywa z walizy białe puchate futro podbite białą morą z wielkim kołnierzem zakończonym frędzlą z lisich kit. Rzucone na łóżko przypomina kopiec świeżo spadłego śniegu, miękką ponowę nie tkniętą ludzką stopą ni tropem zwierzęcia.

Bez słowa, z westchnieniem podobnym do jęku, Helmi wywleka sforę srebrnych lisów pośmiertnie złączonych talentem kuśnierza, platynowy włos na gęstwie ciemnego runa lśni blaskiem polarnej nocy.

Helmi odbiera mowę. Przypomina teraz Dobrą panią, w której poruszyła się żółć na widok zielonej spódnicy Anielki, chociaż miała nabite szafy we własnym domu. Dobra pani chyba by teraz pękła, gdyby zobaczyła Anielkę w sypialni wyplatanej bambusowym łykiem.

– Stroje służbowe – łagodzi Anielka cierpienie Helmi.

Nie kłamie. Ubiory do zdjęć zostały zastrzeżone w kontrakcie. Kurtki, peleryna, płaszcze, sortie, czapy, szłyki à la Russe, skóry lisie uszyte jak żywe, z pazurami, ze szklanymi oczyma. Po wpisaniu w deklarację wszystko przebyło granicę bez opłat celnych, jako rekwizyty niezbędne do wykonywania zawodu Modelki. Anielka nie miała złudzeń, szlachetne runo zdarte ze zwierząt nie stanie się jej własnością.

Po futrzanej zapaści rozładunek przebiegał bez wstrząsów i już tylko z małymi przerwami.

– Mało masz rzeczy – pociesza się Helmi.

– Starczy do nowych żurnali, moda zmienia się szybko – mówi Wielka Gwiazda Anielka. Anielka zwyczajna, wychowana na jednych spodniach i szmacianej kurtce demisaison, noszonych świątek, piątek do zdarcia, wyprawkę przywiezioną z Warszawy uważa za wspaniałą, nigdy jeszcze nie posiadała tyle jednocześnie, lecz nie ma zamiaru zwierzać się nieznajomej dziewczynie.

– Wszystko kupuj w Warszawie, nawet jeśli wydaje się drogie, tam okaże się tanie. Inaczej stracisz w Berlinie ciężkie pieniądze. U nas za wymienioną markę kupisz siedem razy tyle – życzliwie doradzała oblatana Wiśka.

Anielka myśli o praktycznej koleżance. Szkoda, że nie ma tu Wiśki.

– Same polskie rzeczy – Helmi z rozczarowaniem ogląda firmowe znaki.

– Nie wszystkie – Anielka demonstruje dżemper od Benettona.

– Ale tam kupione. Gdzie masz stroje, w jakich wypuściłaś się do Warszawy?

– Do Warszawy... – nieco głupiej Anielka.

– Właśnie, nie widzę żadnego ubrania wziętego stąd.

– Aha, do Warszawy. Do Warszawy prawie nic nie brałam – połapała się Anielka i nie prostuje wyobrażeń Helmi, widocznie Hanig nie powiedział służącej, że Anielka dopiero nastąpiła. Dlaczego? Mniejsza. Widocznie tak należało.

– Przecież nie pojechałaś goła – surowo zauważyła Helmi.

– Te trochę szmatek podarowałam znajomym.

– Teraz, jak będziesz miała co do oddania, pamiętaj o mnie.

– Oczywiście, Helmi.

– Bomba! – Helmi przymierza do siebie zieloną spódnicę i szydełkową bluzkę.

– Niezła – powściągliwie przyznaje Wielka Gwiazda. Zwyczajna Anielka wpada w popłoch. Helmi wygląda, jakby chciała się wcisnąć w za szczupłe na nią jedwabie. Krytyczny moment mija, Helmi odkłada spódnicę, Anielka jest zadowolona, wytrzymała. Nie chce zrazić sobie Helmi, jest cenna, może się z nią swobodnie porozumieć.

– Jak ci się znudzi, ja ją wezmę.

– Dobrze mówisz po polsku – Anielka weksluje rozmowę na bezpieczniejsze tory niż rozdawanie cudzych mebli i swoich najlepszych rzeczy.

– Jestem etniczna.

Anielka nie wie, co to znaczy.

– Moja prababka ze strony ojca była rodowitą Niemką.

Helmi pochodzi z Wołomina i przez dziewiętnaście lat nie nazywała się Helmi, tylko Mariola, zmieniła imię wraz z obywatelstwem. Gorzej z językiem. Nie zna, dopiero się uczy, przez tę nieznamość zatrudnia się jako fizyczna, chociaż w Wołominie była umysłowa. W urzędzie. Tutejsi zawsze wolą dać robotę Niemcom z Enerdy niż Etnicznym, nawet umiejącym mówić. Etniczni ze Wschodu są na szarym końcu do różnych dóbr i ułatwień, oczywiście zawsze jednak przed obcymi, nie niemieckimi, nacjami.

Układają rzeczy w garderobie. Wygodne pomieszczenie, tak samo dostępne z sypialni jak z hallu, przez drzwi wkomponowane w ścienną płyty i drugie wtopione w orzechową marketerię sieni.

– Urządzone z głową – chwali Helmi.

Szatnia jak szkatuła na biżuterię, wyłożona pikowanym jedwabiem, tylko stelaże na obuwiu powleka gładką skórą. Anielka nie może się powstrzymać od pogłaskania bielizniarki. Na śliskim atłasie dłoń napotyka inną fakturę, kremową kartkę z papieru łudząco przypominającego adamaszkową tkaninę, ze złożonymi brzegami i złożonym tekstem.

Ciekawa Anielka mobilizuje zasoby niemieckiego, z pomocą nie mniej ciekawej Helmi. Połączone wysilenie intelektów litera po literze odkrywa treść. Opiera się poznaniu jedynie tajemnicze słowo Armoire i pozostaje nie rozszyfrowane.

Nasza firma, rok założenia taki i taki, z wielką przyjemnością: zainstalowała, wymieniła urządzenia, obicia, oczyściła, odrestaurowała garderobę Madame. Zawsze do usług Twoje Armoire, Ugo Schmidt, Berlin, Wienerstrasse.

Z wymienionych możliwości pozostawiono pozycję: renowacja obudowy i tapicera, inne czytelnie skreślono.

– Kazałaś odszykować ubieralnię – markotnieje Helmi. Odnowione pomieszczenie także jest kremowe, Helmi czuje, jak oddala się od niej sypialnia ozdobiona plecionką z bambusowego łyka.

– Mhy – Anielce robi się łyso. Wielka Gwiazda nie może się przyznać, że o zupełnie nowym zagospodarowaniu szatni dowiedziała się z firmowej wizytówki zakładu tapicerskiego.

– Czujesz ten zapach?

Anielka czuje. Nikły, z początku nawet przyjemny, a jednak w miarę obcowania coraz bardziej przykry.

– W Wołominie podobnie śmierdziały telefony po dezynfekcji.

– Moja garderoba nie szpital, żeby ją odkażać – obrusza się Wielka Gwiazda.

– Powiedziałam: śmierdzi podobnie, nie tak samo. Wiem! Środek na robactwo.

– Jeszcze lepiej. W moich szafach siedzą karaluchy.

– Zaraz karaluchy, starczą mole! W Wołominie jedna robiła makaty z prostej wełny, a mól do niefarbowanej wełny aż się trzęsie, najbardziej do ciemnej. Ona parowała przędzę z dodatkiem jakiejś niemieckiej trutki. Raz wystarczyło i już nigdy żaden mól nie tknął nici ani materiału. Pewno i tutaj tak samo.

– Na ludzi też tylko raz wystarczyło – przypomniała sobie Anielka straszne opowieści Babki o obozach zagłady.

– Od preparatu na mole ludzie nie padają – zapewnia Helmi.

– Zabieramy łachy! Poleżą w sypialni, zanim to świństwo nie wywietrzeje – zgadza się na mole Anielka, ostatecznie istnienie moli nie uwłacza szatni nawet Wielkiej Gwiazdy.

– Lepiej na powietrze – Helmi przerzuca przez ramię wieszaki z ubraniami, stertę wyciąga na taras.

Anielka opróżnia półki, wybiera przy okazji modną bluzkę z lejającej się dzianiny przetykanej metalizowaną nicią o luźnym kimonowym kroju i ofiarowuje Helmi.

– Na szczęście! Na szczęście w nowym miejscu – cieszy się Helmi.

– Właśnie, od jak dawna tu jesteś?

– Dzisiaj nastąpiam.

– O ile wiem, Hanig z Warszawy telefonował, żeby kogoś dla mnie poszukano.

– Zdaje się nawaliła pomoc namotana przed twoim przyjazdem i Hanig z samego rana zadzwonił do agencji. Miałam fart, byłam pierwsza na liście z wymaganymi umiejętnościami.

– Jakież to umiejętności?

– Biegła znajomość polskiego. I jestem bardzo zadowolona, że trafiło mi się miejsce u kogoś takiego jak ty!

– Jeszcze nie jestem kimś, może dopiero będę.

– Jesteś bardzo skromna, ale widziałam cię na ilustracjach, wyszłaś fantastycznie!

– Gdzie widziałas zdjęcia?

– W atelier na parterze, na okładkach pisma. W kostiumie kąpielowym, w przezroczystym szalu, goła i w ogóle.

Hanig nie próżnuje – tempo – fotogramy pewno wysłał z Warszawy – może oddał do drukarni w nocy po przyjeździe – mówił dopiero muszę cię przygotować – potrwa – jesteś surowa – trzeba znaleźć styl – trzeba cię ukształtować – nieobyta z kamerą – tymczasem sprzedał próbne – skąd ten jakiś szal – goła – nie było ani w szalu, ani na goło – już coś zarobiłam – pokojówka ze znajomością polskiego – nie będzie mnie przymuszał do

szprechania – jakby najął niemiecką służącą, to bym musiała – gwiazdy udzielają wywiadów – od czego tłumacze.

– Ledwo cię rozpoznałam.

– Kamera to wielki kłamca, a modelka fotograficzna ułuda, w rzeczywistości takich dziewczyn nie ma. Powie ci to każdy, kto choć trochę zna kuchnię – ponosi Anielkę, chociaż wcale nie chciała. Ale nie będzie się mądrzyć jakaś etniczna z Wołomina. A jak ma, u Boga Ojca, wyglądać Anielka z tą kądzielą na głowie na tle bitej śmietany.

Minionego wieczoru zmogły ją wrażenia podróży, runęła spać, byle jak zaplotła włosy na noc. Teraz stroszą się zmierzwiłone, niepodobne do luźnych pasm tylko lekko związanych, jakby się obsunęła przytrzymująca je wstążka. Ile czasu strawił Hanig nad uzyskaniem naturalności fryzury, niby trochę rozburzonej powiewem na jednym ze zdjęć, o którym mówiła etniczna. Dobrze pamięta.

Przerywa im pukanie, wchodzi Hanig, Anielka nie zdążyła nawet powiedzieć: proszę.

– Jestem nie ubrana – mówi Wielka Gwiazda, żeby nie stracić twarzy, ale zwyczajna Anielka także jest urażona jego bezceremonialnością.

– To się ubierz, najwyższy czas – chwyta szlafrok przewieszony przez oparcie fotela stojącego przed konsolą pod olbrzymim lustrem i nie patrząc rzuca w stronę Anielki.

Polszczyzna Haniga nie jest bogata, lecz jednak zasobniejsza, niż się na początku przyznawał.

– Co tu robisz, Helmi?!

– Sprzątam, proszę pana.

– Przeszkadzasz Evi.

Tutaj Anielka nazywa się Evi. Miano wybrał Hanig i zastrzegł w kontrakcie. To imię służbowe, w dokumentach pozostało własne. Anielka marzyła o brzmieniu zbliżonym do Madonny albo do takiej jednej fotomodelki też pochodzącej z Polski, jednak Hanig nawet słyszeć nie chciał. Żadnych plagiatów. Mowy nie ma, jego zdaniem przypominała Florę Botticellego, tylko kto się dzisiaj tak nazywa. Anielka nigdy nie widziała nawet reprodukcji Flory, ale schlebia porównanie. Obiecała sobie zobaczyć oryginał bez względu na to, gdzie się znajduje, gdy tylko zarobi dużo pieniędzy. Gdy już zarobi dużo pieniędzy, świat stanie otworem, aż w głowie się kręci od tej myśli.

– Jaka była umowa, Helmi?! – Hanig się czepia, oczywiście. Anielce żal etnicznej. Czym prędzej wynosi się do łazienki.

– Tu nie twój Wołomin, tu się pracuje, nie gada i ściśle przestrzega poleceń.

Anielka jeszcze to słyszy, robi jej się nieswojo, zaniepokoił nowo objawiony Hanig.

No tak, oni są inni. Przed wyjazdem przeczytała trochę reporterskich doniesień, wspomnienia jednej rozczarowanej i jednej nie rozczarowanej żony z mieszanego małżeństwa, stąd jej wiadomości. Są odmienni, pragmatyczni, dokładni, pracowici, karni, posłuszni, brak im fantazji.

Hanig nie jest ani etniczny, ani rdzenny, tylko potomek wypędzonych – sam mówił – wnuk wypędzonych – jego ojca przytargali starzy ze Śląska, kiedy miał pięć lat – Hanig zdążył się upodobnić do tutejszych – dlaczego wyżywa się na biednej dziewczynie – pogarda – nie twój Wołomin – tu się pracuje – też sobie ręk nie przysiadłam – umiem pracować – ale robota! – pozowanie do fotografii.

Anielka po próbnym sesjach nic jeszcze nie wie o uciążliwościach nowego zajęcia, lecz przypomnienie własnych możliwości podnosi na duchu, poprawia samopoczucie pokój kąpielowy. Obszerny, z witrażowym oknem, różowa naguska na tle z mrożonego szkła. Ściany, poza jedną całą z lustra, i sufit wyłożone są glazurą w tonacji zgaszonego różu, owo zwierciadło i basen okala taki sam szlak, różowokremowa mozaika z drobnych, symetrycznych elementów, posadzka z kremowych płytek. Tej samej barwy jest cała łazienkowa porcelana i wewnątrz ceramicznej niecki wpuszczonej w podłogę, przybory toaletowe, ręczniki i prześcieradła z różową bordiurą, tylko krany i prysznice ze srebra.

Z łazienką sąsiaduje pomieszczenie do ćwiczeń gimnastycznych. Dalej jest pokój w kształcie litery el, w krótszym członie mieści się jadalnia, za nią kuchnia. Otwór do podawania potraw zasłania podświetlony witraż, martwa natura z owocami, zawieszony nad bufetem z palisandru. Na jego blacie srebrna misa, trójwymiarowa replika patery wyobrażonej na obrazie.

Takie mieszkanie dla jednej Anielki. Podbudowuje. Niczego nie dają za nic, zdążyła przekonać się w swoim nie najdłuższym życiu. Jeśli więc na początek, po jednej sesji próbnej, płacą sześć tysięcy marek a conto i otaczają komfortem, pozycja Anielki jest mocna.

Nie pozwoli na grubiaństwo wobec siebie i powie Hanigowi, co myśli o facecie wychamijającym się do służącej. Dziewczyna nie może nawet się odszczeknąć z obawy przed utratą kawałka chleba.

Ściana z lustra obrzeżona różowokremową mozaiką odbija basen obrzeżony różowokremową mozaiką. W pachnących pianach spoczywa Wielka Gwiazda, Uwielbiany Idol. Jej fotografie widnieją na okładkach wielonakładowych magazynów, fani rozchwytyją trykotowe bluzki z podobizną, wytwórnice filmowe ubiegają się o Anielkę. Jej twarz, albo lepiej cała postać powiększona techniką zdjęciową do olbrzymich rozmiarów, spotyka widzów przy wejściach do kin, magia jej uroku wypełnia sale i kasy, zwycięska Anielka

kroczy przez kontynenty, osiada w Kalifornii. Wysła swój samolot po babkę i Teka. Inaczej. Powraca. Przenoszą się do Zalesia, jak druga Dobra pani, sprowadza najślynniejszych lekarzy do Teka, Babka przestaje być domowym więźniem.

W wolnym czasie zadaje szyku w Warszawie, całej klasie funduje dyskotekę, śpiewa angielskie przeboje ze swobodą rdzennej wyspiarki.

– Jaki masz świetny akcent – Anielkę podziwiają najbardziej zaawansowani, zwłaszcza tamci jeszcze z podstawówki. Ci sami, którzy jako małe pępy ignorowali Anielkę. Pamięta. W osiedlowej szkole wybuchła moda na angielski. Kogo było stać, pobierał. Na pauzach pępy gadały do innych pępów po angielsku i nikomu nie przeszkadzało, że od rzeczy. Ci, co nie pobierali, i tak nie rozumieli, o czym mowa, i głównie o to chodziło.

– Papugi – Anielka podpierała ścianę wśród nie pobierających albo samotnie tkwiła gdzieś w kącie demonstrując, jak ją pobierający nic a nic nie obchodzą.

Babki nie było stać na opłacanie pobierania, nawet jej nie wspominała, po co miałyby się gryźć, że Anielka nie ma jak u ludzi. Zresztą pobieranie też samo nie wskakiwało do głowy, a nie uczyć się Anielka mogła za darmo, w szkole. Obcojęzyczne nudziarstwo dobre dla tych nierobów. Anielka miała obowiązki u Dobrych pań, gdy dorywała wolną chwilę, wołała powieści. I była biedna, wszyscy o tym wiedzieli, żadne pobieranie nie podniosłoby jej w oczach pępów.

Anielka się nie liczyła. Nigdy nie zapraszała na tort ze świeczkami z okazji urodzin ani bez świeczek bez okazji, nigdy nie była za granicą, nie miała nawet lalki Barbie z dolarowego sklepu i wątpliwe, żeby wyjechała na Zachód, dokąd pępy wybierały się gromadnie, gdy dorosną.

W szkole średniej nadal nie urządziła urodzin ani imienin, nie stać jej było na Levisy ani na dyskotekę, na wakacje nie jeździła nawet do Bułgarii, raz tylko trafił się obóz nad wielkim Jeziorem. Przyłgnęła sercem do prastarej wody w koronie morenowych wzgórz, do Puszczy i Rieczki. W następnych latach w sezonie robiła za pomoc kuchenną i kelnerkę w stancy Pohora nad rozlewiskiem. Taki sobie sprawiała letni odpoczynek, lecz mimo wszystko była kimś, miała tę niesamowitą i wielce klasie przydatną wiedzę z literatury i przyjaźń Wiśki, a od Wiśki, zdarzało się, nawet bogaci z domu pożyczali pieniądze.

– Niech ci się tylko w głowie nie przewróci – przestrzegała Babka wyprawiając Anielkę w daleki, cudzoziemski świat.

Postanowienie o wyjeździe i rodzaju pracy czekającej Anielkę Babka przyjęła z rezygnacją, jak żywiołową klęskę, trzeba się ugiąć, skoro nie można odwrócić. Nie miała nic, co mogłaby przeciwstawić rozstaniu, oby Bóg sprawił, nie na zawsze. Nawet nie chciało się

mówić o młodym wieku, pokusach, złych drogach, bo na jej oczach beznadzieja, niedostatek, przeludnione mieszkania, pogoń za innym, ciekawszym, wspanialszym życiem, lekkomyślność, lenistwo, brak wyobraźni wreszcie, wyprowadzały na złe drogi dziewczyny młodsze od Anielki. I nie miała niczego w zamian. Sama miłość już nie wystarczała.

Oni z samej krawędzi pograżyli się pierwsi, ich pierwszych zagarnęła fala biedy, poszli w odmet razem ze zmałym bochenkiem chleba z dnia na dzień droższym dziesięciokrotnie. Przy owym chlebie zrozumiała okrutną prawdę. Lada dzień pójdzie po zupę do dobroczynnej kuchni sióstr Misjonarek albo Czerwonego Krzyża, albo opieki społecznej. Pozostał jedynie taki wybór.

I tylko nie mogła zrozumieć, dlaczego po ciężko przepracowanym życiu ugodziła ją żebracza starość. Pracowała, ile sił, sprawiedliwie dzieliła siebie między okaleczonego syna i sierocą wnuczkę, zachowując jeszcze kawałek serca dla ciężko doświadczonych obcych, a pod koniec dni niepojętym wyrokiem skazano ją na gorzki chleb miłosierdzia.

Nie łamała rąk nad postanowieniem Anielki, nie uczyniła nic, aby odwieść ją od zamiaru. Poszła do Pierwszej Dobrej pani i poprosiła o pomoc w znalezieniu mecenasa. Niechaj zbada kontrakt, wywie o Niemcu, Anielka musi być bezpieczna.

Adwokat zasięgnął języka i dobrze mówił o Niemcu. Opinię, tam u siebie, miał nienaganną, był tym, za kogo się podawał, pracował dla znanej agencji reklamowej Lothara Lunze, miał żonę, dziecko, dom w Berlinie, letniak w Tyrolu i konto w banku.

– Będzie nam ciebie brakowało – zadrżały usta Babce. Już nic nie było do zrobienia, co miała uprać, uprała, co przyszyć, przyszyła, uprasowała, co należało uprasować, i ułożyła w walizce. Siedziała przygarbiona nagle, złożyła dłonie na podołku, na środkowych stawach pomarszczona skóra przypominała róże zakwitłe na zgrubieniach palców, porzucone, niczym nie zajęte wyglądały, jak gdyby Babka wyparła się tych rąk nie umiejących już obronić swoich dzieci.

Anielce ścisnęło się serce, dopiero zobaczyła, jak bardzo postarzała Babka, jak bardzo była zmęczona, wyzuta z nadziei. Jedyny człowiek, którego Anielka naprawdę obchodziła, jej przyjaciel. Najlepszy. Nie do zastąpienia.

Tylko dzięki Babce Anielka miała jak u ludzi. Wszystko inne w jej życiu od samego początku sknocone. Ojciec niepodobny do zwyczajnego ojca, matka w ogóle nieobecna. Oczywiście Anielki nie wygrzebała kura na śmietniku, nie wzięła się znikąd, urodziła ją kobieta, ale to i wszystko, na co ta kobieta się zdobyła.

Odkąd zaczęła rozumieć, co stało się z jej matką, czuła pogardę i żal do osoby, czasami rozpaczliwą tęsknotę i zaraz poczucie winy, jakby coś odbierała starej kobiecie,

matce Teka, która ją wyniańczyła, kochała, była ucieczką i bezpiecznym schronieniem od wszystkich bied, nawet od nieobecności osoby.

Babka nigdy złego słowa nie powiedziała na matkę Anielki, dziecku, tak skrzywdzonemu przez los nie miała sumienia zaczerniać obrazu najbliższej istoty, bez względu na nieuleczalną ranę zadaną jej, świekrze. Kiedy już nie mogła zbyć Anielki opowieścią o mamusi, która bardzo daleko znalazła dobrą pracę i zarabia, aby im wszystkim w przyszłości było lepiej, powiedziała prawdę.

– Ona nie uradziła ciężaru bożego dopustu. Nie należy jej sądzić – i Anielka dowiedziała się o tajemniczej a złowrogiej sile, jaka wówczas znowu nawiedziła ich dom.

Dopust nie pojawiał się długo. Odkąd ojciec Teka wyleciał na minie w Kabackim Lesie, na tej jednej jedynej, która gdzieś tam została w mało uczęszczanym gąszczu, uniknęła saperów oczyszczających teren, nie ukąsiła zbieraczy, zielarzy ni zająca, borsuka ni sarny, ani nawet psa z dookólnych wiosek, co urwawszy się z uwięzi biegł w ten ostatek niegdysiejszej puszczy dożywić się albo chociaż poniuchać tropy dzikich zwierząt, więc nie tknęła nikogo, tylko podstępna, utajona, wyszczerzyła się znieńcka na podmiejskiego woźnicę.

Byli tu od zawsze. Na stołecznych peryferiach, za krańcem, ni to w osadzie, ni we wsi, skazanej z dawien dawna na zagarnięcie przez Miasto, któremu jednak po nich nie spieszyło się i nazywało Dzielnicą.

Mieszkali tu od zawsze w bielonym domu krytym dachówką, piękną, w kolorze dobrze wypalanej gliny, układaną jak rybia łuska, a nie dzisiejszą marnotą nawet barwą niepodobną do karpiówki. Przed nimi pod tym dachem żyli dziadowie, później rodzice furmana, wszyscy furmani.

Syn Babki nie został przy rodzinnym zawodzie, zresztą kiedy dorósł, w Dzielnicy przeminął czas konia. Teko nauczył się murarki, pracował na Wielkiej budowie.

Od lat chodziły słuchy o wywłaszczeniach i wzniesieniu nowej Dzielnicy, godnej nowych czasów. Ludzie chcieli wiedzieć, co się stanie z ich dorobkiem, dorobkiem pokoleń, starym, nieokazałym, ubogim. Ślali zapytania, petycje i delegacje, pokornie molestowali władze, wreszcie odpowiedziała gmina. Budowania nie będzie, teren miejscami podmokły, niezdrowy. Jedni odetchnęli, inni stracili nadzieję na marzenie biedaków, przenosiny do bloków z rodzinnych habend zjedzonych przez czas.

Jeszcze kilka lat Dzielnica bytowała między: budować osiedle, nie budować osiedla, w stanie zawieszenia ciężkim dla aborygenów. Coraz trudniej się żyło i niemożliwa stawała się ucieczka. Odkąd na nich spoczął grafion planistów Miasta, nie mogli wyzbyć się mienia ani chronić przed niszczeniem, ponieważ Miasto zabroniło sprzedaży i inwestycji, nawet

drobnych remontów. Miasto życzyło sobie wykupić Dzielnicę tanio, rudery kosztowały najtaniej.

Wreszcie postanowiono. Wzniesie się domy specjalną techniką, mokradło nie ma znaczenia. Prawda, nie wytrzymało. Uciekły wody gruntowe, umarły topole pamiętające Sobieskiego, czasami tylko w letnie wieczory nie wiadomo skąd spadały na beton roje komarów. Może w ich niezliczonych generacjach przetrwała pamięć podmokłych łągów, skąd wywodzili się przodkowie.

Zarządzono wykup. W zamian – mieszkanie w bloku albo działka i rozliczenie za wszystko, co nad ziemią. Oni woleli drugą możliwość. Wyceniono ich na grosze, najważniejszy był jednak grunt. Zabiorą cegłę, dachówkę z rozbiórki, a ich mężczyzna postawi dom. Czas między zburzeniem starej a powstaniem nowej siedziby przeżyją w kwaterze zastępczej, niepełnowartościowej, jak zastrzegła gmina, ale przecież ich dotychczasowe mieszkanie, gdzie właśnie przyszło na świat czwarte pokolenie, Anielka, także nie miało wygod.

Wtedy objawił się dopust, jak piorun trafił w nadzieje i plany. Nic z nich nie zostało.

Anielka miała dziesięć dni, gdy ojciec spadł z rusztowania na Wielkiej budowie. Nieodwracalne szkody poniosła głowa. Długo chorował. Po powrocie ze szpitala jego ręce umiejące wszystko co trzeba, aby powstał dom, musiały się uczyć trzymania łyżki. Medycyna nic więcej nie mogła uczynić, wymagał stałej opieki jak dziecko.

I ona nie wytrzymała. Wyszła i nie wróciła. W szafie zostały puste ramiączka po sukienkach, w szufladach miejsce po bieliznie. Anielka skończyła pięć miesięcy i potrzebowała opieki. Teko miał lat dwadzieścia cztery i potrzebował opieki. Babka rzuciła pracę. Żyli z renty Teki, bardzo niskiej, ponieważ Wielka budowa uczyniła wszystko, aby udowodnić, że kalectwo Teki to tylko jego wina. Babka nie miała pieniędzy, czasu ani nadziei na wygranie sporu z potęgą objawiającą się w postaci Radców.

Brała do domu szycie, szydełkowała skarpety, robiła swetry. Za prześlęczone noce otrzymywała grosze. Marzenie o nowym domu w ogrodzie wymieniła na budynek z cementowych kłoców. Prosiła o parter, bo nawykli i Teko będzie mógł wyjść na dwór o własnych siłach. Wyceniono ich na dwa pokoje z kuchnią i balkonem identycznym jak na dziesięciu piętach nad nimi, tylko u nich niespełna metr od ziemi. Długo nękała świadomość niebotycznego słupa nad głową, budziła się nocą, sprawdzała, czy nie pękają ściany dźwigające taką masę.

Sam ich ogród poddany ocenie osobliwego wykupu i dom, prawda, nieświetny, warte były więcej niż czterdzieści dwa metry powierzchni w betonie spod sztancy, i wszyscy o tym

wiedzieli. Starania Babki o mniej drakońską klasyfikację rozбивały się, podobnie jak zabiegi o wyższą rentę dla Teka. I tu nie miała szans, z równym skutkiem mogła pisywać podania, zbierać zaświadczenia i opinie dla buldożera burzącego ich starą sadybę.

W ciepłe dni z dwóch prętów, prześcieradła i balkonowej poręczy robiła daszek, stawiała pod nim rozkładane łóżko dla Teka, obok, w tym samym cieniu, spało niemowlę. Idąc po zakupy toczyła przed sobą wózek z dzieckiem, wtedy inwalida robił się niespokojny. Kobiety przepuszczały Babkę w sklepowej kolejce, dziękowała, sama nigdy nie poprosiła, wydawało jej się, że żądanie ulg przypieczętowałyby kalectwo syna. Nie urągała losowi.

Mimo nieszczęścia, wdzięczna za ocalenie syna i za mały, zielony pęd swojej krwi, dziecko, któremu musiała być ojcem i matką, i całą rodziną. Sama nie wie, jak udało się sprostać. Chroniła przed chorobami, przed niedożywieniem, przed zimnem i chłodem serca. Kochała. Z trudu, pracy, miłości, zmartwień i małych szczęść powstawały i gasły dni, gromadziły się w lata.

Kiedy Anielka była młodsza, Babkę dręczyło sumienie za robotę Anielki u Dobrych pań. Dzieciak nie miał się kiedy uczyć. Wyjściem byłoby umieszczenie Teka w Domu Opieki, wtedy Babka mogłaby wziąć stałą pracę i jeszcze dorobić w domu. Jednak póki tchu nie odda syna, wolałaby raczej dać sobie wyrwać serce. I jak byłoby spojrzeć w oczy dziecku, co poczęłoby ze świadomością, że ojca można usunąć z domu jak niepotrzebny sprzęt.

5.

– ...stworzyłem cię z niczego.

– Jesteś lepszy od Boga, on musiał mieć przynajmniej glinę, ale nie ulepiłeś mnie.

Tylko Evi Kovars.

– Na jedno wychodzi.

– Nie. Evi jest złudzeniem.

Zstąpiłam przed kamery firmy Lothara Lunze wprost z fotografii, zwyczajem nocnych klubów wywieszanej w przedsionku. Po Kreuzberg-art zaczęłam w podręcznym tinglu za jedzenie, kąt i jakieś grosze. Z tych groszy spłacałam prowizję Galernikowi z Jelita.

Kalejdoskop, głosił wypisany neonem szyld. W moim boksie zmienne oświetlenie łudziło niczym odbicie kolorowych szkiełek układających się we wzory powielone przez zwierciadlane pryzmaty, jak wewnątrz lunety. Nocami kłębili się w lokalu geje, safonki i zwykli heterowie. Leżałam goła, demonstrując wyzywające pozy na obracającej się tarczy, upodobnionej do gramofonowej płyty. Przez soczewki umieszczone w ścianie, po wrzuceniu pieniędzy do automatu, na trzydzieści marek trzy minuty, odsłaniał się wizjer, przed którym ślinili się impotenci, dewianci, pryszczaci.

– Dlaczego mi to zrobiłaś?!

Dobry sobie. Jemu! Z dnia na dzień zarządził moją przeprowadzkę do willi pod attyką, zaniebanego, za dużego dla mnie domu. Dał jeden dzień na spakowanie rzeczy osobistych. Z żalu, upokorzenia, bezsilnej wściekłości zdemolowałam na odchodnym mieszkanie w pawilonie. Najbardziej ucierpiały wybite jedwabiem szafy w mojej garderobie. W mojej! Ciekawe, jakby on zareagował, pozbawiony nagle nawet własnego łóżka.

Najwięcej szkody wyrządziłam sobie. Niszczyć własny dorobek?! Szaleństwo. Utrata kontroli. Istnienie prawdziwe nie zapanowało nad chorobą, której pełnej nazwy nie wymieniam nawet w myśli. Są tacy, co jej schlebiają nazywając cierpieniem królewskim. Ja wzięłam jej miano z encyklopedii: schidzo – rozszczepiam, phren – rozum. Oswoiłam pierwszy człon, schidzo brzmi jak imię własne, w każdym razie mniej strasznie niż tamto, powszechnie używane.

Chociaż w rezultacie wymusiłam zwrot części mebli z pawilonu, nigdy więcej

nieodpowiedzialnych zachowań. Zbyt kosztowny sposób na odzyskanie własnej sypialni. Mniejsza o moje saldo, gorzej z przekonaniem Lothara, znowu dostarczyłam mu pretekstu do opieki.

– Podpisałam rachunek Ugo Schmidta. I nie życzę sobie więcej o tym mówić – ukróciłam to jego nieznośne: dlaczego mi to zrobiłaś! Poza wszystkim, szatni w pawilonie dawno należały się nowe obicia, a renowacja i tak byłaby powierzona firmie Armoire z Wienerstrasse.

Lunze był rozdrażniony. Nawet podniósł głos. Niech się wygada. Nastroszy i obniesie najpiękniejsze pióra w ogonie. Patrz, jaki jestem wspaniały. Nadzwyczajny. Potężny. Patrz, jaki mam barwny kuper. Czyż nie jestem najświetniejszym mężczyzną, a mimo wszystko pochyliłem się nad tobą, która byłaś samą marnością. To ja wywiodłem cię z niewoli dzielnicy nocy, gdzie najpiękniejsze dziewczyny giną w ciągu sezonu, zniszczone chorobami, otępieniem, narko, degradują się i spadają w niebyt. To ja owo nic przemieniłem w doskonałe fotografie i nawet dałem imię, jak Bóg Ojciec pierwszej kobiecie. Ustrzegłem od nędzy, odczłowieczenia, nałogu.

Nie ustrzegł. Tylko swoją cenę płacę w skrytości, umiem przymus trzymać w ryzach i nawet Lothar, kiedyś sypiający ze mną w jednym łóżku, nie wiedział, że wszystko, co we mnie lubił, nawet kochał, współtworzyły dropsy, porażające neurony.

Bukiety neuronów osadzone w gleju, tajemniczej substancji, cieczy, mazi, ciele stałym?, wypełniają moją głowę feerią barw kwitnących baldachów na ciernistych łądygach, które bolą. Pewno wcale niepodobne do kwiatów, może przypominają ścięte mrozem brokuły albo cząstki kalafiora unurzane w majonezie, albo kartoffelsalat.

Lothar lubi tę potrawę, oni tu wszyscy lubią ziemniaczaną sałatkę. Mówił kiedyś, że była odświętnym daniem w czasach Fryderyka Wielkiego, gdy zasłabnięcia z głodu zdarzały się często, a berlińczycy na widok omdlałego człowieka przede wszystkim pytali, kto ma chleb. Kromka kommissbrot. Tak wyglądała pierwsza pomoc.

Fryderyk Wielki, nieszczęśnik z amputowanym fallusem, ofiara barbarzyńskiego zwycięstwa medycyny tamtych czasów nad chorobą nazywaną imieniem Wenery, kompensujący okaleczenie dręczeniem całych narodów, za cenę nędzy poddanych.

Dlaczego Wielkim nie nazwano żadnego ogrodnika, szewca, stolarza za piękną odmianę owocu, sprzętu, obuwia, twórców przedmiotów powszechnego użytku dających radość. Kto tu jest chory na głowę, kto powinien przezwyciężyć chorobę?

Facet w błękitnym jak modraszek ubranku z lnianego płótna z plakietką na górnej kieszonce: de-er, powtarzał: musisz współpracować, chcieć, wtedy pokonasz. A przecież i tak

wiedział, w każdym razie powinien wiedzieć, co odkryłam nawet ja. Etiologia choroby, którą poznałam nie gorzej od niego, informuje o czynnikach prowokujących schizoid: dziedziczność, zaburzenia biochemii, uwarunkowania psychologiczne. Ogólnie biorąc, przyczyny endogenne, co znaczy nieuchwytnie, nieznanie nikomu, nawet najwytrawniejszemu de-er.

– Będę się starała – przyrzekło moje Ono i uczy się ukrywać. My potrafimy udawać doskonale, najlepiej, tak podaje właściwa literatura. Niebiesko-łniany de-er nie wie, że Ono czyta. Pewno! Nikt, nawet Lunze, nie posądzał mnie o czytanie. Moja głowa, zanim nie stała się zbiorowiskiem poplątanych neuronów, służyła jedynie ozdobie, może jeszcze jako pole popisu fryzjera, modystki, wystawianiu jubilerskich kunsztów.

– Dlaczego mi to zrobiłaś?!

Jemu. Znowu O n. A kim w ogóle jest? Na pewno wiem tylko, że urodził się po wojnie, dla mnie w skamielinie. Przywilej późnego urodzenia, powiedział ktoś o takich jak On, lecz słowa dotyczyły Kohla Kanclerza, wyglądającego jak zapaśnik wszechwag. Lothar jest młodszy od Kohla, ale też stary, chociaż wygląda młodo. Na małpich zastrzykach. Małpie zastrzyki, tak mówiono w mojej wsi. Podobno kiedyś metoda rumuńskiej kliniki na odmładzanie najważniejszych staruchów szalonego porządku, który wymyślił nawiedzony łysy z Petersburga czy Ulianowska.

Teraz inaczej usiłują opóźnić zegar. Testosteron do przyrostu masy mięśniowej, jakim nadal przekarmiają sportowców, kulturystów, cyrkowych gladiatorów. Stenol? Przyspiesza refleks, powoduje nagły przyływ siły, ale także wzmacnia agresję. Nie, stenol chyba nie. On się z żadnymi sterydami nigdy nie zdradził, przecież jednak od czegoś ta złuda młodości trwa. Obojętne, co ją podtrzymuje, wyciąg z małpich gruczołów czy chemia, pozostaje sztuczna, zafałszowana, ukrywająca próchno.

– Dlaczego to zrobiłaś?

No już lepiej, bez wszechobecnego ja, moje, mój syn, mój dom, moja żona, moja papuga, srebrnobiała ara, jak dziewczyna w stroju do confirmacji.

Po mnie choćby potop – odpowiedziało Ono, głośno powiedziałam ja:

– Jestem zrozpaczona.

– Nie wolno się poddawać. Powinnaś nam zaufać – dodał jeszcze kilka banałów, z których moje Ono zaczęło się śmiać, ledwo mogłam utrzymać je na wodzy, bezgłośnie dygotałam wraz z nim.

– Nam, nam zaufać? – pewno miał na myśli tego de-era na niebiesko i jego pieskich-niebieskich pomocników w przezroczystych skafandrach.

– Wszystko, co posiadasz, zawdzięczasz mnie. Czy kiedykolwiek zawiodłem, źle dbałem o twoje dobro? – ta jego niemiecka dosłowność.

– A kim ty w ogóle jesteś?! – nagle wychyłała prymitywna baba, ukrywająca się we mnie tak dobrze, że sama nie podejrzewałam jej istnienia. Następna osobowość. Byłam siedliskiem nieprzeczuwanych bytów, coraz częściej dających o sobie znać. Coś się jawiło, czego się bałam i co chwilami umykało kontroli. I najgorsze, wrażenie – jak gdyby ktoś inny, obcy, rządził się we mnie, Wbrew woli. Nie! Korzystając z zaniku woli, przekształcającej się w przyzwolenie, niechętną aprobatę, czy może być niechętna aprobata?

– Nie zastępuj Pana Boga.

– Nie mam takich ambicji, ale ty jesteś moim dziełem, Evi.

– Dlatego masz prawo mnie zniszczyć, zaczynając od ogrodu? Pozwoliłam na użytkowanie studia, nie było mowy o przeróbkach. Z jakiego powodu parkan?

– Aby chronić twoją prywatność.

– Przecież nie urządzasz koszar. Jak długo potrwa okupacja pracowni?

– Musi przynosić dochód. W przeciwnym razie nie utrzymasz posiadłości.

– Mam procenty od kapitału.

– Z ledwością wystarczają na twoje potrzeby osobiste.

Dropsy kosztowały dużo i coraz drożej, zwłaszcza najwyższa jakość. Moja znajomość towaru wykluczała tańszy, syntetyki. Nie miałam pewności, czy nadal tak zupełnie nie wiedział, co ukrywa pozycja pochłaniająca znaczną część budżetu. Nigdy nie pytał, na co wydaję. W końcu były to moje pieniądze.

– Powinnaś dostosować standard do możliwości.

– Chcesz powiedzieć, że nie zarabiam – był solidny. Miał zasady. Zabierze mój majątek dopiero wówczas, gdy bank zagrozi cofnięciem kredytu.

– Zastanawiałaś się nad sprostaniem zobowiązaniom w nowej sytuacji?

– Co ukrywasz pod tym gładkim tekstem?

– Evi, studio musi zapracować na spłatę. Więc nie utrudniaj, zaufaj.

Już nikomu nie wierzę. Od dawna. Ta zdolność umarła w dniu, kiedy pozwoliłam się zwabić pod lotniskiem i wywieźć jak owca. Tamci dwaj bezimienni w drodze powrotnej z bunkra pozostawili mnie na szosie pośród lasu. Szłam skrajem asfaltu w firmowych szpilekach zupełnie nieprzystosowanych do marszów, zaciągnął drobny, gęsty deszcz. Dobrnęłam do przystanku Pekaesu, w Warszawie byłam o zmroku.

– Najlepiej wstąp na Pigalak do Haiti. Tam Kalif puszcza w obieg dziewczyny za mało dobre na pierwszą lokatę – zatrute żądło wbite w świadomość pędziło mnie wbrew

rozsądkowi, wbrew obawie o swój dalszy los, w śródmiejską enklawę warszawskiej dzielnicy nocy.

Nie wierzyłam. Nieczuła na groźne okoliczności, przede wszystkim musiałam wiedzieć. I dowiedziałam się. Miejsca gęsto obsadzały dziewczyny, wielogłosy szmer zalegał ciężkie powietrze, falował papierosowy dym, pijana Jasnowłosa z fryzurą w długich, modnych strąkach, zataczając się od stolika do stolika, wiodła ze sobą i ze wszystkimi bezładny monolog. Wszedł gość, skinął na ciemną, długonogą w dżinsie, z przyciemnionego kąta wynurkował mężczyzna, chwycił za ramię Jasnowłosą. Dwa szybkie ruchy dłonią, głowa pijanej opisała amplitudę od ramienia do ramienia.

– Nie gniewaj się, Alf – wybełkotała sterowana ku wyjściu.

– Marsz do domu, zdziwo! Wytrzeźwiej. I mniej gadaj – wymierzył następny policzek.

– Za co? Przecież nie powiedziałam Alfons, tylko Alf – odwołała się do świadomości sali. Alf pchnął ją w deszczowy wieczór ulicy, zamknął drzwi, otaksował spojrzeniem moje przemoczone pantofle i koszmarny płaszcz, kupiony przez starszego cyngla w pierwszym mijanym Geesie, zanim pozbyli się mnie po drodze z lochu. Niechlujnie uszyty prochowiec miał jedną zaletę, dokładnie skrywał uniform stewardesy.

– Szukasz kogoś?

– Skontaktuj mnie z Kalifem albo z Jasnym – zażądałam wbrew sobie.

– Mów. Jeśli znaczące, przekażę.

– Sama przekażę.

– Jakby oni chcieli rozmawiać z każdą zdziwą...

Wybiegłam z Haiti, salonu wystawowego tych mniej dobrych dziewczyn odsianych z wyboru Kalifa.

– Zaczekaj... – mżawka wchłonęła wołanie Alfa. Nikt mnie nie ścigał.

Wlokłam się noga za nogą i już nic nie miało znaczenia, nie było naprawdę ważne. Pragnęłam tylko zrzucić nasiąkłe wilgocią ubranie i przemoczone pantofle, ogrzać skostniałe nogi. Z trudem myślałam o rzeczach praktycznych, noclegownia przy lotnisku – nie, Zarankiewicza – nie, siostra? Nie miałam obiecanych buczków i nie wolno ściągać na ich głowy nieszczęścia. Niech będzie Zarankiewicza, dlaczego nie?

W pobliżu domu nigdy nie widziani mężczyźni zapakowali mnie do wozu znowu w imieniu Kalifa. Nie protestowałam. Było mi wszystko jedno. Przywieźli do jakiejś willi w dużym ogrodzie. Okazali się tym razem właściwi, cyngle Kalifa.

– Szłaś prosto na emoli, są wszędzie, u twojej rodziny, w portowym hotelu, mogą trafić na Zarankiewicza. Dlaczego nie telefonowałaś?

– Zapomniałam numeru – awaryjny system łączności, dany przez Kalifa na sytuacje nieprzewidziane, po ujawnieniu porywaczom wydawał się ostatecznie zaprzepaszczony, po odkryciu Haiti skończyła się moja lojalność.

– Karygodna łatwowierność – sypnęły się pytania, padały jak grudy ziemi, dudniły w mojej głowie. Już wiedzieli o wywołaniu mnie z portu przez rzekomą rodzinę.

– Połączenie dupy z biznesem, najgorsza kombinacja – mruknął Jasny. – Co mówili poza wiadomością o ciężkim wypadku Kalifa?

– Nic – za progiem lokalu na Pigalaku została dziewczyna posłuszna, bezkrytyczna, oddana aż po utratę instynktu samozachowawczego. Nie powiedziałam, jak bezimienni cyngle naprawdę mnie traktowali. Ani o groźbach, ani o proponowaniu kawy i jedzenia, ani o kupnie płaszcza, żeby ukryć zwracający uwagę mundur. Nie względy wobec mnie dyktowały im w miarę przyzwoite postępowanie, według ich zamiaru powinnam wrócić do Kalifa możliwie najmniej uszkodzona, aby przekazać ostrzeżenie. Nie spełniłam oczekiwań. Niechaj się pozagryzają bez mojego udziału.

– Zrujnowany bunkier?!

– Wyruszyliście aleją Krakowską, wróciłaś autobusem pod stadion na Pradze, którą cię wieźli, zanim znalazłaś się na szosie w pobliżu przystanku Pekaesu?

– Nie zwracałam uwagi. Najpierw byłam za bardzo przejęta, później zbyt zrezygnowana.

– Wymień chociaż jedną nazwę z mijanych miejscowości.

– Wizna... podczas powrotu. W tamtą stronę nie miałam głowy do żadnych obserwacji.

– Okolice fortów nad Narwią. Dawne umocnienia pomyślane jako zaporę od Prus Wschodnich sprzed drugiej wojny. Teraz składowiska aktywnych odpadów. Prawdopodobne, nie jest pewne, czy prawdziwe. Mniejsza, tak czy inaczej jesteś spalona – powiedział Jasny.

Poczułam strach przed niewiadomym, ale przede wszystkim przed człowiekiem, który przestał być dla mnie najbliższym.

– Przebieg dostawy?

– Bez zakłóceń.

Znałam stewarda z cateringu przywożącego zapasy. Zwyczajna procedura. Tace z przekąskami pod cienką folią, porcje kurczaka garni, mięsa, wędliny, pieczywo, porcjowane przyprawy z niebieskim nadrukiem linii Madala. I Amfi w jednorazowych torebkach pod etykietą cukru, po tysiąc w paczce. Tylko ekspedytor zaopatrzenia i ja byliśmy zorientowani w nierozpoznawalnych dla ludzi postronnych znakach odróżniających Amfi od pakietów zwyczajnego kryształu w dozach z cateringu.

– Pilotom wsypano Amfi w mokkę.

Kalif dostał już namiary z przerwanej rejsu. Amfi smakuje gorzkawo, część pasażerów żądała dodatkowego cukru, przypisując smak mocy naparu. Stewardesa wzięta na pokład w ostatniej chwili przed odlotem, przypuszczając, że coś jest nie w porządku, na wszelki wypadek napoczęła inną paczkę, trafiła na koperty z cukrem. Niektórzy pasażerowie zrezygnowali z kawy, przeważająca większość wypła dosłodzoną.

Szczęście w nieszczęściu, ona podała Amfi do pierwszej kawy, roznoszonej niedługo po starcie.

– Przynajmniej uratowały się kiszki – zawiadomił Jasny.

Na Tempelhof, z polecenia pełnomocnika linii Madala, uzupełniałam zapasy. Dostarczano między innymi węgierskie salami, rzadko obecne i droższe w Warszawie. Część batonów stanowiły kiszki. Niczym nie odbiegały od standardu salami, jedynie banderola miała niewielki luz, jakby niedokładnie skleiono brzegi paska. W kioskach transportowany był do Warszawy surowiec: kodeina, benzyl-methyl-keton. Przetworzone w tutajszych laboratoriach wracały do Berlina w postaci syntetycznej kokainy ukrytej w pakietach kopert pod etykietą cukru z cateringu.

– Honey, już poszukują cię emole. Podejrzewają o przemyt narko. Nie możesz tutaj zostać. Muszę cię na trochę schować. Przeczekasz w Berlinie, dopóki się nie uspokoi.

Dostałam od niego paszport z moją fotografią, na inne nazwisko. Musiał go mieć od dawna, prawdopodobnie od chwili, gdy po raz pierwszy weszłam na trap samolotu z transportem Amfi.

Nad ranem przekroczyłam granicę w Zgorzelcu. Wiózł mnie samochodem człowiek, którego nie znałam i nigdy więcej nie zobaczyłam. Rozstaliśmy się w śródmieściu Berlina, znikł w rzece pojazdów toczących się Kudamem.

– Musisz zaufać, Evi – powiedział teraz Lothar. Wyciągnął rękę, jakby chciał pogłodzić mnie po głowie, ale nie dotknął. Maskując oznakę czułości czy tylko odruch sięgnął po cygaro, otoczył dymem. Wypadło nawet naturalnie, mnie nie zwiódł. Dostrzegam wszystko. Każdy szczegół, gest, tembr głosu odbijają się o napiętą we mnie strunę tak bardzo, aż boli. Co się stanie, jeśli pęknie? Przez chwilę, ułamek, moje Ono chciało się rzucić na niego, gryźć, kopać, przeorać paznokciami nieprzeniknioną twarz albo chociaż napluć w te fałszywe oczy, zdradliwe usta, wydrzeć z czaszki ukryte myśli, prawdziwe uczucia, podstępne plany, jakich nie wyjawiał i nie wyjawi, dopóki nie przemienia się w czyny dla mnie zabójcze.

I tak wiedziałam. Czyhał na moją posiadłość jak pajak znieruchomiły na swojej sieci. Chciał zabrać zgodnie z przepisami, oczywiście musi być ordnung. Szef firmy Lothar Lunze

nie może sobie pozwolić na bezprawie. Później pozbawioną środków łatwo zepchnąć w niebyt gorszy niż ten, z jakiego mnie wydobył. W przeciwnym razie po co kazałby odnawiać pawilon, barbarzyńsko dzielić park, wyłączać portiernię przy Hausstrasse.

– Dobrze się czujesz, Evi?

Boję się Lothara, on wciąż jeszcze niezupełnie spisał mnie na straty.

– Potrzebujesz odpoczynku.

– Nie chcę odpoczywać, skoro brakuje pieniędzy.

– Pieniądze się znajdują, tylko podpisz zgodę na publikację wszystkich fotogramów, nawet odrzuconych.

– To mówisz właśnie ty?!

Lothar Lunze, wprost maniakałny profesjonalista, z dnia na dzień stracił charakter zawodowca chroniącego najwyższe dobro, imię firmy. Spróbowałyby nie. Tę etykę wymuszała ostra konkurencja, w przeciwnym razie spadałyby akcje i dochody. Niemożliwe. Niepokojące. Jemu się wydaje, że ja już przestałam kojarzyć. Co ukrywa za tą nonszalancją?

– Nie.

– Konieczność. Inaczej nie wystarczy na spłatę kredytu. Dochód z wynajmowania studia nie pokrywa rat. Narastają odsetki. A prace Heniga, nawet te mniej zadowalające, przerastają o głowę produkcję innych.

– Nie jestem inni. Stanowię najwyższą klasę i tak pozostanie.

Podsunał blankiet z firmowym nagłówkiem. Nie mogłam zrozumieć, do czego potrzebował mojego podpisu, jeśli i tak miał wyłączność na wszystkie moje zdjęcia i pełnomocnictwo w dziedzinie rozpowszechniania.

– Odmawiam podpisania papieru, na którym niczego nie ma.

– Evi, nie upieraj się w sprawach, na jakich się nie znasz.

– Nie.

Kiedyś był ze mną blisko. Jeszcze niedawno, tylko kilka wieczności temu, teraz chciał zabrać moją posiadłość i nawet nie wspominał o minionym. Miejsce obok mnie w sypialni opustoszało. Pewno, przez te lata się postarzał. Stary, stary, stary. Zgrzybiał gwałtownie, odkąd głowę spowijam szalami. Muszę odrzucić wszystkie chusty z szyfonów. Trzeba wymyślić opinające zawicia na podobieństwo białego barbetu zakonnicy, tylko w różnych kolorach. Czarny pod szłyk ze srebrnych lisów będzie wyglądał bardzo dobrze. Barbet wysubtelnia, uszlachetnia, co widać po mniskach. Wszystkie, jeśli niezupełnie pomarszczone, wydają się piękne. Z czarną futrzaną czapą uzyskam interesujący efekt. Nie mogę dobrać peruki, moja głowa nie chce peruki, a szyja? Wciąż modne lekkie szale,

dlaczego on nie chce słyszeć o tym stylu?

– Dużo potrzebujemy?

Ułagodzić, udawać oddanie. Jak niegdyś, gdy on wydawał się darem bogów i stanowił wyrocznię. Zanim się z nim zetknęłam, co wiedziałam o życiu, mimo ślepej miłości do Kalifa, namiastki miłości na Kreuzberg-art, rezygnacji w *Kalejdoskopie* i poddania losowi w *Calypso*.

Calypso. Tam także wystawiano dziewczyny na obracającej się kawalecie, tylko w nieporównanie bogatszej oprawie, oglądanie przez ścienny wizjer a sto marek trzy minuty, natomiast seans tête-à-tête równał się cenie kilku butelek szkockiej przy stoliku. W barze kosztowało taniej. Nigdy jednak nie słyszałam, aby ktoś zamówił nawet jedną flaszkę. Kupowano na kieliszki.

– Dawno u Kulawego? – zapytał mężczyzna, którego dotychczas nie widziałam w *Calypso*.

Patron *Calypso* na szpotawej stopie nosił but ortopedyczny. Kiedy miał dziewczynie za złe, dotkliwie ją kopał albo przydeptywał. Wściekły impotent, nienawidził kobiet za to, co robiły z mężczyznami, nienawidził mężczyzn za zdolność brania i dawania, nienawidził gejów i safonek za to samo, nienawidził kotów wyśpiewujących na dachach marcowe romance. Niejakimi względami darzył dziewczyny, które już nic nie czuły. Rzadko trafiały się dziewczyny czerpiące satysfakcję z zawodowo uprawianej miłości, Kulawy nie wierzył w ów profesjonalny chłód. Wszystkie młode uważał za nimfomanki, rzadko kopał stare dziewczyny, bo i parę leciwych trzymał na stajni, istniał rodzaj klientów preferujących towar z patyną.

Mogłam trafić gorzej, ale z *Calypso* nie było wyjścia. Wtedy mało myślałam o przyszłości. Jediną przyszłość wyznaczał termin następnej wypłaty za Joannę. Żyłam chwilą. Głupia ćma myśląca, że mimo wszystko zamieni się w motyla.

W rzeczywistości mój dzień nie miał wczoraj, był bez jutra. Czasami marzyłam, zawsze o jednym. Uskładałam na kupno dobrych dokumentów, może nawet na najpiękniejszy sen wszystkich nielegalnie przebywających cudzoziemców, Fremdenpaß i wydobędę się z fachu – jedyne, w którym przy angażu nie przestrzegano rygoru posiadania dowodu tożsamości i prawa do zatrudnienia – zanim mnie zdąży zniszczyć. Kuternoga płacił grube pieniądze korporacji nocnych klubów, oni dawali w łapę, komu trzeba, kupując właścicielom święty spokój i prawie nieograniczoną władzę nad dziewczynami.

– Chcę z tobą mówić – powiedział ten gość, nigdy dotychczas nie widziany w *Calypso*.

Życzył sobie konwersacji mężczyzna wypielegnowany, elegancki, wysławiający się swobodnie, w trudnym do określenia wieku. Typ wysportowanego menadżera, pewno spędzał weekendy na jachcie albo na nartach, zależnie od sezonu, uprawiał jogging i gimnastykę, klient solarium, fińskiej sauny, masażystów, przyrządów utrzymujących w ryzach wagę.

– Słucham? – o czym mógł rozmawiać z kimś takim jak ja? W przeważającej większości jego wynurzeń nie zrozumiałam.

Na polecenie Kuternogi doświadczone dziewczyny uczyły początkujące, klient za swoje pieniądze powinien otrzymać najwyższą profesjonalną jakość, każdego należało traktować indywidualnie, bez uprzedzeń, podobnie jak lekarz pacjenta. Udawanie zainteresowania niezrozumiałym monologiem nie stanowiło najprzykrzejszej strony zawodu.

Ale to nie był monolog. Gość odpytywał jak na egzaminie, skąd pochodzę, ile mam lat, gdzie mieszkam.

– Mały zasób słów. Fatalny akcent. Mylisz przypadki. Okropność – wyglądał na rozczarowanego.

– Szukasz germanistki czy... – wyraziłam się ordynarnie. Absurdalne pretensje wytrąciły mnie z dystansu, osiąganego nie dzięki instruktażom Kulawca, tylko dropsom, niepozornemu preparatowi o konsystencji i barwie prażonej kukurydzy.

Właśnie z zapasem na wyczerpaniu dowiedziałam się, że nowa dostawa zdrożała. Mulatka, sprzedająca wszelkiego rodzaju narko dostarczane przez Kulawego, w nie zmienionej cenie proponowała Amfi. Syntetyk bardziej szkodliwy od innych, do tego wymagał igły. Bałam się igły. Kłopotliwa, pierwszy dowód na branie, ryzykowna, oprócz niebezpieczeństw, jakimi groziła, pozostawiała znaki. Nie mogłam sobie pozwolić na podobne wizytówki. Do diabła z Amfi! Ale nazwa wywołała wspomnienia. Wspomnienia, niszczącą wściekłość i bezsilną nienawiść do tamtych euroazjatyckich bliźniaków związanych ze sobą jak karciana figura i zabobonny strach, oto spełniał się na mnie wyrok losu za pakiety i kiszki.

Z kłopotów wynikają następne kłopoty. Jeśli gość poskarży Kuternodze, zostanę ukarana. Ochroniarze *Calypso* umieli bić bez zostawiania śladów. Dostanę baty, przy których but Kulawego był pieszczotą, na domiar potracą z mojego procentu.

Calypso należało do sieci klubów wysokiej kategorii. Oprawa, stroje, meble, w ogóle wyposażenie i żywy towar w najlepszym gatunku; restauracja, francuska kuchnia, izolowane od siebie dwie sale taneczne, każda z innym rodzajem muzyki, występy artystyczne na dobrym poziomie, z dużą ilością ładnej golizny. Tu dziewczyny nie zaczepiały gości. Klient mógł obejrzeć towar dyskretnie przez wizjer i na tym poprzestać albo wskazać jak łososia w

akwarium, którego wyławiał kucharz i posyłał na ruszt. Burdel za siódmą zasłoną. Dziewczyny musiały być eleganckie, nie miały prawa kłać ani się wyrażać, zwłaszcza wobec klientów.

– Chcesz stąd odejść? – zignorował wulgarną odzywkę, jakby w ogóle nie zrozumiał.

Mój niemiecki prezentował się kulawo i ubogo, ale słowa z lingua latryna w różnych językach już opanowałam, osłuchana w pozasłużbowym narzeczu dziewczyn, porozumiewających się ze sobą koślawą niemczyzną z domieszką pojęć różnych nacji wschodniej Europy i Lewantu, klnących nie tylko w mowie ojczystej, ale i języku kraju osiedlenia.

– Proponuję godne życie i lepsze zarobki – na szczęście wtedy nie rozumiałam zwrotu przetłumaczonego jako: godne życie, podobnie jak: wiarygodność i jeszcze kilka słów moi rodacy zmełli w proszek, tak że nie znaczyły już nic. Więc nie dotarł do mnie sens pierwszego członu zdania. Lepsze zarobki pojęłam.

– Za co chcesz lepiej płacić?

– Za pozowanie do zdjęć – mówił wolno, jak do osoby głuchej albo niedorozwiniętej.

– Porno.

– Nie.

– To do jakich fotografii jestem ci potrzebna?

– Artystycznych.

– Możesz dalej bawić się w księcia. Ja słucham.

– Dlaczego tak nisko siebie cenisz?

– Człowiek ceni siebie na tyle, na ile go stać – zastanawiając się, do czego naprawdę chce mnie namówić, udało mi się wydukać coś w tym rodzaju. Wtedy już wiedziałam, że miejsce na kawalecie zaczynającej swój powolny obrót z chwilą uchylenia się wizjera, na której jestem wystawiana jak ciastko, i klienci w zakładzie Kuternogi, to jeszcze nie najgorsze, co mnie może spotkać w tym zawodzie.

– Proponuję próbne zdjęcia.

– A jeśli się nadam?

– Zostaniesz modelką i to bez żadnych cudzysłowów. Jestem impresariem, nie sutenerem.

– Modelki szukasz po burdelach?

– Czemu nie?

Nie miał przesądów, z czasem się przekonałam. Stempel, można powiedzieć, szlachetny znak firmowy Lothara Lunze nosiły później dziewczyny z różnych warstw

społecznych, z różnych zawodów, od arystokratki po ómę z dzielnicy nocy. Ukształcone wypożyczał lub odsprzedawał za duże pieniądze, podobnie jak kluby sportowe zawodników.

– Zwróciłem uwagę na twoją fotografię.

Przy wejściu do *Calypso* umieszczano za szkłem zdjęcia artystek, zwłaszcza niedawno zaangażowanych. Taką reklamę stosowały wszystkie kluby o podobnym profilu zgrupowane na kilku ulicach i wszędzie dziewczyny nazywano artystkami. Ów tytuł nikomu nie przeszkadzał, ale i nikogo nie zwodził co do charakteru profesji. Jedne firmy wystawiały mięso, brutalne ekspozycje towaru, inne kadry z pretensjami do sztuki, w każdym razie nie przekraczające granic dobrego smaku. *Calypso* należało do tej artystycznej kategorii.

– Zdecydują próbne kadry. Tylko nie chwal się tutaj. Propozycja to jeszcze nie kontrakt.

– W życiu! Kulawiec mógłby robić trudności. Nie mam prawa pobytu ani prawa pracy. Zaraz dałby cynk gliniarzom albo napuścił cyngli. Mściwa gadzina. Najlepiej wynieść się bezszmerowo – na wszelki wypadek przemilczałam brak dokumentów, wyjawiałam dostateczną ilość braków, niechaj się z nimi oswoi. Jeszcze jeden, jak sądziłam, najcięższy gatunkowo teraz mógłby go przepłoszyć.

– Jesteś zadłużona?

– Nie – większość dziewczyn wciąż była na minusie u Kuternogi. Ja nigdy nie wzięłam zaliczki.

Próbne fotografie wypadły nadspodziewanie dobrze, nie mogłam się nadziwić, że tak właśnie wyglądam. Były lepsze od odbicia w lustrze, były lepsze od rzeczywistości. Moje pierwsze olśnienie, ja na prostokacie światłoczułego papieru, taka inna, taka doskonalsza, piękniejsza. Czy naprawdę ja? Dziewczyna z *Kalejdoskopu*, pozał się Boże naiwna narzeczona Kalifa, artystka z *Calypso*. Nie do wiary, tę zupełnie nową dziewczynę wyczarował mrukliwy gość z kamerą, ze wszystkiego niezadowolony, krzywiący się przy każdym zdjęciu, jakby go bolały zęby.

Znacznie później zrozumiałam, że modelka to nie tylko uroda, niekoniecznie wybitna i harmonijna budowa – spece od korekty fuszerek Pana Boga wiele umieją poprawić – lecz przede wszystkim predyspozycje, więcej, rodzaj talentu, który można rozwinać, nigdy wyuczyć czy nabyć. Coś jak ze sprinterem. Sprintera stwarza natura, trener dostrzega i pomaga wydobyć jego możliwości.

Lothar Lunze był niezrównany w swojej dziedzinie. Bezbłędnie wyławiał dziewczyny, w których nikt oprócz niego nawet nie domyślał się owych szczególnych właściwości. Ja miałam te właściwości nic o nich nie wiedząc, Lothar je odkrył czy przeczuł swoją niezwykłą

intuicją.

– Warunek. U mnie nie będziesz się puszczać ani za pieniądze, ani za darmo. Dziewczyna, którą lansuję, musi jak królowa być poza podejrzeniem.

– Nie wywabię z biografii *Calypso* – bez absolutnej konieczności daleka byłam od złożenia sprawozdania z całego życia.

– Zaistniejesz od nowa. Ale foto-girls to zawód bardzo ciężkiej pracy, owszem, rozgłosu, czasami nawet sławy i dużych pieniędzy.

Wtedy nie przewidział, jak dużych.

6.

Krzyk.

Nieartykułowany, o jednakowym natężeniu, skarga potwora wzbiła się ponad drzewa roniące liście, przeniknęła w uchylone balkonowe drzwi. Trwała.

Późnym wieczorem Anielka czytała w salonie, szczeniak spał na dywanie. Nie przypominał już rozplaszczonej żaby, leżał na boku, wciąż jeszcze nieproporcjonalnie potężne łapy wyciągnął przed siebie, przebierał nimi, poszczekiwał. Śnił. Może ścigał zdobycz, może przewodził wilczej sforze albo z rodziną złocistych szakali towarzyszył gromadzie pracłowieka. Anielka wybiega na taras, za nią szczeniak.

Między jesiennie przeredzonym poszyciem drzew miga w oddali światło, dobiega wyciszony głos krzątanimy. Anielka bardziej wyczuwa tę krzątanimę, niż słyszy. No tak, tutaj dba się o sąsiedzki spokój, przestrzega norm. Tutaj w dużych domach po dziesiątej wieczorem nikt nie uruchomi sfluczki, żeby dźwięk ściekającej wody nie zakłócił ciszy. Żadnych tańców do białego dnia nad głowami nieszczęśników z niższej kondygnacji, którzy przy okazji podobnie zmaltretują mieszkających pod nimi.

Po kilkunastu miesiącach obcowania z Hanigiem Anielka już wszystko wie o sąsiedzkich obyczajach. Więc tam u nich, odgradzonych parkanem ukrytym w szpalerze kolczastego żywopłotu, musiało się wydarzyć coś, czemu nie udało się zapobiec.

Anielka bez namysłu wchodzi na przeciwpożarową drabinkę. Umocowana pionowo przy ścianie prowadzi na dach otoczony, podobnie jak taras, balustradą z kremowych tralek i parapetem z polerowanego drewna.

W sąsiedzki ogród jakby ciśnięto bicz świetlistych paciorków, rozjarzył się wzdłuż alejek szpalerem mlecznych kłoszy wspartych na niskich postumentach wyrastających wprost z ziemi.

Anielka już na górze, czuby świerków pod stopami, przysiada na barierze, nogi wspiera o końcowy szczebel drabinki. Szczeniak na dole gramoli się i spada na grzbiet, przebiera bezładnie łapami, zanim znowu nie stanie na swoich śmiesznie grubych kończynach i nie spróbuje od nowa wspinaczki. Przy czym jazgocze i narzeka.

Za żywopłotem migają cienie, z mroku wyłania się postać w srebrzyście połyskującym

skafandrze. Oddalenie, zarośla, światło skierowane w dół, czynią niewyraźną górną część sylwetki, widać jednak, że głowę i twarz chroni przezroczyste nakrycie, może nawet połączone z resztą kostiumu, rodzaj hełmu z długim podpięciem sięgającym ramion na podobieństwo osłony przy kapeluszu bartnika. Postać schyla się, błyska ów niezwykle szłom i dłonie obleczone w rękawice.

Z przeciwnej strony wynurza się drugi srebrzysty, przyłbica dotyka przyłbicy, przypominają pozaziemskie istoty z fantastycznych opowiadań.

Stwory z kosmosu – bandyci – robiliby iluminację – zatelefonować na policję – po jakimś.

Anielka nie po raz pierwszy odczuwa swoją szczególną niemotę, ale tym razem dotkliwie. Jest tak silnym doznaniem, że mimo niezwyklej sytuacji po raz pierwszy przelatuje jej przez głowę, czy nie należy jednak zabrać się do niemieckiego. Przelatuje i znika. Nie powinna wzywać policji w żadnym języku. Co by powiedział Hanig o takim przeroście inicjatywy. Anielka nie ma pojęcia, kto obok zajmuje dom, właściwie dwa domy, budynek pod attyką z bocznymi skrzydłami ze szkła ukryty w głębi i pawilon identyczny jak ten, w którym ulokowano Anielkę. Obie posiadłości musiały stanowić całość, widać to po architekturze i stylu obu parków.

– Do kogo należy willa z attyką? – pytała Haniga, gdy tylko przyjechała i jeszcze była naiwna.

– Nazywają się Müllerowie i mnie nie obchodzą. U nas nie interesujemy się sąsiadami. Nie jest przyjęte. Po to ludzie kupują i grodzą teren w drogiej dzielnicy, żeby być u siebie, uniknąć natrętów i wścibstwa. Zamieszkiwanie obok nie stanowi żadnego tytułu do poufałości. Pamiętaj o tym i przestań się nimi zajmować.

Anielka zeskakuje z balustrady, w rogu jest wyjście na podstrysze i schody. Zamknięte. Jeszcze jedna cudaczna właściwość domu. W kominku nie wolno palić, w aneksie jadalnym jeść, wchodzić na dach. Właz się zamyka. Jeśli zajdzie potrzeba, to się otworzy.

Dotychczas przydał się raz. Do stylizowanej serii Damy z ubiegłego stulecia. Oprawa jak znalazł, dom dziewiętnastowieczny, białe płaskorzeźby na nadprożach dziewiętnastowieczne, białe kanelury na pilastrach dziewiętnastowieczne i tralki balustrady też.

Gdy Hanigowi się znudziło fotografowanie Anielki na tle ozdobnych portali, gzymsów, przyściennych filarów, przeniósł się na dach. Wtedy zobaczyła. Jeśli nie liczyć balasków jako kolejnego tła do Damy, nie było nic ciekawego. Wyłożona kremową terakotą płaszczyzna tworzyła cztery połacie nieznacznie nachylone ku odprowadzającym deszczówkę

rynnom pod występem podstawy. Na niej wspierał się cokół dźwigający barierę. Poza gaśnicami zupełnie niczego na dachu nie trzymano i Anielkę przestał interesować zaryglowany właz.

Hanig wyraźnie izoluje taras – on wie, co można stąd zobaczyć – widok nie dla mnie – nie powinnam zapuszczać żurawia w sąsiedzki ogród – ale dlaczego.

Anielka powraca na dół drogą, jaką przybyła, i telefonuje do służbówki. Monotonnie zawodzi sygnał, słuchawka nie zostaje podjęta.

Może Milo się kąpie?

W portierni, pomniejszonej kopii pawilonu, mieści się tylko jedna izba z wnęką kuchenną i sanitariatem zainstalowanym zresztą niedawno. Szczupłość miejsca albo koszty zdecydowały, że poprzestano na tym udogodnieniu, natomiast Milo ma prawo do łazienki mieszczącej się na parterze domu przy atelier. Jednak na dole nikogo nie ma. Wszystkie pomieszczenia zamknięte. Studio rygluje Hanig, pokój kąpielowy Milo.

Jeszcze Hanig – cenny sprzęt – bank fotogramów – ale co zaklucza w łazience Milo – aligatora.

Nagle dotkliwie odczuwa, jak bardzo jest sama w tym za dużym domu i pozostanie sama do jutra. Rano spotka w kuchni Milo, o dziesiątej przyjedzie Hanig. Przez noc nie będzie blisko nikogo, tylko ta kariatyda w domku służbowym. Przypomniała sobie niedawną przygodę. Wieczorem szły do Maestry. Nadciągnął facet, klepnął Milo w pośladek.

– Lubię duże kobiety – powiedział. Milo klepnęła faceta. Amator rosłych kobiet poleciał do przodu i zarył nosem. – Sufrażystka pieprzona! – zebrał się z chodnika. Milo nie odpowiedziała ani słowem.

Anielka zatęskniła za obecnością mrukliwej dziewczyny, której jakby nie było, nawet jeśli znajdowała się obok.

– Brysiek – Anielka czuje na nodze wilgotne dotknięcie. Szczeniak unosi łeb, patrzy oczyma z bursztynu, ziewa rozdzierająco, przeciąga się i puszcza ogon w ruch. Łapy wciąż sprawiają wrażenie nie od tego psa, ale nic nie przypomina tłustego oseska z pękatym brzuchem zawsze pełnym cieczy. Dzieciństwo spędził w kojcu, dopóki nie zrozumiał – chociaż rozkojarzano go w dwóch językach – że jak długo będzie lał, gdzie stanie, tak długo nie opuści więzienia wysłanego papierowymi pieluchami.

– Spacer – decyduje Anielka i zakłada kurtkę.

Pies rzuca się na drzwi, skacze, pcha z łapami do ramion Anielki. Wychowany jest fatalnie. Puszczonego luzem szczeka, aby więc uniknąć harmideru, Anielka bierze go na smycz, chce nie zauważona podejść możliwie blisko granicznego parkanu. Dlatego nie idzie alejką,

wzdłuż której automatycznie rozjarzyłyby się takie same jak u sąsiadów lampy, tylko trawnikiem, terenem nie poddanym niewoli elektronicznego dysponenta. – Hop!

Aby nie uruchomić latarni, przeskakują z Bryśkiem ścieżką ubitą kruszywem. Szczeniak wykonuje za krótki sus i pada na dróżkę, natychmiast rozjaśnioną szpalerem zapalonych żarówek. W tym momencie na tle żywopłotu ukazuje się prawie nagi mężczyzna, oślepia Anielkę światłem skierowanym wprost w twarz. Słyszą tylko szelest sztru pod jego stopami.

– Nie daj! – Anielka zwalnia zaczep smyczy na obroży, Brysiek z wrzaskiem rzuca się w pogoń. Alejka ciemnieje, Anielce przed oczyma wirują tęczowe kręgi, przerażona kryje się za pień drzewa.

U sąsiadów ogród gaśnie, niepełny księżyc srebrzy anemicznie, w oddali zacicha ujadanie psa, beztroskie, przypominające raczej dobrą zabawę niż zajadłość.

Wystraszona Anielka wciąż ma pod powiekami zatrzymany obraz: goły mężczyzna, tylko w obszytych koronką różowych majtkach, z pękiem rozluźnionych włosów do ramion, przewiązanych z tyłu głowy zsuwającą się też różową wstążką.

Wraca Brysiek bardzo z siebie rad. Żuje. Z kąta wargi zwisa koniec troka. Ważny, nie chce się poddać oględzinom, obraża, powarkuje, staje przed Anielką gotów uskoczyć. Wreszcie udaje się wydobyć z niego kawałek oślinionej walansjenki. Nie ulega wątpliwości, szczeniak dopadł tych różowych majtek i zdarł skalp.

– Hanig, Hanig, tu jesteśmy, Hanig! – wydziera się Anielka jak głupia wbrew wszelkim sąsiedzkim normom, chociaż dobrze wie, że Hanig jest na drugim końcu miasta. Ale to informacja dla tamtego w różowych babskich figach. Niechaj wie, może mieć do czynienia z mężczyzną, a nie tylko z dziewczyną i niemądrym szczeniakiem, jedynie podobnym do dorosłego psa. I może Milo usłyszy rozpaczliwe wołanie.

Anielka boi się odkleić od przyjaznego pnia, który przynajmniej osłania plecy, lecz nikt nie śpieszy z pomocą. Musi się ruszyć. Byle do domku portiera, jest bliżej niż pawilon, trzeba zrobić pierwszy krok i iść murawą.

– Brysiek! – Anielka przemaga paraliż, zapina smycz na obroży psa, Brysiek ciągnie w całkiem inną stronę. Anielka szarpie rzemień, wlecze opierającego się psa i nie może powstrzymać łez.

– Idiota – Brysiek nie przyjmuje obelgi do wiadomości, niucha trawę, podnosi ku Anielce łeb, przekrzywia i dziwi jej niepojętemu uporowi. Przecież on wie, którądy ścigać intruza, dlaczego ona tego nie rozumie. Ludzie są dziwni.

Anielka daje za wygraną, znowu puszcza psa luzem, Brysiek z wrzaskiem pikuje w

zarośla, Anielka biegnie w przeciwnym kierunku, za żadne skarby nie chce znów spotkać faceta w damskich figach. Po chwili wraca Brysiek, lojalnie dołącza do Anielki.

Majaczy wysoka brama i róg parkanu. Z uchylonych drzwi portierni ściele się smuga blasku, poza zasięgiem światła wyrasta ciemna sylwetka. Dwie ręce przytrzymują ramiona Anielki, osadzają na miejscu.

– Euaeee – dygoce niezdolna dobyć artykułowanego dźwięku.

– To ja, Milo, nie bój się.

– Różowy... Żywopłot... figi z koronkąąą – szlocha Anielka.

Brysiek wydaje radosne szczeknięcie, dopada nogi Milo, zwalcza różowy pompon na kapciu.

– Poszedł tyyy – ogania się dziewczyna. Pies chwytą zębami rąbek służbowej sukienki. – Boże, kiedy on zmądrzeje – wzdycha Milo i wprowadza Anielkę w snop jasności z portierni, Brysiek za nimi, zapierając się łapami i powarkując nie wypuszcza z pyska brzegu spódnicy Milo.

W służbówce łóżko rozestłane, na taborecie byle jak ciśnięta bielizna, zwisa różowe ramiączko, Brysiek dobiera się do tego ramiączka, ucieka wlekąc zdobycz, miseczki biustonosza gubią podwatowania z różowej gąbki.

– Skaranie boskie, oddaj – Milo próbuje odzyskać własność. Brysiek zaciska szczęki, wrywa jej z rąk i tarmosi różowy stanik, dostaje od Anielki klapsa, wyszczerza się, traci łup, wstydzi kary, udaje że nic się nie wydarzyło.

– Nie słyszałaś ryku, szkielet wyskoczyłby z grobu!

– Jakżeby nie. Świder nie głos. Jakiś wynalazca.

– I co wynajduje, maszynę do wycia?

– Mało ludzie mają bzików, ten nieszkodliwy, wielkie rzeczy, trochę powyje. Wyrzałam na dwór, słyszę: wyje. Nie u nas. Nie mój koń, nie mój wóz. Położyłam się, przysnęłam. Kęs czasu musiał upłynąć, zanim obudziło mnie znowu, ale już twoje wołanie. Słyszę: Hanig! Zaraz myślałam, Anielka urżnęła się z nudów i rozrabia. Jej rzecz, tamci wyli, niechaj sobie też powyje. Z drugiej strony, myślę, my nietutejsi, niedobrze, aby cudzoziemiec brewerie wyczyniał. Ludzie swego nie widzą pod nosem, cudze dojrzą pod lasem. Myślę, po co mają w wytwornej dzielnicy gadać o nas: prymitywy z Polski, dzicz ze Wschodu. Odziałam się i przybiegłam. Po coś chodziła, pan Hanig przykazywał: nie nasz interes, co robią u Müllerów.

– Nie byłaś ciekawa, co się dzieje za płotem?

– Nie. Pan sobie nie życzył. Zapowiedział przy angażu. Więc się stosuję. Nie chcę

stracić posady z darmowym mieszkaniem.

– Wiesz, gdzie mam jego zakazy!

– Ty co innego, jesteś dochodowa, a takich jak ja upędza się za robotą gromada.

– On umie liczyć, jesteś skarb, Milo – zapewnia Anielka szczęśliwa z komunikatywności mrukowatej dziewczyny. Nareszcie może z kimś porozmawiać, chociaż pochwała nie była na wyrost. Milo, z zawodu charakteryzatorka teatralna, okazała się wszechstronna. Czesze, zna się na masażu, projektuje, szyje, umie gotować, sprząta, pełni obowiązki portiera i kierowcy, potrafi zreperować kran, naprawić punktowiec, dba o park. Hanig zamawia ogrodnika tylko na wiosnę i jesienią.

Milo stanowi przeciwieństwo wścibskiej, rozgadanej, raczej drobnej Helmi, która zniknęła po jednym dniu. Rosła, grubokoścista, szeroka w ramionach, z płaskim biustem, ma niski głos, muskularne łydki, duże stopy i ręce jak podolski złodziej. Anielkę wciąż zdumiewa, jak niesłychanie delikatne i zręczne potrafią być te wielkie ręce.

– Rozejrzę się. Nie będzie się tutaj nikt szlajał – Milo zdejmuje z wieszaka kurtkę, wkłada do kieszeni gazowy pistolet. Brysiekwstaje, wachluje ogonem z oczekiwaniem w żółtych oczach. – Pewno już go po naszej stronie nie ma – Milo zbiera włosy w pędzel nad karkiem.

– Myślisz, on od sąsiadów?

– Aha. Mówiłaś o dwóch w kombinezonach, pewno jego szukali, to przelazł do nas, a Brysiekw go wypłoszył. Nasz alarm nie zadziałał, znaczy cudak od Müllerów. Tylko od ich strony parkan nie ma wyjściowej instalacji. A swoją drogą, jak sobie poradził? Wysokie ogrodzenie, kłujący żywopłot.

– Ale dlaczego w majtkach z koronkami?

– Takie ważne! Może czub, może wygodniej w damskich desusach.

Anielka wstaje z jedynegefotela, pies wynurza się spod stolika, z pyska zwisa różowa tasiemka. Milo uciska mu szczęki i jak prestidigitator wywleka z Bryśka z pół metra różowej wstążki. Puszczony szczyrzy się i kłapie.

– Tutaj był Różowy, miał tym przewiązane włosy – Anielka nie może oderwać oczu od oślinionego skrawka materiału.

– Moja tasiemka. Miałam nią zebrać włosy, pies ściągnął i zawłókł pod stół. Musisz go ułożyć, robi się nie do wytrzymania – Brysiekw niecierpliwi się pod progiem, skacze na drzwi, dudnią filongi pod jego łapami.

Rano przyjeżdża Hanig, jak co dzień zaczynają się zdjęcia. Zanim Anielka wstąpiła w tło bez tła, dal, przestrzeń, powietrze, sztuczny wiatr, rozwiane szyfony, mówią Hanigowi o

dziwnym gościu.

– Wyprowadziłam odlać psa – za tą godziwą przyczyną Anielka ukrywa łożenie po dachu, podglądanie i nocną panikę, jakiej teraz się wstydzi.

– U sąsiadów wyło, może jaki cudak stamtąd uciekł. Przeszukałam park, nikogo nie znalazłam – mówi Milo. Anielka czuje wdzięczność za jej powściągliwość.

– Widziałaś kogoś?

– Nie chodziłam patrzeć, dopiero jak się Anielka wylękała, wybiegłam jej na spotkanie. Nasz alarm był cicho, dlatego wypadło mi na nich.

– Przy okazji spróbuję wyjaśnić, a teraz do roboty – Hanig nie wydaje się przejęty wydarzeniem.

Legł kolejny, który to już dzień, podobnych do siebie zajęć. Trwa. Nie przemija. Nuży. Tylko zegar niesłychanie wolno nawleka sekundy, minuty, zbiera w godziny.

– Plecy prosto, sylwetka podana do przodu, ręce odrzucone do tyłu, ramiona fruną w powietrzu, noga wysunięta, stoisz na puentach, lekko, lekko, płyniesz, jesteś aflastonem na dziobie żaglowca.

Aflaston – może być galion – chociaż ma również drugie znaczenie – Poetessa – dzięki niej wiem – zamęczy mnie artysta – pies z nim tańczył – pies na robotę – galiony są z drewna – gliny – marmuru – tuniki z drewna – gliny – marmuru – fałdy rzeźbione – nie rozwieje ich żaden wiatr – nie jestem z kamienia – bolą mięśnie – kto wymyślił cały ciężar ciała na palcach – boso.

– Lekko, lekko, Nike z Samotraki, niepokonana, uśmiech!

– Nike się nie uśmiecha. Nie może.

– Co mówisz?

– Nike się nie uśmiecha. W ogóle nie ma głowy.

– Wyobraź sobie, że ma. Nie rozmawiaj, nie łap za słowa. Pełna koncentracja. Jesteś rzeźbą na dziobie klipera, dmie wiatr... stopy, stopy! Do diabła, pamiętaj o stopach zatrzymanych w biegu na palcach, jesteś boginią, nie masz wagi... lepiej... dobrze... uwaga... stop! – Hanig wyłącza jupiter i dmuchawę sztucznego wiatru.

Anielka opada na kłęb gąbki obszytej angielskim kretonem, trochę przypominający coś do siedzenia. Kłęb ugina się pod jej ciężarem, wypucza, gdzie trzeba, mimo niekonwencjonalnego kształtu przemienia w fotel. Anielka rozciera zdrętwiałe nogi.

– Spociałś się – wzdycha z wyrzutem Hanig.

– Jeszcze nie jestem trupem – odszczekuje Anielka. Cała mordęga na nic, ujęcia będą powtarzane.

– Popraw jej twarz – woła w przestrzeń Hanig i rzuca się na jeden z tych foteli wyglądających jak wzbita pierzyna w kwiecistej poszwie. Przysuwa stolik, nalewa kawę z termosu.

Zza zapasowych statywów i całego kramu, który wcale nie jest bałaganem, tylko tak wygląda, jak pouczył Anielkę Hanig, wyrasta niewidzialna i niesłyszalna dotychczas Milo, materializująca się na żądanie i znikająca po spełnieniu polecenia. Już czeka przy gotowalni, Anielka spiesznie łyka napar, przenosi się z barwnego piernatu na inny barwny piernat naprzeciw lustra.

Milo osusza jej czoło z rosy plamiącej matowość skóry, odświeża rysunek ust, pędzelkiem nakłada mastyks, przeczesuje i odgina rzęsy. Nie przyklejają jej sztucznych, Anielka ma własne gęste i długie jak z nylonowych włókien, aż Hanig sprawdzał, jakie naprawdę są.

– Czy sztuczne rzęsy mogą być takie! – oburzyła się Anielka.

Dopiero tutaj przekonała się. Mogą. Najlepsze sztuczne rzęsy robią z prawdziwych rzęs, kosztują bardzo, ale to bardzo drogo. Wyskubują żywym, biorą z nieboszczyków? – nurtowało Anielkę. Nie zapytała. Niezręcznie.

Przygląda się odmienionej twarzy. Mniejsza o puder, szminki, emulsje, w warunkach pozowanej fotografii charakterystyka stwarza pozory naturalności. Na przeobrażenie złożyły się drobne retusze kosmetyczne i dwa zasadnicze. Udoskonalona Anielka ma rozjaśnione włosy o odcieniu żytnej słomy i oczy niebieskie jak dwa kawałki najbardziej niebieskiej lapis-lazuli.

Mniejsza o naturalny kolor włosów, pospolity ciemny blond zamieniła bez żalu na efektowny odcień, jak stworzony do jej karnacji, ale oczy. Nie chciała innych.

– Czego się czepiasz moich oczu, dużo takich widziałeś, są najbardziej udanym detalem w mojej twarzy!

– Za bardzo.

– Drugich takich łatwo nie znajdziesz. Wiesz, jak wyjdą w zbliżeniu na eastma-color.

– Właśnie dlatego. Massmedium powinno być ładne, ale nie wystawać zbytnio ponad przeciętną, żeby jak najwięcej ludzi mogło się z nim utożsamiać. Niebieskookich dziewczyn jest dostatecznie dużo, ten klan da ci poparcie.

– Przy zmianie maści twierdziłeś coś przeciwnego. Modelka musi przykuwać uwagę mężczyzn.

– Nie widzę sprzeczności.

– Powiedziałeś, tak ubarwiona jest większość kobiet, mężczyźni chcą mieć na

fotografii coś ekstra, coś innego niż w domu. Chlapiemy cię na niezwykajny kolor, będzie interesująco.

– Kolor włosów miałaś zbyt banalny, barwę oczu za mało banalną. Rozumiesz?

– Rozumiem. Zawsze ty masz rację. Ale na jedno się zgodziłam, na drugie nie.

– Od dawna mam twoją zgodę – zniecierpliwiony powołał się na kontrakt, mógł to zrobić od razu, jednak starał się uprzejmie trafić jej do przekonania, ale ona jest uparta jak oślica Baalama i wciąż toczy boje o byle drobiazg, czasami traci do niej cierpliwość.

– Też mi drobiazg! – chciało jej się płakać, winą obarczała mecenasa. Przyłożył rękę do umowy, według której wolno im wyrabiać, co chcą, z jej oczyma, tylko kto przypuszczał, że za punktem: charakteryzacja, mogą kryć się niebieskie szyby kontaktowe. Padalec, jak to się zachwycał jej naturalnością, teraz chce zagruntować jak sknocony obraz.

– Przy próbnym nawet nie wspomniałeś o przemalowaniach.

– Próbnym są sprawdzianem fotogeniczności. Niekamerowej twarzy nie pomoże żaden makijaż ani zmiana barwy oczu. Wprowadzając pewne korekty nadaję ci styl. Powinnaś być wdzięczna.

– Nie jestem pudłem!

– Jesteś męcząca. Styl to człowiek.

– Dlatego te bez stylu zaraz sprzedałeś – nie wytrzymała Anielka.

Dotychczas nawet nie wspomniał o zamieszczeniu pierwszych fotografii, tych z Warszawy, jeszcze bez ulepszonej powierzchowności, a ona milczała. Wstydziała się upominać. Niech tam, nie będzie się handryczyć o trochę pieniędzy za jakieś odbitki w piśmie, którego nie widziała. Nie mogła zdradzić Helmi, chociaż mimo lojalności etniczna zniknęła po pierwszym dniu pracy. W służbówce zamieszkała Milo, pracowita, wytrzymała jak koń i równie małowówna.

– Co mianowicie sprzedałem?!

– Próbnym zdjęcia – dopiero Anielka zdała sobie sprawę z ciężaru zarzutu. Gdyby mogła, cofnęłaby myśl, która sformułowana głośno objawiła cały uwłaczający Hanigowi sens.

– Skąd ci to przyszło do głowy?

– Podobno były na jakiejś okładce.

– A ja ukryłem przez tobie, żeby cię wydziedziczyć – Hanigowi często brakło właściwego słowa, zastępował je zbliżonym albo niemieckim.

– Tak się niezręcznie powiedziało.

– Widziałaś fotos? Nie. Więc skąd wiesz, od kogo? Oczywiście! Pewno tamta drozofila z Wołomina, Helmi.

– Hanig, co to jest drozofila?

– Owad. Podstawowy materiał do badań genetycznych. Łatwo ulega mutacjom, przekształceniom, zmianom barwy, zdaje się nawet kształtu.

– Nie lubisz etnicznych?

– Nie lubię leniwych, bezczelnych dziewczuch. Była dosłownie kilka godzin i już narobiła intryg. Posłuchaj, Anielka, jeszcze ani jedna twoja fotografia nie została opublikowana. Nie wiem, co i gdzie zobaczyła tamta kretynka, człowiek widzi, co chce zobaczyć. Ponieważ zamówiłem w agencji służącą do foto-girl, może chciała ci schlebić. Jakie to miało być zdjęcie, portret, akt?

– Nie wiem.

– Gdzie było zamieszczone?

– Nie wiem – Anielka za późno pożałowała. Przede wszystkim należało ustalić nazwę pisma. Powinna je kazać Helmi kupić albo przynieść ze studia. Wtedy, pierwszego dnia, nie było zamknięte, ale wówczas Anielce nie powstało w głowie szperać w pracowni Haniga, podpytywać służącą. W jaki sposób Wielka Gwiazda miałaby wyciągać od sprzątaczk wiadomości, które powinna dobrze znać. Anielka coraz rzadziej bywa Wielką Gwiazdą. Pod wpływem spostrzeżeń zstąpiła i wreszcie chodzi po ziemi z poczuciem, że w początkowej euforii wymknęło się uwadze coś istotnego. Jednak wszystko to nie stanowi żadnego tytułu do obrażania Haniga.

– Daruj. Ze złości klepnęłam byle co.

– Dałaś dużą białą plamę – stwierdza Hanig.

– Dałam plamę. Białe są tylko w naszej najnowszej historii.

– Na dzisiaj dziękuję – jak zwykle mówi Hanig. Zdjęciowy dzień dobiegł końca.

Anielka zrzuca kostium, greckie peplum upodabniające ją do galionu na dziobie żaglowca, zmywa szminki i wyłuskuje spod powiek wiotkie owale, żelowe soczewki, zwyczajne, nie optyczne, szyby, odmieniające jej oczy nie do poznania. Za każdym razem usuwa charakterystycję z tym samym wrażeniem, jakby po zdarciu obcej skóry uwalniała własną tożsamość. Odzyskawszy siebie idzie na górę, bierze prysznic, zakłada dres. Po obiedzie wraca z codziennego spaceru, przebiera się i zamyka psa.

Milo wyprowadza z garażu samochód, nie żadną olśniewającą markę, egzemplarz przeciętny i posunięty w latach. Jadą do Maestry. Tu uczy się ładnie poruszać, gestów, chodzenia, a nawet powabnego bezruchu. Jak z wdziękiem siadać, stać, co robić z rękoma w różnych okolicznościach i wiele innych równie pożytecznych rzeczy. Rytmika, aerobik i zwyczajne ćwiczenia gimnastyczne. Jest jedyną uczennicą, Maestra poświęca jej całą uwagę i

liczy znacznie drożej niż za szkolenie grupowe. Anielka wolałaby zajęcia w gromadzie, ale o tym, co najlepsze, decyduje Hanig. A Hanig jest odmiennego zdania prawie w każdej dziedzinie dotyczącej Anielki i ona po wstępnych bojach przestała stawać okoniem.

Beznadziejne. Hanig wyciąga kontrakt i zaraz się okazuje, wszystko przewidziano w tym obmierzłym papierze. Umowę dano do wglądu zainteresowanym i pozostawiono czas na zgłoszenie uwag. Powtórnie odczytano, zanim Babka i Anielka złożyły podpisy. I co z tego.

Babka w ogóle nie była mocna w dokumentach, a taki widziała po raz pierwszy. Wyrozumiała jedno. Anielki nie puszcza w tym Babilonie samopas, będzie miała opiekę, rygory i naukę. Nie przewrócą w głowie nadmiarem pieniędzy. Dostanie kieszonkowe stosowne do wieku, po odtruceniu kosztów utrzymania wszystko przekażą warszawskiemu bankowi na imienne konto Anielki, lecz pod nadzorem Babki.

Anielka nawet przebrnęła przez paragrafy. Na nic się poświęcenie nie zdało, niewdzięczny tekst uruchamiał w głowie rodzaj przeciągu, wywiewającego sens. Nie miała serca do takiej nudy i w ogóle kto by się chciał wgryzać w zawilności umowy. Teraz ma! Dała się osiodłać, co krok obija o niezłomne punkty. Wielka Gwiazda przygasła. W ogóle nie widzi już siebie jako Wielkiej Gwiazdy. Jest, czym jest, foto-girl podporządkowaną bezwzględnej dyscyplinie zawodu.

– Jak się czujesz? – z początku na powitanie zagadywał Hanig.

– Jak kameduła. Słyszysz, okropnie szeleści w garderobie!

– Niedawno została odnowiona, nic nie może szeleścić.

– Sukienki wychodzą z mody. Nie mam gdzie ich nosić. Właściwie nie potrzebuję ubrania. Wystarczy dres, może być habit.

– Dopisuje ci humor. Bardzo dobrze – nieszczerze cieszył się Hanig.

– Klasztor z obostrzoną regułą!

Anielka nie chciała rozumieć, że poranna odzywka Haniga należała do zwrotów w rodzaju dzień dobry i wcale nie był ciekawy odpowiedzi, a najmniej oczekiwał narzekań.

– Istnieję wyłącznie fotograficznie.

– Takie są reguły gry.

– Jakie reguły? Przecież ja prawie wcale nie stykam się z ludźmi.

– Nie obiecywałem życia towarzyskiego.

– Nawet kawiarni nie widziałam od środka.

– Do kawiarni będziesz chodziła tam, u siebie. Tu przyjechałaś pracować. Pracować i zarabiać pieniądze, jakich nigdy byś nawet nie dotknęła, gdyby nie ja.

– Już wiem, dlaczego jesteście tacy bogaci – wzdycha zrezygnowana Anielka.

– Masz dopiero szesnaście lat.

– Szesnaście i pół.

– Teraz ja mówię, ty słuchasz! Jesteś niepełnoletnia, Babka powierzyła mi ciebie. I niech mnie szlag trafi, jeśli zawiodę tę starą kobietę, która mi zaufała. Twoja Babka jest sterana, ojciec schorowany. Jeśli utracisz pracę, skażesz ich i siebie na nędzę.

Nie zabrzmiało jak groźba, było tylko chłodnym przypomnieniem sytuacji. Osiągnęło cel. Przeraziło. Anielce zrobiło się wstyd. Nie jest żadną gwiazdą, a wyczynia brewerie jak rozkapryszona wedeta. Postanowiła już nigdy nie narażać się Hanigowi, nie narzekać, o nic nie pytać. Zauważyła. Nie lubił pytań, chociaż starał się odpowiadać.

Hanig musiał sobie też coś postanowić. Już nie dowiadywał się na powitanie o samopoczucie Anielki. Odnosili się do siebie rzeczowo, poprawnie, z rezerwą.

– Otwórz – lody przełamał Hanig w sposób o tyle nieprzewidywany, co ujmujący. Rano przed rozpoczęciem pracy zawołał Anielkę przed dom, wskazał stojący na trawniku wiklinowy koszyk zakryty dwustronnym wieczkiem.

Uchyliła klapkę. W środku zapiszczało, z pampersa gramolił się szary kłębek, wsparł nieporadnie łapami o krawędź koszyka, wytrzeszczył dwa czarne koraliki, zapłakał głośniej i zmożony wysiłkiem odpadł od przeszkody pokazując wypięty brzuch. Jazgocząc i sapiąc wy dobył się z trudnego położenia i znowu rozpoczął wspinaczkę po ścianie koszyka.

– Prezent dla ciebie.

Anielka chwyciła w objęcia szary kłębek, zsiakał się niejako w locie, rozpląszczył na ramieniu, ucichł, polizał dziewczynę po szyi. Osamotnione serce Anielki zabiło dla szczeniaka, który ciepły i bezbronny ufnie zasnął z płatkami jej ucha w pysku.

– Owczarek niemiecki.

Babka miała do nich uraz, przypominały esesmańskie psy, zostawiły jej ponure wspomnienia i blizny po kłach. Zżyta z opowiadaniem Babki Anielka niejako przejęła uprzedzenie do tego psa. Jednak gdy wzięła w ręce szczeniaka, natychmiast przebaczyła mu przodków. Nie winien, że tamci ludzie do współnictwa w zbrodni wciągnęli nawet zwierzęta.

– Nie rodowodowy, ale wygląda rasowo – zastrzegł Hanig.

Dała mu imię Brysiek. Nie poddawał się rygorom, wykazał odporność na tresurę. W jego pochodzenie musiały się wmieszać gamety innych nacji, z czasem zaczął objawiać zmyślność kundla, wzrost mastiffa, wyglądał jednak jak trochę przerośnięty owczarek. Nie mieścił się w kanonie żadnej rasy. Anielkę nie obchodziło gniazdo, z jakiego się wiódł, nie rozczarowały zmiany, Brysiek był miłością od pierwszego wejrzenia, wyborem serca, nie metryki.

– Oczywiście twój wolny czas należy do ciebie i możesz go spędzać według upodobania, nie powinien tylko kolidować z pracą – to był szczęśliwy dzień, oprócz szczeniaka Hanig przyznał jej pewną swobodę, ograniczoną, ale jednak. – O dziesiątej musisz być w domu, osiągalna pod telefonem.

Magiczna godzina – dopiero po niej dziewczyny robią głupstwa – piją – narkotyzują się – puszczają.

– Tylko nie zaskakuj Milo nagłymi dyspozycjami. Ona musi godzić różne obowiązki.

– Nie potrzebuję Milo. Od czego jest metro. W ogóle komunikacja.

– Wykluczone. Dlatego trzymam samochód.

– Chciałabym zrobić prawo jazdy.

– Nic straconego, wrócisz do siebie, pójdiesz na kurs. Tutaj i tak nie dostaniesz dokumentu. Cudzoziemka, niepełnoletnia, i nie jestem zainteresowany tego rodzaju szkoleniem. Twoja praca wymaga koncentracji, każda inna dziedzina rozprasza. Nie ma też znaczenia, w jakim charakterze Milo będzie ci towarzyszyć. Nie chcę, żebyś wychodziła sama.

– Zgoda – Anielka powściąga wybuch niezadowolenia. Nie wolno się kłócić. Wybrał ją z tłumu, właśnie ją, płaci przyzwocie, traktuje dobrze, podarował szczeniaka, na swój sposób stara się złagodzić jej istnienie dla fotograficznego życia, nie jest jej Babką ani krewnym, jest pracodawcą.

– Jesteś chora? Dlaczego nie protestujesz, nie dowodzisz, że to najgorszy pomysł w Europie.

– Jestem ci wdzięczna za psa i w ogóle.

Czuła się bardzo samotna. Nawet nie miała okazji nosić tych kilku rzeczy przywiezionych z Warszawy. Toteż na swój pierwszy występ w mieście stroiła się niczym na bal.

Anielka w myśli już opuszcza samochód w śródmieściu. Nieświeży, szkoda, więc wysiada prędko, ludzie nie muszą kojarzyć jej z tą leciwą gablotą, zresztą pomija ów szczegół. Przyjeżdża z Hanigiem. Auto Haniga jest szykowne, mercedes, model z ubiegłego roku. To jest coś.

Anielka w myśli znowu jest przy krawężniku na Kudammie, wychodzi ze lśniącego chromami i metalicznym lakierem pojazdu, jak uczy Maestra. Obraca się na brzegu siedzenia, wystawia jednocześnie obie nogi, delikatnie podpira ręką i z wdzięcznie pochylonym korpusem wysuwa z drzwiczek, przy czym uważa, aby nie pognieść stroju, aby spódnica nie podjechała pod uszy i aby nie zaczepić o coś rajstop. Ta ostrożność nie jest widoczna. Jawna

troska o ubranie zaprzecza elegancji. Wydobywa się z wozu lekko, z wdziękiem, jakby nie istniała siła ciężenia, a stawy działały tak samo we wszystkie strony. Uśmiech, pamiętać o uśmiechu. Uf!

Stanowczo wysiadanie z samochodu nie jest czynnością efektowną nawet w wydaniu Wielkiej Gwiazdy. I ta Milo, nawet w marzeniu nie sposób się od niej uwolnić. Zapięta pod szyję, w sukience z długimi rękawami, wyprostowana, stąpa ostrożnie. Niesie siebie jak chińską wazę z porcelany. Anielka najwyższym wysiłkiem wyobraźni pozbywa się asysty, usadza ją nad lodami.

Idzie szerokim chodnikiem, wczesny letni zmierzch, kiedy jeszcze jest widno, ale już palą się latarnie, ogarnia miasto. Kioski, trafiki, lokale oblepia numer pisma z jej zdjęciami. Lepiej, żeby nie oblepiał, o tej porze nakład dawno powinien być rozchwytyany. Więc nie oblepia, tylko gdzieś ostą się pojedynczy egzemplarz z tych reklamowych, przymocowanych do ścian lub półek.

Wstępuje na schody, koniecznie na schody, kroczy ku górze, jak uczyła Maestra. Zatrzymują się przechodnie.

– Patrzenie, przecież to Evi Kovars, najśłynniejsza foto-girl!

Trzaskają aparaty fotograficzne, terkocą kamery, błyskawiczny, improwizowany na żywo interview, a nie opowieści preparowane przez Haniga z Impresariem przychodzącym do studia, klecone przy szklance szkota z lodem albo pękatom kielichu Henessy, opowieści, w jakich żyje wymyślonym życiem nieprawdziwa dziewczyna z papieru i filmowej taśmy, Evi z warkoczem jak żytnia słoma i oczyma z lapis-lazuli, wężowo wysmukła, z wysokimi, twardymi piersiami, które nie potrzebują staników.

W tym prawdziwym wywiadzie Anielka jest błyskotliwa, dowcipna, odpowiada swobodnie, bez namysłu. Po jakimu? – zabija jej świeka ta druga, przyziemna Anielka.

– Odłóż soczewki, zmyj makijaż, kamerową dziewczynę pozostawisz w studiu – zupełnie obcina jej skrzydła Hanig.

– A jeśli ona chce się przejść, pokazać ludziom, zjeść lody na Kudammie.

– Nie może chcieć.

– Co w tym złego?

– Nie będziesz Evi obnosiła po Kudammie. Nigdzie jej nie będziesz obnosiła. Lepsze od ciebie tego nie robią.

– Innych modelek nie ukrywają po kątach, nie boją się wypuszczać na świat.

– Ty nie jesteś inna, tylko właśnie ta! Stworzona przeze mnie. Wydobyta z nicości. Ulepiłem cię jak Bóg Ojciec Ewę.

– Adama.

– Teraz ja mówię, masz słuchać.

– Ewę Pan Bóg wykonał z żebra pierwszego faceta.

– Ja decyduję o twojej legendzie i ja mogę ją zniszczyć. Dlatego zmyj twarz, zmień uczesanie, odłóż niebieskie oczy. I co wiesz o modelkach? Widujesz fotosy i teksty, których nawet nie umiesz przeczytać.

Po lekcjach u Maestry Anielka z własną, jednak podobną do Evi twarzą, zielonooka i nie umalowana, w kawiarnianym ogródku na Kudammie roztoczyła swoje jedwabie w palecie malachitu.

Anielka, jak zaleca Maestra, przysiadła na brzegu krzeselka, plecy wyprostowane, noga ustawiona skosem, na niej ułożona druga ze stopą prawie w pionie przylega do łydki pierwszej. Sposób na trzymanie kończyn wypracowany, męczący, efektowny.

Dzień zmierza ku wieczorowi, jeszcze jednak daleko do zapalania latarni, pochyłe słońce kładzie promień na czubku zielonego czółenka z wężowej skórki. Wykwintne buciki wymodelowane w wykwintnej pracowni u wykwintnego mistrza Wiśki, która przesunęła własny obstalunek, aby mistrz przyjął i zdążył wykwintnie obuć Anielkę przed wyjazdem. Po raz pierwszy ma na nogach te swoje piękne, ręcznie zrobione pantofle, przecież nie liczą się jakieś tam przymiarki przed lustrem, ale nic specjalnego się nie dzieje.

Przy stolikach siedzą ludzie, za przegrodą z zielonych krzewów w donicach nieustannie płynie tłum, nikt nie zwraca na Anielkę uwagi. Rezygnuje więc z kanonu wytwornej sylwetki, podsuwa nogi pod krzesło, opiera łokcie na blacie i nie dba o linię pleców.

Milo wypowiedziała może z pięć słów. Nieruchoma, wyprostowana, stopy złączone, obute w granatowe lakierki z kokardami, wyglądają na większe, niż są w rzeczywistości. Granatową sukienkę ozdobiła białym kołnierzykiem i białymi mankietami. Koncesja na rzecz wyjścia.

Anielka podpira brodę, bezmyślnie gapi się na przechodniów, potok świadomości zatrzymuje się na spostrzeżeniu: nigdy nie widziała Milo ubranej inaczej niż w służbową sukienkę z długimi rękawami, które zawija, jeśli koniecznie musi. Nigdy żadnych szortów, opalaczy czy chociażby bluzki z dekoltem, czy strzyże trawę, obsługuje pralkę, pomaga w studiu czy wyrabia ciasto.

– Gorąco ci w tej liberii, dlaczego nie założyłaś czegoś lżejszego?

– Pan Hanig dał firmowy ubiór nie do wieszania na kołku, tylko żeby służbę odróżnić od państwa – ziewa Milo, przysłaniając usta batystową chusteczką obrębianą szydełkową

koronką. Grzechocze lodem, wysysa przez słomkę ostatek soku.

Udaje głępszą i bardziej prostacką, niż jest w rzeczywistości – barwa ochronna.

– Nudno tu, idziemy – Anielka też tłumi ziewanie.

Na skinienie nadpływa płatniczy w kremowym kaszmirze z atłasowymi klapami. Rachunek podaje na srebrnej tacy. Anielce bieleje oko. Suma bardziej przypomina namiary astronomiczne niż należność za porcję lodów i napój.

– Pewno doliczają koszt jego smokingu – wydłuża się mina Anielce, w porę jednak przypomina sobie o uśmiechu.

– Pan Hanig dał na mój wydatek. Powiedział, Anielka płaci za siebie, ale za opiekę, czyli za mnie, on – po odejściu płatniczego Milo kładzie odliczoną równowartość swojego zamówienia.

– Dostałaś tylko na sok, dlatego nie wzięłaś lodów?

– Mhy.

– W porządku, Milo – Anielka wciska banknot w wymanikiowaną łapę, z okazji wyjścia na Kudamm.

Nazajutrz Milo zwraca pieniądze Hanigowi.

– Możesz zatrzymać.

– Nie ma zwyczaju – Milo zostawia marki na konsoli w studiu.

– Nie wiesz, co ją ugryzło? – unosi brwi Hanig.

– Kwestia godności.

– Godność? U gastarbeiterów! Masz pomysły – krzywo uśmiecha się Hanig. Jest neurastenicznie ponury, przygnębiony bywa nieprzyjemny. Kiedyś usprawiedliwił się: my, berlińczycy, jesteśmy bezceremonialni i trochę rubaszni. Nie przejmuj się moimi humorami. Teraz odsądza od czci najemników.

Anielce robi się przykro, rani ją jego poczucie wyższości i pogarda. W podobny sposób mówił o niej: i co wiesz o modelkach, widzisz fotosy i teksty, których nie umiesz przeczytać. Nawet nie sens, samo wspomnienie brzmienia głosu dokucza jak cierń.

Prawda, nie umie. Przez kilka miesięcy pobytu przyswoiła sobie pewien zasób słów, dodane do zapamiętanych ze szkoły pozwalają sklecić parę najprostszych zdań. Była podwójnie wściekła na Haniga, za to, że miał rację i za jego ton. Zna ów ton, zdążyła się na niego uczulić. Spotyka się z nim w Berlinie, chociaż rzadko widuje Niemców. W ich ocenie ktoś nie znający niemieckiego, i to perfekcyjnie, jest prymitywem, w ogóle niezupełnie pewne, czy zszedł już z drzewa, czy jeszcze nie.

Była wściekła i z tej wściekłości obiegała kilka razy park, usprawiedliwiła nieobecność

u Maestry, napisała do Wiśki po podręcznik i słowniki. Wtedy znowu dotarła do jej uszu podobna opinia. Nie skierowana do niej, Hanig nawet nie wiedział, że nie pojechała na lekcję. Pozostał w pracowni, co zdarzało się nie za często, głos dobiegał stłumiony, ale wyraźny.

– ...nie zna niemieckiego... – wyłowiła Anielka zrozumiałe wyrazy.

– ...lepiej... na pewno? – drugi głos również znajomy. Lunze. Impresario. Tak nazywał Hanig specjalistę od nieprawdziwych wywiadów, hobby, zainteresowań foto-girl Evi i w ogóle zmyślonego życia, zmyślonej dziewczyny.

– ...lepiej... niemądre... naiwne... leniwe – Anielka jak rodzynki z ciasta wybierała rozpoznane wyrazy. Nie bardzo rozumiejąc, kogo dotyczyła druzgocąca opinia, kobiety czy mężczyzny. Pomieszały jej się rodzaje, ale przecież niemożliwe, aby było o niej. Niemożliwe. Mógłby ją tak źle oceniać Hanig, płacący tyle pieniędzy?

Za co płaci?

Właśnie. Przecież nie za intelekt, który go nic a nic nie obchodzi, tylko za zgrabne ciało i kamerową twarz, do tego przerabianą, jak mu się spodoba. Nie, jednak nie może być o niej, po prostu źle sobie przetłumaczyła.

Nastąpiła między tamtymi dwoma zupełnie niezrozumiała rozmowa. Abrakadabra! Brzmi jak pytania i odpowiedzi.

– Abrakadabra – histerię – abrakadabra – szaleństwo – abrakadabra – ani zboczeńca, ani nikogo – abrakadabra – majtkach – abrakadabra – odpowiada Lunze na tamtą zupełną abrakadabrę, zadaną przez Haniga jak pytania.

– Nikt z zewnątrz – abrakadabra – alarm – zastrzega Hanig.

– Nikt od nas – abrakadabra – przekonuje Impresario.

– Abrakadabra – nie może się wydarzyć – abrakadabra – lepiej pilnować – abrakadabra – abrakadabra – abrakadabra – stanowczo przekonuje Hanig.

Dlaczego lepiej, że ktoś głupi, naiwny i leniwy nie zna niemieckiego i kto nie pochodzący z zewnątrz, ani od nas, być może histeryczny i szalony, nie jest jednak zboczeńcem i nie biega po nocy w damskich figach – składa oderwane słowa Anielka.

Od nas! Miałby coś wspólnego z Müllerami i ile w końcu jest tych Müllerów, Hanig, jeśli już musiał, zawsze wymieniał ich w liczbie mnogiej. Impresario jakby się tłumaczył za pamiętne nocne niepokoje. W tym kontekście stwierdzenie, że ktoś nie zna niemieckiego, może dotyczyć jej, Anielki.

Dopiero uderza fakt, Hanig nigdy nie wspominał o konieczności poznania przez nią języka, nie wymagał, aby opanowała przynajmniej w jakimś stopniu, w ogóle nie było o tym mowy, nie stanowił warunku w kontrakcie.

Stało się. Padło ziarno. Anielka, ufna dotychczas jak młody pies, zaczyna krytycznie przyglądać się otoczeniu, obserwować poczynania Haniga i przyrzeka sobie, nie tylko z przekory, nauczyć się niemieckiego.

7.

– Kollapsar.

– Nie rozumiem, co to ma znaczyć?

– Ty powinieneś wiedzieć, nie ja. Ty jesteś wykształcony, nie ja. Ale przypadkiem wiem.

Kłamał. Tak nazwał mnie Hanig, kiedy przekonywał Lothara, żeby położył krzyżyk i rozejrzał się za nową twarzą, za zupełnie innym typem i stworzył zupełnie odmienne image. Jak musiała zmarnieć moja pozycja, skoro ten wyrobnik śmiał dawać podobne rady Lotharowi.

– Nie masz wyboru.

– Jest bardzo dobra.

– Była. Była dobra. Lepsze odeszły w zapomnienie, kto na przykład pamięta Twiggy?

– Zdaje się ma hotel w Kornwalii.

– Jesteś z branży. Miałem na myśli fanów.

– W tamtych czasach nie było fanów, tylko wielbiciele, publiczność.

– Nie sprzeczasz się o sformułowania.

– Nigdy nie darzyłeś jej sympatią.

– Nie podpisywałem kontraktu na sympatie, tylko na fotosy. Masz coś do zarzucenia?

Nigdy mnie nie lubił. Jego zdaniem Lothar mnie poświęcał zbyt wiele uwagi z uszczerbkiem dla innych, przeze mnie utracił aktywność i osłabła jego intuicja zapewniająca firmie najatrakcyjniejsze dziewczyny. Haniga drażniło wyróżnianie mnie przez Lothara, był zazdrosny o swoją sztukę, która jak gdyby zeszła na drugi plan, pierwsze miejsce zajął model.

– Więc co znaczy Kollapsar?

– Czarna kula. Gwiazda, która się zapada, ponieważ już nie może znieść ciężenia, lecz nie od razu przybiera kształt kuli. W swej zapaści drga jak kropla na przemian spłaszczana w dysk i rozciągana na podobieństwo wrzeciona.

Może śmiertelnie porazić, dodało Ono w mojej myśli. Nie, tego Lotharowi nie powiedziałam, nie jestem aż tak zwariowana i dostatecznie panuję nad uszkodzoną strukturą mojej osobowości, przynajmniej podczas remisji.

– Skąd znasz nazwę, Evi? – szczególny ton, jak do dziecka albo osoby o niekompletnych klepkach.

Wiedział czy tylko podejrzewał? Może nie mając pewności, zbyt dobrze wychowany, nie chciał powiedzieć wprost. A ja podsłuchiwałam, zmuszona do obrony, gotowa chwycić się każdego sposobu, byle poznać zamiary Lunzego. Był silniejszy. Pod wpływem argumentów swojego artysty, zaczął planować jak zaradzić złu, czyli nie wpuścić mnie przed obiektyw. Kollapsar! A teraz sprowadzają dziewczyny do mojego domu. Targ. Eliminacje. Widziałam.

– Skąd wzięłaś nazwę, Evi? – tym razem dotknął czarnej podwinki w obramieniu, w której twarz wyglądała bardzo pięknie. Złocista cera jak skórka młodej brzoskwini. Używałam najlepszych kosmetyków, potrafiłam stosować upiększającą chemię, sztukę makijażu opanowałam do perfekcji dzięki pomocy Milo, kobietonoma z końską szczęką.

– Milo – przedstawiła się wdzięcznym tenorem, gdy nastąpiła w *Calypso*. Milo z Wenusa – ochrzciły ją okrutne dziewczyny wiedzące coś niecoś o greckiej bogini miłości. Ale tylko ja, zresztą dzięki przypadkowi, poznałam jej tajemnicę.

Tajemnicę. Musiałam mieć wreszcie swojego człowieka w tym domu, nie mogę tu nikomu ufać, zresztą z kim miałabym wchodzić w komeraże, z Turczynką znającą kilka niemieckich słów dotyczących porządków, z kelnerem przywożącym obiad, z dostawcą z Delikatesów?

Ono nie kocha już nikogo.

Wyglądam świetnie, czy Lothar tego nie widzi, w obcisłym kombinezonie z równie obcisłym kapturem ze stretchu, cudownej, niebezpiecznej dzianiny, która podkreśla kształt ciała, eksponuje urodę i bezlitośnie ujawnia defekty. Moja sylwetka pozostała bez zarzutu, jak kanon Polikleta.

– Dobrze się czuję, mogę pracować. Co powiesz o stroju?

Zbył zdawkową pochwałą. Od pewnego czasu nie chciał zauważyć moich usiłowań powrotu przed kamerę.

– Skąd wzięłaś porównanie z Kollapsar?

– Ach, to! Stąd – niedbale wskazałam przygotowany na podobną okazję leksykon i zeszyt popularnego pisma o najnowszych doniesieniach nauki, między innymi astronomii. Miesięcznik adresowany do zwykłych czytelników przybliżał cechy zjawiska, ze słownika dowiedziałam się znaczenia nazwy.

– Interesujesz się Wszechświatem?

– Dlaczego nie? Uniwersum, do którego należy także człowiek. A nic co ludzkie i tak

dalej.

– Zadziwiasz mnie.

– Nic szczególnego. Niedawno czytałam rzecz z fantastyki, zaciekało, jak się mają wyobrażenia do rzeczywistości – książki z owej dziedziny również leżały pod ręką. Nie dam się przyłapać na niekonsekwencji. Ono nie kocha już nikogo i nikomu nie wierzy. Specjalistyczna literatura, tej Lothar nigdy u mnie nie wykryje, podaje: autyzm. Piszą, że schizmo jest przebiegłe, umie się zdobyć na żelazną logikę tylko, paradoks, w urojonym celu. Czy logika może chorować? Ono musi być bardzo ostrożne, dbać o pozory.

Autorytety twierdzą: schizmo potrafi przechytryć wszystkich. Ono nie jest chore. Oni usiłują wmówić, zafałszować rzeczywistość, postawić zbrodniczą diagnozę, ale ich wywiodę w pole. Karmią truciznami, zagęszczają atmosferę, tworzą fakty dokonane. Zmowa. Zdrowie według nich to tylko remisja. Starają się ubezwłasnowolnić, zabrać majątek i dobre imię. Dobre? Najlepsze. Sławne.

Znowu namawiał na Damę do towarzystwa, przejrzałam, co za Damę szykował. Nagle zmienił temat, gdy wypowiedziałam nazwę umierającej gwiazdy. Niby w roztargnieniu przewracał stronicę leksykonu, pomimo rzekomo machinalnej czynności nie przeoczył litery K. Byłam spokojna, nie złapie mnie na drobnym kłamstwie, tam jak byk widniało hasło: Kollapsar.

– Wciąż czymś zadziwiasz. I pomyśleć, kilka lat temu przeważnie znałaś niemieckie przekleństwa – uśmiechnął się i z hukiem zamknął tom o złoconych brzegach.

Pieprzony Pigmalion. Przecież zanim mnie odkrył, miałam opanowane podstawy języka i kilkaset słów wykutych z miłości i jako warunek pracy w olśniewającym zawodzie. Zasób wzbogacany z każdym następnym rejssem, ale tamten wzlot dosłownie i w przenośni dawno pogrzebałam w niepamięci. W każdym razie nigdy nie zwierzyłam się Lotharowi.

Kiedy mnie zabrał z *Calypso*, nawet nie potrafiłam się cieszyć, to znaczy byłam na najwyższych obrotach, do dzisiaj pamiętam tamten stan jak na dużym hajcu, lecz nie odczułam szczęścia, tylko oszołomienie niezwykłym zwrotem losu bez starań z mojej strony. Może przeskok z poziomu *Calypso* do służbówki przy studiu na Tiergarten dokonał się zbyt nagle, jak wydobycie ryby głębinowej na powierzchnię. Ale wówczas nawet takie porównanie nie przyszłoby mi do głowy, ponieważ nic nie wiedziałam o właściwościach fauny pływającej w przepaściach oceanów.

Moje przejście, właściwie przeniesienie w inny wymiar, nastąpiło z dnia na dzień. Na próbne zdjęcia przyszłam pod wskazany adres, gdzie najpierw Hanig zbeształ mnie za kilka minut spóźnienia. Zdawał się nie wiedzieć, skąd przybywam, ja nie miałam zamiaru niczego

wyjaśniać. O szóstej rano zwałam się na postanie w izbie na Kreuzbergu, odnajmowanej u tureckich gastarbeiterów razem z jeszcze jedną dziewczyną pracującą w podobnym do mojego klubie, i zasnęłam, ponieważ zepsuł się budzik.

Nazajutrz czekała na mnie elegancka pani. Była tak elegancka, że moja turecka gospodyni mimo zwyczaju, przestrzegane konsekwentnie i bez wyjątków, nie ośmieliła się napomnieć ją, aby przed wejściem zsuła obuwie, tylko wprowadziła do środka i uhonorowała zaproszeniem do zajęcia jedyne fotela w lepszym pokoju. Pokoje mieli dwa, w gorszym sypiali razem z czwórką dzieci na kołdrach rozścielanych na podłodze.

– Frau do czebe. Szyk! – uprzedziła gospodyni, podczas gdy na korytarzu pod drzwiami zrzucałam pantofle. Dochodziła piąta rano.

Na miejscu zastrzeżonym dla ojca rodziny siedziała pani nie pierwszej młodości, dyskretnie pachnąca, z doskonałą fryzurą i makijażem, w granatowym kostiumie i granatowa aż po miękkie mokasyny na korkowym obcasie. Tę dominującą barwę rozjaśniała tylko bluzka, modna teacher, biała w szeroko rozstawione granatowe pasy z koszulowym kołnierzem podwiązanym granatową aksamitką.

– Nazywam się Annika. Zastępuję impresaria Lothara Lunze. Twoje próbne zdjęcia zostały przedwstępnie zakwalifikowane. Mam cię odprowadzić do lecznicy.

– Jestem w porządku – nie czułam się ani dotknięta, ani upokorzona. W *Calypso* systematycznie brano nam krew poddawaną rutynowym badaniom.

– Warunek sine qua non.

Nie rozumiałam znaczenia terminu, ale barwa głosu starczyła za tłumaczenie.

– Trochę potrwa. Pan Lunze wyłączył cię z *Calypso*, na kilka dni – zawiadomiła. Nic niezwykłego, większość klubów nocnych wypożyczała towar z dostawą loco klient.

Samochód granatowej także był granatowy.

Lecznica mieściła się w pobliżu Kudammu. Kameralna, droga, luksusowa. Najnowszej generacji urządzenia medyczne. Zespół specjalistów. Pozostałam im wierna. Trudno zmienić lekarza, któremu się ufa. Czy jeszcze ufam? Wszystkie dziewczyny z firmy Lunzego i sam Lunze byli tam zadomowieni na długo przede mną.

– Przygotowanie modelki to kosztowna lokata, może się w ogóle nie zwrócić, lecz w żadnym razie nie zainwestujemy w dziewczynę chorą. Adeptka słabowita nie wytrzyma nauki, ćwiczeń i w ogóle przystosowania do zawodu – wytłumaczyła granatowa.

– A jeśli się okażę chora?

– No cóż, otrzymasz rekompensatę za czas, przez jaki pozostaniesz u nas, i będziesz mogła wrócić, jeśli... – nie dopowiedziała.

Tak. Ponura strona profesji. Choroby zawodowej miłości. Trafiające dziewczyny mimo zabezpieczeń. Nie myślało się o nich na co dzień, niepokój wybuchał jak alarm przed kolejną profilaktyką i ćmił aż do otrzymania wyniku. Uwolnienie od lęku natychmiast sprowadzało szczególną amnezję ustępującą przed kolejnym sprawdzianem. Samoobrona przed obłędem ze strachu. Lucy, antyczna dziewczyna dla amatorów patyny, która debiutowała w czasach wolnych od dżumy dwudziestego wieku, mówiła: z nami jak na wojnie, każdy żołnierz wierzy, że naprawdę śmiertelni są tylko inni. A to ruleta.

Czasami dosięgał zły los. Zdarzało się, artystka znikła z dzielnicy. Nigdy żaden z szefów nie wyjawiał powodu, tylko jak czad snuła się szeptana wiadomość: nie miała szczęścia. Z zabobonnym lękiem nie wymieniano rzeczy po imieniu, jakby samo wyartykułowanie złowrogiej nazwy mogło sprowadzić przekleństwo. Po takim wydarzeniu dziewczyny chodziły strute, z czasem ślad po tamtej porażonej klęską wypełniała niepamięć.

Nie tylko specjalne względy sanitarne spowodowały zamknięcie mnie w klinice, jak na początku myślałam. Oczywiście przede wszystkim te budzące grozę testy, lecz później dopiero się zaczęło. W życiu nie zajmowało się mną tylu medyków z tytułami de-er na znakach identyfikacyjnych z fotografią, przypiętych do górnych kieszonek lnianych wdzianek błękitnych jak majowe niebo. Z większością specjalności poświęcających mi swój czas i wiedzę zetknęłam się po raz pierwszy; ich nazwy brzmiały tajemniczo i niezwykle.

Wprowadzona przez Annikę do hallu urządzonego niczym salon zostałam poinformowana o kolejnym życzeniu szefa granatowej pani. Musiałam wyrazić pisemną zgodę na przedstawienie panu Lunze raportu o stanie mojego zdrowia. Na inną formę nie zezwalało prawo. Złamanie tajemnicy lekarskiej groziło zakazem praktyki i wyprocesowaniem odszkodowania dla pacjenta.

– Nie prościej, jeśli oddam diagnozę osobiście z ręki do ręki? – zdziwiłam się naiwnie. Formuła nazywana zezwoleniem na wgląd głosiła moje kategoryczne żądanie ujawnienia wyników badań panu Lunze. Dopiero miało być regelmäßig.

– Jesteś żywotnie zainteresowana – powiedziała granatowa Annika. Osoba zainteresowana mogła niekorzystny dla siebie wynik podmienić albo w inny sposób zataić. I zaraz wynikła afera.

Na wstępie nikt nie żądał dokumentów. W rejestrze lecznicy Name odnotowano na słowo, ale taki ważny szczegół wymagał potwierdzenia dowodem tożsamości, oświadczenia nie mógł podpisać ktoś, o kim nie wiadomo było, czy w ogóle jest.

– Zgubiłaś – w szczególny sposób powtórzyła Annika moje wyjaśnienie, wymienili z doktorem spojrzeń. Wiadomo, chcesz mieć kłopoty, bałagan i nieprawdopodobne sytuacje,

weź sobie emigranta.

Zrozumiałam. Karna, oddana firmie Annika czuła się winna kardynalnego zaniedbania. Ale kto z jej mentalnością mógł podejrzewać, że najnowsze odkrycie Szefa żyło sobie w mieście jak gdyby nigdy nic, bez żadnego patentu na życie. Normalnemu tubylcowi, bez doświadczeń na co dzień z nielegalnie przebywającymi cudzoziemcami, nawet trudno było wyobrazić sobie podobną bezczelność.

Co ona teraz zrobi? Odstawi do *Calypso*. Nie daj Boże, zawiadomi policję. Nogi się pode mną ugięły.

– Sprawę wyjaśni pan Lunze. Równie dobrze mogę podpisać po jego powrocie – strach podsunął odpowiedź sugerującą zorientowanie Lothara w moich komplikacjach paszportowych.

Nie wiem, czy uwierzyli, ale ten pozór okazał się wygodny dla wszystkich. Annice pozwolił zachować twarz, natomiast zaprzyjaźniony z Lotharem doktor nie miał obowiązku legitymowania pacjentki, skoro procedurę odłożono. Tryby ruszyły znowu. O policji nie było mowy, to ostateczność, wstyd i skandal, godzący w opinię firmy.

Wydarłam kawałek czasu, większy niż dziś i jutro. Przeprawa z Lunzem wydawała się odległa. Zanim wróci, wzrosną ponoszone w związku ze mną koszty, szkoda im będzie tracić. Ale najbardziej liczyłam na dopiero odkrytą, wielką dbałość o dobre imię przedsiębiorstwa. Nawet jeśli mnie Lunze nie zatrzyma, nie odprawi bez grosza i może ten grosz okaże się tak duży, że wystarczy na kupno dokumentów.

Byłam nieprzyzwoicie, cudownie zdrowa. Nie miałam boksyerskiej szczęki, nie miałam żadnej z odmian platfusa i paru innych obniżających jakość szczegółów. Profesjoniści od upiększania potrafią niewiarygodnie dużo. Wypielęgnowują zniszczone włosy, odmienia cerę, przerobią krzywe zęby, nadadzą z pomocą syntetycznego szkliwa olśniewającą biel, przyszyją odstające uszy, uszlachetnią kaczki nos, nie da się jednak zmienić rysunku żuchwy, kształtu stopy, proporcji ciała.

Podawano mnie z rąk do rąk, sunęli wokół mnie jak na taśmie. Nic nie uszło ich uwadze. I wypatrzili defekt. Paznokcie. Szerokie i zbyt płaskie. U nasady każdego nałożono korekcyjną płytkę, modelując pożądaną linię. Zabieg bezbolesny, trwał długo. Po trzech tygodniach, już na Tiergarten, moje paznokcie odrosły w kształcie migdała, upodobniły się do wypukłych, wąskich paznokci arystokratek z portretów.

Ulepszoną zwrócono nowym właścicielom. Przyjechała granatowa Annika, upchnęła mnie w granatowym samochodzie odważnie pograżając się w fali chromów i lakierowanej blachy płynącej nieustannie kilkoma pasmami asfaltu i jak batyskaf wynurzyła przed

kłębowiskiem kobiet.

Wielka wyprzedaż – głosiły napisy na brytach perkału wydymany wiatrem. Z ażurowych pojemników nabitych gałganami panie wywłóczyły pojedyncze sztuki. Annika dołączyła do sabatu. Granatowe autko jeszcze kilkakrotnie rzucało się w odmęt jezdni, lecz za każdym razem jego tępy nos wyłaniał się w pobliżu obłożonych koszy. Tym sposobem skompletowała dla mnie garderobę schludną, praktyczną, ograniczoną do rzeczy niezbędnych i bezosobową jak pątniczy wór, ani razu nie pytając mnie o zdanie. Słowa nie wtrącałam, bałam się głośniejsz odetchnąć, żeby nie spłoszyć niewiarygodnego szczęścia.

Później obejrzałam krótki film z wyższych sfer.

Ostatnie piętro wieżowca. Oprócz znanego z próbnych zdjęć studia, hall zalany światłem przez strop z luksferów. Biały koncertowy fortepian, bariera do ćwiczeń przed ścianą z lustra, tu sprawdzano umiejętności ruchowe dziewczyn pragnących kariery w zawodzie, który dla znających go tylko z pokazów albo zdjęć wydawał się łatwy.

Najbliżej wejścia znajdował się gabinet. Pośród palisandrowych szaf ze zdjęciami legionu dziewczyn, między telefonem, faksem, komputerem pamiętającym curriculum vitae legionu dziewczyn, treści i warunki kontraktów, kalendarz castingów i sesji zdjęciowych, rządziła granatowa Annika dyrygując sekretarką, dziewczyną jak z reklamy, przykutą do biurka z palisandru i całej techniki.

– Tam nie wolno – granatowa energicznie zawróciła mnie spod dwuskrzydłowych drzwi i posterowała wąskim korytarzem ku przeznaczonej dla służby kwaterze, ze wszystkim, co potrzebne do życia. Tapczan, stół, krzesło, przyrządy gimnastyczne, nawet kolorowy telewizor. Jedną stronę zajmowały wnęki zamykane jak szafy, mieściły garderobę, elektryczną kuchnię z oszklonym wywietrznikiem w suficie, brodzik z natryskiem obudowany ceramiczną płytą i sanitariat.

– Tu będziesz mieszkała. Nie proszonej nie wolno ci przebywać w pomieszczeniach od frontu. Zrozumiałaś?!

– Tak, proszę pani – po raz pierwszy w życiu tylko dla mnie oddzielny pokój, większy od izby, w jakiej wyrosłam.

Jak sięgałam pamięcią, ojciec budował dom, rodzina gnieździła się w tej jednej izbie, żyło się surowo, każdy grosz przeznaczano na budowę. Nasz nowy dom miał być przestronny, nowoczesny, z łazienką. Odkąd pamiętam, wodę czerpało się ze studni, myło w miednicy, rzadkie kąpiele odprawiano w balii, latem służyła nam rzeka. W szkole był kran. W internacie jako tako funkcjonujące prysznice, ale zanim przyznano mi łóżko, mieszkałam prywatnie. Na stacji mieli kąpielowy, ale nam, trzem uczennicom z odzieżówki, gospodyni

wynajęła pokój na poddaszu bez tak zwanej używalności i nigdy nie pozwoliła, nawet przed dorocznym świętem, skorzystać z wanny.

Kiedy odchodziłam, raczej uciekałam z mojej wsi, dom ojca jeszcze nie był gotowy. Troje najstarszego rodzeństwa już dorastało i ten wciąż nie wykończony budynek wydawał się za mały dla wszystkich, ale mnie przestał obchodzić.

– Twoje rzeczy z Kreuzbergu zostały oddane do pralni, drobiazgi stamtąd wstawiłam do szafy – Annika wskazała jedną z obudowanych wnęk.

– Muszę się rozliczyć z gospodynią.

– Nie musisz. Zapłaciłam. A w ogóle zapomnij na zawsze o tureckiej dzielnicy. Czym prędzej, tym lepiej.

Głupio było tak nagle odejść bez słowa, ale żeby to wyjaśnić Annice, zabrakło znajomości języka. Dałam za wygraną. Urwę się, gdy będę w mieście, i pożegnaję z ludźmi jak człowiek.

Zostały jeszcze różne sprawy do załatwienia – doskwierał brak dropsów. Od pójścia do kliniki nie brałam, żeby nie wykryli podczas badań. Zapasu ze sobą nigdy nie nosiłam. Tu karano nawet za posiadanie.

– *Calypso?!* Posłuchaj, spotkało cię wielkie szczęście. Wielkie! Inne dziewczyny, już z dorobkiem, biegają z castingu na casting z albumem pod pachą ciężkim od zdjęć i są szczęśliwe, jeśli dostaną migawkę w reklamie, a w ciebie się inwestuje, zanim przyniosłaś feniga dochodu, i nie jest powiedziane, czy nakłady się zwrócą. Jeśli jednak okażesz się zdolna i pracowita, wystartujesz ze znakiem renomowanej agencji, to znaczy z najwyższej z możliwych dla debutantki pozycji. Czy zdajesz sobie sprawę, co ci ofiarowano? Inne za taką promocję zaprzedałyby duszę, od ciebie nikt nie wymaga duszy, tylko pozostawienia za sobą wszystkiego, w czym żyłaś dotychczas. Więc nigdy nawet nie wspominaj tureckiej dzielnicy, a zwłaszcza *Calypso*.

Więcej rozumiałam, niż potrafiłam wyśłowić. Wniosek narzucał się sam. Mimo komplikacji z dokumentami, Lunze mnie zaaprobował. W porozumieniu z nim Annika wygłosiła tę mowę i skraca mi cugle.

– Muszę się wykupić, skoro odchodzę stamtąd z dnia na dzień. Za zerwanie umowy bez wypowiedzenia szef bierze odszkodowanie. Inaczej będzie nieprzyjemny. Oni mają długie ręce.

– Herr Lunze wszystko załatwił. Nie musisz się bać. Z *Calypso* podpisywałaś umowę?

– Ależ nie. Formalnie tam nie istnieję – teraz, kiedy zapewniła o zneutralizowaniu Kuternogi, nie chciałam sobie ot tak zniknąć. Zależało, aby nie wspomniano mnie jako tej,

którą zawiodło szczęście. Ale najbardziej liczyły się drosy.

- W klubie została moja pamiątka.
- Powiedz, co przynieść, pošlę portiera.
- Medalik od chrztu. Ukryty. Nikt poza mną nie znajdzie.

Popatrzyła na mnie w szczególny sposób, poczułam się nieswojo, medalik miałam w torebce. Wystarczyło sięgnąć, ale ona nie zniżyła się do obszukiwania. Stosowała się do postanowień szefa, rewizji widać nie zalecił.

- Zaczekamy do powrotu Herr Lunze.

Lothar siedział z grupą foto-girl w Nowym Jorku na jakiejś prestiżowej imprezie cenionej przez profesjonalistów. Publicity, kontrakty, sesje zdjęciowe trwały dwa tygodnie.

– Później nie odzyskam pamiątki, w ogóle nie wpuszczą do klubu. Już jestem obca, skoro wykupiona. Tam bardzo prędko zapominają o nieobecnych – byłam bliska płaczu, tak się wczułam w utratę podarunku chrzestnych.

– Wyjątkowo uwzględnię. Ale sama nie pójdziesz, tylko z portierem. I jeśli podasz tam komuś, obojętne komu, adres czy tylko telefon, możesz w ogóle nie wracać. Warunek szefa. Uprzedziłam cię!

- Nie jestem taka głupia, proszę pani.

Jaka naprawdę byłam, tamta dziewczyna wyciągnięta z tingla niezwykłym zrzędzeniem losu, dlatego, że komuś przypominałam nie spełnioną miłość młodości? Jaka byłam? Naiwna, nieobyta, ciemna. Pamiętam strzepy pragnień, bardzo konkretnych. Strojów, zabawy, pieniędzy. Myślę jednak o tej oddalonej w czasie dziewczynie jak o nieznajomej, nie czuję z nią żadnej więzi, chociaż wciąż jeszcze chcę posiadać i boję się biedy. Jest tak, jakbym przysłała na świat tutaj, we własnym domu, pośród angielskiego parku na Grünwaldzie. Ma swoją nazwę odcięcie się czy niepoczucie do ciągłości istnienia. Uszkodzona struktura osobowości?

Nie wiem, jaka naprawdę była tamta dziewczyna, nie umiem nawiązać z nią kontaktu, za daleko odeszłam. Wspomnienia też nie przybliżają, pozostaje obca, zastygły w minionym nieżywy kształt, skamieniała muszla w wapiennej skale.

– Czego szukasz, mała, guza? – przywitał mnie Kuternoga. Portiera za moimi plecami nie przyjął do wiadomości. Tamten zastosował się do reguł, pozostał moim cieniem. Pewno, nie miał gadać z Kulawym, tylko pilnować, żebym się na powrót nie zdziwcyła. Wiadomo, tęskni kaczką do bajora. Widocznie nie byłam kaczką, ale skąd mogła o tym wiedzieć Annika.

– Przyszłam się pożegnać – jego wcale nie żartobliwe pytanie odebrało mi pewność siebie.

– Adieu. Zmiataj!

– Chcę zobaczyć dziewczyny.

– Uściskam je od ciebie – wiedział, do czego się śpieszę, bawił moim zniecierpliwieniem.

Dziewczyny dopiero się schodziły, ziewające, zaspane, nieżywe. Mijając kantor pozdrowiały szefa i niknęły w garderobie, gdzie najpierw przywracały się życiu. Zmartwychwstaniu służyły różne zabiegi. Gimnastyka, przemienny tusz zimny i gorący, lodowate bicze wodne, mate, kawa z miarą czegoś mocniejszego, trawka, działka. Prawie każda zaczynała od gimnastyki, pewna, że nie sięgnie nigdy po alkohol albo narko. Z upływem czasu większość sięgała. I ja tak myślałam i ja sięgnęłam. Kulawego nie obchodziło, czym podtrzymują profesjonalny bigiel, sam puszczał w obieg towar, Mulatka była u niego na procencie, wyrzucał dziewczyny, jeśli skutki picia lub brania stawały się widoczne.

W powszechnej opinii utrwalił się obraz beznadziejnego ćpuna, który zebrze, kradnie, napada, prostytuuje się i znowu ćpa. Jednak nie wszyscy narko leżą nieprzytomni ryjąc nosem, są podobnie różni jak alkoholicy. Mój nałóg, zwłaszcza na początku, pomagał żyć, nie ścinał bez pamięci, był protezą, nie upojeniem. Jeśli musiałam, potrafiłam powstrzymać się od brania, stąd czerpałam jak większość uzależnionych złudne przekonanie, że jeśli zechcę, w każdej chwili odrzucę owo szcudło. Nie udało się nigdy. Już nie umiałam chcieć.

– Milo – chwyciłam za ramię naszą kosmetyczkę, charakteryzatorkę i fryzjerkę w jednej osobie, która właśnie weszła. Odsunęła mnie, ale jakoś tak delikatnie. Milo nie znosiła żadnych poufałości.

– Dlaczego pan nie powie jej prawdy? – zamruczała.

Na swój sposób Kulawy liczył się z Milo. Potrafiła nawet bardzo zmęczoną skórę przeczarować w atlas, zwłaszcza na wieczór w nastrojowym oświetleniu, pod jej rękoma także antyczne dziewczyny nabierały pozorów młodości, nie sprawiając wrażenia obłączonych z tynku. Mistrzynie ułudy. Miała również w opiece personel sąsiedniego klubu. Takiej klasy fachowca nie posiadał nikt więcej w dzielnicy nocy. Kulawy i ten drugi płacili jej nędznie, odnosiło się wrażenie, że Milo nie zna swojej wartości, ale ona miała tylko Duldung, za mało na legalną pracę.

– Dobrze. Powiem. Mam cię wyrzucić na złamany pysk, jeśli się pokażesz. Tak życzyła sobie gościówna, która ciebie kupiła.

– Pan handluje ludźmi? – nic innego nie przyszło mi do głowy. Myślałam z przykrością, że to Annice zlecił Lunze targ o mnie.

– Buy and sell, sell and buy! – zaśmiał się Kulawy, tym razem po angielsku. Znał masę powiedzonek w różnych językach, lubił się nimi popisywać. Nie rozumiałam, co to znaczy, byłam jednak pewna, że nic pocziwego. Na koniec pozwolił pójść do garderoby.

– Cyngiel zostaje – osadził portiera Anniki, który zresztą nie wybierał się iść za mną. Ale Kulawy orientował się, co mnie przygnało. Mulatka składała szefowi regularne sprawozdania, wiedział, jak jesteśmy zaawansowane w braniu i która z nas jaki gatunek ćpa.

Wyszłam stamtąd marząc, żeby już nigdy po nic tu nie wracać. Portier pośpieszył za mną i przyholował z powrotem do wieżowca. Przez cały czas nie usłyszałam od niego słowa i ani słowa od Anniki o mojej wyprawie do *Calypso*, jak gdyby nigdy nie miała miejsca, tylko od zaraz mój dzień rozdzielono pomiędzy różne nauki, najwięcej czasu poświęcając niemieckiemu i najogólniej mówiąc ćwiczeniom ruchowym. Jeśli w związku z lekcjami musiałam wychodzić do miasta, nieustannie towarzyszył mi portier. Nie obrzydzałam mu życia, pracował na swój chleb, robił, co kazano, imigrant nie wiadomo skąd.

Raz się urwałam.

Zbliżał się termin opłaty za Joannę. Wysnułam się z grosza. Stan kasy zero. Wtedy po raz pierwszy w całej bezwzględności ujawnił się egoizm uzależnienia. Pędzona obawą trudności w zdobyciu dropsów, póki będzie nade mną wisiała Annika, i znając tylko jedno źródło, Mulatkę z *Calypso*, bez skrupułów odsunęłam wszelką myśl o zobowiązaniach i za wszystko kupiłam diabelską karmę.

Annika dbała o moje potrzeby, nie zbywało mi na niczym, co służyło życiu i nauce, ale żadnych pieniędzy do ręki. Natomiast ludzie od garnuszka Joanny gotowi byli mnie szukać, jeżeli nie otrzymają należności w ściśle ustalonym terminie. Stwierdzenie zniknięcia dłużniczki z Kreuzbergu, odebrane jako podrzucenie im dziecka, wywołałoby dla mnie następstwa nieobliczalne. Bałam się. Mój nowy właściciel mógłby już nie znieść kolejnej niespodzianki i kolejnych świadczeń na moją rzecz.

Miałam tylko srebrny, seryjny zegarek z kopertą zdobioną granatową emalią na srebrnej żmijce do noszenia na szyi i pierścionek Kalifa, turkus wymieniony przez niego za zaręczynowy brylant.

– Potrzebuję pieniędzy – weszłam do kafeterii *Istambuł* na Kreuzbergu. Pokazałam moje ubogie fanty i zaraz zacisnęłam dłoń. Anatolijczyk pożyczał pod zastaw, ale nie miał licencji. Należało zachować ostrożność, chociaż w izbie pachnącej kawą siedziało tylko trzech gości, sami Turcy, a Turcy byli solidarni, nie donosili na siebie. Porachunki załatwiali we własnym zakresie, nierzadko z pomocą noża.

– Znam cię? – oczywiście pamiętała, przesiadywałam tu wiele wieczorów po ucieczce z

Barkenty.

– Mieszkalam u Izmachila za laznią – z poręki szefa *Istambu* wynajęlam pokój i on zarobił procent za pośrednictwo, z jego poręki wylądowałam na Kreuzberg-art.

– Mogę dać – wymienił kwotę niewystarczającą na opłatę za Joannę.

Po długim targu położyłam przed nim swoją ostatnią cenną rzecz, srebrny medalik z łańcuszkiem.

– Koran zabrania wizerunków – nie przyjął przedmiotu kultu. – Twoje fanty nie są warte tyle, ile pożyczam, jeśli nie wykupisz, stracę – odliczył sumę, jakiej potrzebowałam.

Nigdy nie dowiedziałam się, dlaczego wówczas pomógł. Czy poruszyła go moja determinacja, czy intuicją lichwiarza przeczuł pieniądze. Nie zależało mi na zegarku, sama go sobie kupiłam, jeszcze mniej na turkusie w złocie, który był dla mnie symbolem zdrady, fałszu, nikczemnego wyrachowania i wszystkich następstw, lecz z pierwszego zarobku zwróciłam zawierzoną sumę wraz z odsetkami, żeby Turek nie stracił na okazanym zaufaniu.

8.

– Za targowiskiem Landwehrkanal. Do lokalu o dziwnej nazwie *Jelito* – Anielka sadowi się w samochodzie.

– Przezwa. Wąski jak kiszka i różny szlam się zbiera. Polska beczka.

– Nie rozumiem.

– Jednej kadzi w piekle nie pilnują. Tam smażą się Polacy. Sami dbają, żeby nikt głowy nad smołę nie wystawił – wywiodła Milo.

– Stary kawał. Co z nim ma wspólnego knajpa?

– Złazą się zawistniki, jeden drugiemu szkodzi.

– Skąd to wszystko wiesz?

– Chodziłam tam, kiedy szukałam roboty. Tanio. Blisko stacja benzynowa i kwatery noclegowe. Obok przystanek Tirów. Za nieduże pieniądze, czasem tylko za pomoc w myciu, można się z nimi zabrać w Europę. Biorą paliwo, komu szkoda na szlafbet – śpi w wozie. Naszym zawsze szkoda, nie tylko na łóżko, ale i na kapuśniak w Jelicie. Wożą ze sobą zupy w proszku i butle gazowe. Kto żyje bez gotowanego, prędko wrzodów żołądka się dorabia.

Wprawdzie od czasu, gdy je nastraszył Różowy, Milo zrobiła się życzliwsza na swój mrukliwy sposób i nawet jakby rozmowniejsza, jednak Anielka nie pamięta, żeby aż tyle na raz powiedziała.

– Jesteś etniczna?

– Tolerowana.

– Co to za gatunek?

– Cudzoziemiec z zezwoleniem na pobyt przez dwanaście miesięcy, lecz bez prawa do pracy. Później mogą przedłużyć, a jeśli zakwalifikują: uciążliwy, wyrzuca.

– Jak trafiłaś na Haniga?

– Przez agenta z *Jelita*. Miałam szczęście. Pan Hanig załatwił zezwolenie na pracę i przedłuży Duldung. A jeśli będzie ze mnie zadowolony, z czasem wyrobi dla mnie *Fremdenpaß*.

– Prawo jazdy też on?

– Mhy. Ale uprawnienia miałam z Polski. Tu tylko przeegzaminowali.

- Wiedział, że jesteś tak wszechstronna?
- Mhy. Powiedziałam agentowi, aby się załapać. Chętnych była gromada. Walczyli jak zwierzęta.
- Dlaczego?
- Jeszcze się pytasz! O gorszą robotę gardła przegryzają, a tutaj mieszkanie, stół, samochód i dobra pensja.
- Do tego u fotomodelki – odezwała się Wielka Gwiazda.
- Pan Hanig nie wspominał o zawodzie, tylko o osobie. Do jednej młodej, samotnej potrzebna opieka z takimi i takimi umiejętnościami. Takie i takie obowiązki.
- A wszystko, co robisz w studiu?
- Nie wymagał, dopiero jak sama powiedziałam, wziął pod uwagę, ale mnie wybrał przez język.
- Dobrze znasz niemiecki?
- Pan Hanig nie chciał za bardzo umiającego. Jeden też był dobry, potrafił tyle co ja, do tego szprechał jak rodowity Reichsdeutsch, na dodatek mężczyzna. Pan Hanig powiedział, że nie potrzebuje intelektualisty, i wziął mnie. Ale pan Hanig nie byłby zadowolony, jeśliby cię zobaczył w *Jelicie*. On kazał do samych najlepszych, w śródmieściu, na Unter, na Kudamm. Przestrzegał przed byle czym. A jak mnie przyjął, powiedział: noga twoja nie ma postać w *Jelicie* ani nawet w pobliżu Landwehrkanal czy Kreuzbergu.
- Wyklęta dzielnica, za co?
- Nasi się nie bardzo zachowują. Przyjeżdżają handlarze, brudzą, śmiecą, załatwiają potrzeby na klatkach schodowych. Wszystkim psują opinię.
- Jednym słowem Hanig kazał pilnować i donosić. Ech ty, sieroto tolerowana z widokami na Fremdenpaß.
- Nie donoszę. Jestem lojalna i względem ciebie. Nie odzywam się nie pytana. Jeśli jednak zapyta, muszę coś powiedzieć. Lepiej nie wspominać o *Jelicie*. Zaklepmy Kadewe. Zapamiętaj. Żebyśmy nie mówiły: ja o domu towarowym, ty o knajpie.
- Jelito*, długa piwnica, nie ma szatni, tylko szaragi przy wejściu wzdłuż ściany, szczelnie zawieszona odzież. Wciąż się tu ktoś przeciska, szuka wolnego wieszaka, albo ubrania.
- Witaj, jak się masz, cieszę się, jakbym najbliższą rodzinę spotkała, myślałam zastrosisz srebrnymi lisami, a tyś szara jak mysz, Hanig ci pewno nie daje, kutwa, i lepiej, że nie masz nic drogiego na sobie, w tej szatni może zginąć, nie powiem, żeby kradli, tylko bałagan, powinni wydawać numerki, w *Jelicie* gorzej niż w Wołominie, polnische Wirtschaft,

ale ty znowu jak nie ty, nawet wahałam się, zanim podeszłam – jednym tchem powiedziała Helmi.

– Nie poznałaś mnie?

– Tak jakby, przez moment.

– I bardzo dobrze. Nie mogę się obnosić po lokalach jak primadonna, kontrakt zastrzega – Anielka cytuje Haniga.

– Ale się sprzedałaś! Szkoda. Już się pochwaliłam, że będę miała spotkanie z foto-girl.

– Słyszeli o mnie?!

– No nie. Tu nie Kudamm. Klienci Jelita nie kupują luksusowych pism, a jak już koniecznie chcą pooglądać, idą do seksownego sklepu na obrazki za parę fenigów albo wypożyczają jakąś tanioczę u Galernika. Aha, nie wiesz, kto to jest Galernik. Ten tutaj. Knajpiarz. Ma takie powiedzenie: tyram jak galernik. W żaden sposób nie mogłam się do ciebie dodzwonić. Wciąż albo Hanig, albo cerberzyca, albo cisza. Po co ogona za sobą przywlokłaś?! – Helmi wypuszcza z objęć Anielkę i jeży na Milo.

– Zaczekam w samochodzie – wycofuje się Milo.

Helmi obserwuje Milo przeciskającą się wąskim przejściem między stolikami.

– Żerdź. Decha do prasowania, ty tylko popatrz, ona nic nie ma ni z przodu, ni z tyłu.

– Co do niej masz?

– Nie wpuściła mnie, kiedy przyszłam cię odwiedzić, nie chciała zawiadomić, że byłam, nawet kartki do ciebie nie przyjęła, telefonu nie podała. Skąd wytrzasnęłaś ten kołek w płocie, gorszej nie znalazłaś w całej polskiej kolonii. Pewno on ci wybiera służące?

– Obiecywałaś coś ważnego powiedzieć.

– Bomba! Wyjeżdżając do Warszawy zostawiłaś na gospodarstwie Haniga, wiesz, przed tym, kiedy mnie rano przyjął, a w południe wyrzucił.

– Mhy – mówi Anielka zwyczajem zapożyczonym od Milo, kiedy nie chce kłamać, natomiast prawda nie przechodzi przez gardło. Wyraźnie Helmi jest przekonana, że Anielka od bardzo dawna mieszka na Grünewaldzie.

– Uważaj! Z krzesła spadniesz. Podobno sprowadzał wschodnie panienki, on ma słabość do dziewczyn z Kombloku, tyrają prawie darmo i jeszcze są wdzięczne. Wyprawiał balangi, trzaskał pornosy. Aż jedna dostała szału i rozniosła obojście. Nawet zzęła kwiaty w oranżerii. Na mózg jej padły libacje i gimnastyka przed kamerą z cudzymi chłopami. Stoczyła się kobitka, niezwykajna zachodniej swobody i pieniędzy.

– Co się z nią stało?

– Niezdatny cudzoziemiec uciążliwy cudzoziemiec. Uciążliwego za pirz i nach Hause.

Czubów i zbrojeńców dosyć mają własnych.

– Skąd to wszystko wiesz?

– Jeśli się codziennie bywa w *Istambule* i u Galernika, ma się serwis lepszy niż gazety. W *Jelicie* giełda roboty na czarno, biało i różowo. Przychodzą pośrednicy, wybierają ludzi. Jeden namawiał na pornosy znajomą dziewczynę, solo. Modela mieli niby później wpasować, wiesz, fotomontaż, natomiast twarz miała być od jeszcze innej.

– Hanig?!

– Coś ty! Tacy jak Hanig nie przychodzą do Jelita. Nie ta klasa. Lokal poniżej ich poziomu. Stalują u pośredników, pośrednicy u naganiaczy, naganiacze, pierwsze sito, wybierają towar według zamówienia. Takie zęby, takie kłęby, takie pęciny. Mówię ci, koński targ. Heca.

– Dlaczego więc twierdzisz, że korpus do cudzej głowy zamawiał Hanig?

– Nie twierdę, tak przypuszczam. A znów jedna Turczynka mówiła innej mojej znajomej, jak załapała generalne porządki u bogatych na Grünewaldzie. Wypisz, wymaluj twój dom i twoja garderoba, wymoszczona aksamitem. Pozwolili jej wziąć stare obicia, chociaż pocięte, dobry jedwab. Jeszcze udało się jej z tego wykroić szarawary dla dziecka.

– Helmi, gdy się poznałyśmy, mówiłaś o moich zdjęciach, gdzie je widziałaś?

– W twoim studiu. Na ziemi leżała sterta pism, na okładce ty, w środku ty, na końcu ty.

– Może pamiętasz jakiś tytuł albo datę?

– Kto by się wczytywał w daty! Weszłam ukradkiem. Zajrzałam na wrywki do paru egzemplarzy z wierzchu. Najbardziej ciekawiły stroje, ale strojów nie było. Trafiłam na same nagusy. Najwyżej kostium kąpielowy, przezroczysta chusta, szal z puchu.

– W tamtym czasie nie miałam boja z piór. Nie mogłaś widzieć takich reprodukcji.

– Widocznie były wcześniejsze albo boja oglądałam później.

– Jak długo mieszkałaś w Berlinie, nim zatrudnił cię Hanig?

– Krótko. Najpierw uziemili mnie na wsi.

– Widywałaś moje podobizny przed angażem na Hausstrasse?

– Kto by tracił pieniądze na drogie gazety, a jeszcze jak się nie umie czytać. Ciebie nie dają w tanich. Teraz też nie kupuję, czasami dorwę w *Istambule*, to taka kafeja u Turka na Kreuzbergu. On trzyma dla gości. Wypożycza na miejscu, parę fenigów dopisuje do rachunku. Nieraz zamiast drożdżówki popatrzę na ciebie i rażniej. Myślę, jej się udało, może i mnie się poszczęści. Tak samo nie umie po niemiecku, nie ma szczególnego wykształcenia ani żadnego fachu i nie żaden cud urody. Tylko się nie obraż.

– Nie obrażam się, Helmi. Może zwróciła twoją uwagę barwa włosów na tych pierwszych ilustracjach?

Do próbnych fotografii Anielka pozowała w swoim naturalnym wydaniu. Po raz pierwszy niebieskie szyby kontaktowe założyła w Berlinie i tutaj zmieniono odcień jej włosów na srebrzysty blond.

– Pomyśl, może pamiętasz chociaż kolor oczu?

– Zwyczajny. O co chodzi? Myślisz, że ci przyprawiono cudzą głowę, jak obiecywali mojej znajomej z *Jelita*? Zwykle gadanie, żeby się zgodziła, tak ją oswajali. Niby nie twoja twarz, nikt nie rozpozna kadłuba, a zarobisz jak amerykański bankier. I głupi by się nie dał złapać. Tylko pomyśl, ile musieliby zapłacić, aby ktoś chciał świecić oczyma z takich zdjęć. Ale ty w tamtym piśmie, mniejsza o puchowe boa czy nie boa, chociaż ogólnie jakby inna, byłaś do siebie podobna. Rozpoznałam od razu, mimo że najpierw zobaczyłam podobiznę, dopiero później osobę. Sama mówiłaś, makijaż, oświetlenie, kamera wielki kłamca, modelka fotograficzny miraż.

– A w ogóle niewola.

– Może jakbym zarabiała tyle co ty, też bym usiadła na de i dała się zaprzęgnąć w chomąto. Tylko kiedy masz zamiar korzystać z bogactwa, na starość?!

– Nie jestem bogata, Helmi.

– Ja nie urząd podatkowy, nie musisz ukrywać. Gdybyś nawet nie miała grosza gotówki, same parcele na Grünewaldzie, majątek! Nie wspominając o zabudowaniach.

– Jakie parcele, Helmi?

– Słuchaj, to naprawdę żaden sekret. Kiedy mnie żerdź odprawiła spod bramy, rozejrzałam się za kodem twojego aparatu. Przy angażu w pośrednictwie dostałam tylko adres, a Hanig tak ręczo mnie wyrzucił, że nawet nie zdążyłam zapisać numeru. Ale w *Jelicie* wiedzą, jak się do czego zabrać. Człowieku! Tu są specjaliści od prawa niemieckiego, handlowego, lokalowego, cła, wwozu i wywozu na prawo, lewo i pośrodku. Zaraz jeden chłopak poradził komputer. Urządzenie lepsze od spisu abonentów. Podajesz ulicę, numer domu, ono tobie telefon, albo odwrotnie, jeśli nie zastrzeżony. Z komputerem rozmawia się oczywiście po niemiecku. Tyle już umiem. Zapytany wyświetlił jeden po drugim dwa numery telefoniczne należące do Evi Kovars-Müller, na dodatkowe zamówienie kolejny adres. Nie muszę dodawać, że pierwsza posiadłość leży przy Hausstrasse i graniczy bok w bok z drugą mającą wejście od innej ulicy, ale zapisaną na to samo podwójne nazwisko. Wykonałam trochę głuchych połączeń. Po sąsiedzku czasami odzywała się turecka sprzątaczką, raz facet powiedział: Impresario, że trzy razy kobitka przedstawiła się Müller, ale przeważnie gadał

automat w imieniu tej Müller. U ciebie pluł w membranę Hanig albo żerdź. Kładłam słuchawkę i znowu ćwiczyłam podejścia, aż doczekałam ciebie.

Anielka przestaje być Wielką Gwiazdą, ukrywa zaskoczenie i nie przyznaje się do tożsamości z Müllerami.

– To jak jest, dzierżawisz od kogoś imię, pół nazwiska i połowę majątku? – chce wiedzieć Helmi.

– Nie jednemu psu Burek, a całą stroną finansową i administrowaniem posiadłości zajmuje się Hanig.

– Hanig i Hanig, nie wybierasz się za niego za męża?

– Łączy nas tylko praca. Zresztą on ma żonę i dziecko, bardzo ich kocha.

– Chciałam ci pokazać znajomego, co doradził komputer, ale on dzisiaj nie mógł. Jeździ transportowcem. Zaproponował małżeństwo. Jest tu od kilku lat, z początku azylowiec, odkąd przestali uznawać politycznych ze Wschodu, tolerowany. Jakby poślubił etniczną, byłby na dobrej drodze do obywatelstwa i z punktu dostałby zezwolenie na pracę. Myślę, czy nie głównie o to chodzi. Potem się rozwiedzie i urządzony. Nie wiem, co robić, nie chcę służyć za podkładkę do czyjejś kariery, z drugiej strony dobrze kogoś mieć, tak naprawdę jestem bardzo samotna.

– Też jestem bardzo samotna, Helmi, i bardzo się cieszę ze spotkania. Wiezorami zawsze jestem w domu, a Haniga na ogół nie ma. Znów się umówimy, bo do mnie przyjść nie możesz.

– Wiezorami siedzisz w domu? Groza!

– Moja praca wymaga kondycji i wyrzeczeń. Muszę przestrzegać diety, ćwiczyć, o dziesiątej być w łóżku.

– Ja głupia myślałam, że zabierzesz mnie na jakiś Berlin by night.

– Nie mogę, Helmi. I przepraszam cię, ale muszę już iść. Zapisz tylko telefon.

– Nie posiadam. Wynajmuję pokój bez używalności aparatu, po co, i tak nie mam do kogo dzwonić. W *Jelicie* bywam codziennie. Wystarczy zostawić kartkę u Galernika.

– Tak się zajmują etniczną?

– Zadbali, nie powiem. Gmina wyznaczyła nawet porządny budynek. Nie zabytek, tylko stary, więc nikt z Dojczów go nie chciał. W środku kompletne wyposażenie, używane, ale w bardzo dobrym stanie. Czy po to jednak uciekłam z Wołomina, żeby się zakopać na wiosce?! Nigdy. Wybrałam Berlin. Tutaj duża polska kolonia i w ogóle miasto. I jestem trochę do tyłu. Przypisana do kwatery tamtej gminy, nie otrzymuję pieniędzy na czynsz, dostaję goły socjal, dopóki nie stanę na nogi. Długo będę stawała, póki się da. Tak mi Boże

dopomóż. Amen... Ale, ale, Galernik mnie zaczepił, gdy wracałam z toalety, pytał o ciebie. Jak się nazywasz, gdzie mieszkasz i takie tam. Powiada, głowy nie dam, ale podobna do jednej, co się dorobiła znajdy na Kreuzbergu-art, nadałem jej robotę, będzie parę lat temu, i zniknęła.

– Co mu powiedziałaś?

– Żeby się wypchał albo kupował zamiast szmat dla półgłówków eleganckie pismo, to się dowie o sławnej foto-girl, która nigdy nie mieszkała w tureckiej dzielnicy, tylko na Grünewaldzie.

Milo tkwi w samochodzie. Parkingowy taryfikator połyka minuty, przelicza na pieniądze. Anielka wrzuca należność w szczelinę kasownika.

– Podjedźmy do Kadewe, utrwali się w pamięci i nie będę musiała już tak zupełnie kłamać – proszalnie mruczy Milo.

– Też jesteś dobra! Dlaczego nie wpuściłaś Helmi, nawet kartki od niej nie chciałaś wziąć, czy ja jestem więźniem?

– Jako portier nie mogłam, bo pan Hanig nie pozwolił wpuszczać tej Helmi i w ogóle nikogo. Powiedziałam ci, zbieram na bardzo kosztowny zabieg kosmetyczny, jeśli mnie stąd wyrzucą, nigdzie tyle nie zarobię. Nie jestem ci wrogiem, Anielka.

Przyciężka architektura domu towarowego wygląda, jakby jej twórca do końca nie mógł się zdecydować, co chce wznieść, pałac czy świątynię. Wewnątrz szybkie windy, stiuki, marmury. Marmurowe schody przez kilka kondygnacji z marmurowymi podestami, marmurowe galerie, marmurowe balaski, marmurowe poręcze i marmurowe parapety nad balaskami, marmurowe kolumny i marmurowe łuki. Ogromne przestrzenie wypełnione towarami. Firmy z całego świata, najslawniejsze wyroby, wybór, różnorodność, obfitość, gatunek.

Anielka gubi się pośród zwalów tkanin, piramid pudeł z obuwiem, wikła w labiryntach niklowych drążków wypełniających piętro, obwieszonych ramiączkami prezentującymi suknie, kostiumy, płaszcze. Osaczają poduchy, piernaty, puchowe kołdry, kasety, płyty, porcelana, fajanse, bielizna pościelowa, naczynia kuchenne, holenderskie płótna, szyrtingi, nansuki, jedwabie: szyfon, mora, greża, tafta, tiule, krepa, welur, brokat, muślin, rękawiczki, staniki, chusteczki, majtki z koronką, listki figowe, pantalony. Perfumy, perfumy, perfumy. Piękne dziewczyny o matowej cerze, doskonałym makijażu, smukłe i długonogie, przez wiele godzin w pantoflach na niebotycznych szpilkach, z firmowymi znakami przy gorsie, uśmiechnięte i zda się niezmordowane, pocierają szklanymi zatyczkami próbek nieprzeliczone nadgarstki klientek in spe. Mieszanina zapachów rozsnuwa się pod sufitem,

wpływa na schody, szachtami wind przynosi się wyżej, wypełnia budynek.

Ochwocona nadmiarem Anielka, wyrosła w ascezie możliwości własnych i rodzimego handlu, nie ma jeszcze potrzeb na miarę Kadewe. Znużona niewyczerpanym zasobem kształtów, fasonów, kolorów, traci zainteresowanie, ale zaliczą magazyn od parterów po strop.

Na poddaszu pośród piramid opakowań astrachańskiego kawioru, krabów z Władywostoku, ostryg z Prowansji, abalone z Meksyku, płetw rekina z Jawy, żółwiego mięsa z Galapagos, przysiadły probiernie i bary. Na przeszklonych bufetach owoce rzek, mórz i oceanów od równika po oba bieguny globu.

Po drodze z domu towarowego zatrzymuje rozłupana wieża ze szczątkami murów zburzonego kościoła. Tej wieży nie sposób minąć obojętnie. Rozdarta od hełmu po fundamenty i tylko zabezpieczona przed dalszym rozpadem jest, czym jest: autentyczną ruiną po bombardowaniu miasta, podzwonnym dla Trzeciej Rzeszy, pomnikiem i przestrogą.

Po powrocie święto. Jest list i książki od Wiśki. Skarży się na Babkę, nie podjęła grosza z konta Anielki. Powiada, że nie może objadać sieroty i inwalidy, jeździ po zupę do sióstr Misjonarek.

Z telefonu Anielka korzysta bardzo oszczędnie, telefon kosztuje, ale tym razem wgniata przyciski z cyframi kierunkowego łącza, wybiera numer podany w korespondencji, bo po maturze Wiśka wyprowadziła się z domu i dopiero podała swoje nowe zamiary.

– Jutro wysyłam Babce paczkę.

– Nonsens, im trzeba żywności na co dzień, nie frykasów raz na jakiś czas. I po co tracić na porto. Będę im kupowała produkty za odsetki z sumy, jaką ci jestem winna.

– Nie wygłupiaj się z odsetkami – role się zmieniły, Anielka Wiśce pożyczyła pieniądze na odjeździe.

– Nigdy nie byłaś praktyczna. Osiem od stu rocznie, tak płaci bank. Gdy wyczerpię procent, zacznę spłacać sumę. Mnie to na rękę, tobie też i Babka nie skapieje. Jej trzeba dawać w naturze, każdy grosz odłożyć na tę jakąś czarną godzinę, zamorzy się na dobroczynnych zakupach, bo Tekowi też niczego nie odejmie, zresztą z jego renty oboje nie wyżyją. Nie martw się, nie dam im zginąć.

Dzień Anielka zaczyna od gimnastyki. Po ćwiczeniach skromnie napełnia basen w różowokremowej łaźni. Przeróżające, ile może wynieść rachunek za zwyczajną wodę, ale bez chloru, fenolu i rdzy ze zniszczonych przewodów. Przed śniadaniem jak zwykle obiega posiadłość. Zamiast odprężenia powraca rozmowa z Helmi.

Czyje fotografie widziała w piśmie rzuconym na stertę innych, pewno przygotowanych

do wyniesienia na makulaturę? Kto kłamie, kto mówi prawdę? Oboje? Hanig nie wykorzystał tamtych negatywów, natomiast Helmi tak bardzo chciała zobaczyć prawdziwą foto-girl, a właściwie kogoś, komu się powiodło, że pierwsze z brzegu zdjęcie utożsamiła ze znaną sobie osobą wmawiając podobieństwo tak-długo, aż sama w nie uwierzyła. Wy tłumaczenie nawet pasowało, tylko nie mieściła się w nim ta nie wiadomo czyja obecność w posiadłości przed przybyciem Anielki.

Można byłoby przypisać sensacje Helmi jej pragnieniu przypodobania się, gdyby nie artystyczne pseudo narzucone Anielce, będące imieniem i pierwszym członem nazwiska Evi Kovars-Müller, właścicielki bliźniaczych nieruchomości, i gdyby nie zasłyszana przez Anielkę rozmowa: abrakadabra, pomiędzy Impresariem Lotharem Lunze, sąsiadem, krewnym, może mężem tajemniczej, nigdy nie widzianej pani obu posiadłości? Rozmowa o kimś histerycznym i szalonym, chyba że Anielka wszystko pokręciła, niewłaściwie odebrała znaczenie słów, wyrażających inny sens. Pozostały jeszcze fakty.

Słyszała krzyk niejako na powitanie, znacznie później, ponownie, w jesienny wieczór, kiedy odkryła zaczajonego pośród zarośli różowego nagusa. Wszystko działa się przy albo za płotem, też postawionym jakby niedawno, bez sensu rozdzielającym posiadłość. I ten płot jest. Anielka widzi go każdego rana, gdy odrabia swoje pięćset metrów, podczas każdego spaceru czy wybiegu psa. Rozgradza nieruchomość mającą dwa numery porządkowe i dwie końcówki telefoniczne, wszystko własność Evi Kovars-Müller. Po spotkaniu w pobliżu Landwehrkanal Anielka innymi oczyma patrzy na otoczenie i mimo woli szuka śladów tajemniczej właścicielki rozdartej posiadłości znanej z opowieści Helmi, tej szalonej z rozmowy-abrakadabry między Hanigiem i Impresariem.

Teren rozległy.

Trawniki i stare drzewa. Dobrze utrzymany angielski park. Ściśle część parku, odcięta z niezrozumiałą logiką, w każdym razie bez żadnych względów dla porządku architektonicznego, któremu podlegają budowle. I dysonans. W najmniej sposobnym miejscu szczelny parkan, po obu stronach okryty gęstwą kolczastych krzewów, wysokich i plennych, jednak nie wyhodowanych tutaj, tylko wyrosłych gdzie indziej i przesadzonych chyba niezbyt dawno, może nawet ubiegłej wiosny, przed przybyciem Anielki. Zdradzały to pewne pozostałości robót, pas młodej murawy wzdłuż szpaleru roślin, odcinający się barwą mimo zwarzenia przymrozkami.

Za parkanem takie same trawniki i stare drzewa, taki sam pawilon, natomiast w głębi, znacznie oddalony od pozostałych, jeszcze jeden budynek odróżniający się attyką i galeriami ze szkła. Przylegały do obu boków bryły uzupełniając całość. Mieściły cieplarnie. Za szybami

kipiały egzotyczne rośliny, kwitły rzadkie kwiaty, dojrzewały owoce gorącego klimatu.

Ogrodzenie, ustawione poprzecznie do osi budynku z attyką, gwałtownym łukiem przybliżało się na długość przejrzystego skrzydła, biegło do niego skosem bez dbałości o jakikolwiek urbanistyczny ład, jakby postawione na przekór wszystkiemu i brało w ciasny nawias od rogu do rogu szczyt pasażu, dzięki czemu wyjście było dostępne po stronie pawilonu, w którym mieszkała Anielka, chociaż korpus owego ryzalitu pozostał za parkanem.

Za niedostępnymi drzwiami z kryształowych kwadratów osadzonych w dębowej kratownicy spływała fala zieleni usiana kształtami koloru bladego złota, jakby roślinę obsiadły złociste motyle. Kwitły storczyki. Anielce nigdy nie udało się wypatrzeć, kto je pielęgnuje.

Od spotkania w Jelicie Anielkę trawi niepokój, nie może przestać tropić śladów Szalonej, jest coraz bardziej żądna poznania i coraz mniej cierpliwa.

Przeleźć przez parkan – niewielka sprawa – nocą – strach – mogą tam być psy – nie żadne Bryski – ludojady – ci jacyś ludzie wyglądający na androidów – jeśli się nawet uda, Szaloną trzymają w budynku – nie biega po ogrodzie – zwłaszcza po ciemku – skarga potwora raz była nocą – drugi raz wieczorem – wtedy wypuszczają Szaloną na powietrze – nawet więźniów wyprowadzają na spacer – wciąż zamknięta – gdzie – drugi pawilon czy dom pod attyką. Ciepłarnia!

Egzotyczny ogród chroniony szkłem kończy się drzwiami w szczycie domu pod attyką, takimi jak wejście do pasażu dostępne od strony ich parku. Już wiele razy spędzała w galerii dzień zdjęciowy. Tamtędy wiedzie najprostsza droga do budynku z attyką, wystarczy sforsować dwoje drzwi.

Anielka z zastrzeżeń i drobnych faktów interpretowanych dość dowolnie ułożyła fabułę. Tam Hanig z Lunzem, znanym jako Impresario, ukrywają Szaloną pod strażą dziwnie ubranego dozoru, nie wiadomo, kobiet czy mężczyzn. Nie odgadła płci w androidach widzianych wieczorem, gdy rozległ się Krzyk Potwora.

Przy pierwszej okazji przymierza się do dębowej kratownicy. Otwory mieszczące szyby były jednak za małe, aby się przez któryś wślizgnąć, trzeba by wyłamać szprosy. Żadne dewastacje nie wchodzi w rachubę. Anielka bardzo chce poznać los Szalonej, ale bez rzucających się w oczy wandalizmów.

Najprostszy wydaje się zamek. Nareszcie nie żadna fotokomórka ani rysunek tęczy oka zakodowany w pamięci mikroprocesorów, tylko zwyczajny, z dziurką od klucza. Pasaż zawsze otwiera i zamyka Hanig. Sądząc po rodzaju klamki i szyldzika, nie jest to mały klucz. Gdzie go przechowują? Hanig zabiera ze sobą czy pozostawia na miejscu? Dotychczas nawet

Anielce nie przyszło do głowy włamanie do zimowego ogrodu, dlaczego Hanig miałby być aż tak przewidujący. A zatem należy przeszukać studio, chociaż równie dobrze klucz może być pod kluczem.

Wejścia do pracowni strzeże kod, ale jakby zapomniano o boksie z toaletą, prysznicem i umywalnią. Tu Anielka zauważyła słaby punkt i bez skrupułów wykorzystuje. W przeciwieństwie do łazienki usytuowanej na parterze oddzielnie i oddanej do dyspozycji Milo, boks połączony jest bezpośrednio z atelier i tych drzwi nie ubezpiecza żaden wymyślny automat, tylko standardowy zatrzask, który blokować może wyłącznie od strony wewnętrznej. Cóż naturalniejszego niż odświeżający prysznic w ciągu długiego dnia pracy.

Podczas zarządzanej przez Haniga przerwy Anielka zamyka się w tym pomieszczeniu, hałasuje wodą i przekręca ozdobną, staroświecką klamkę zwalniającą baskwil u okna z mrożonego szkła.

Wieczorem, po opuszczeniu przez Milo kąpielowego, Anielka śledzi promień jej latarki zdążającej w stronę domku portiera. Nigdy nie chodzi ścieżkami oświetlonymi automatycznie, tylko obok, przyświecając sobie baterijką.

Anielka odczekuje, wychodzi na dwór, wspina się na parapet i utorowaną drogą zakrada się do pracowni. Sama jest tam po raz pierwszy. Z początku gubi się w nadmiarze chęci. Ogarnąć wszystko, zgłębić wszystkie sekrety, dostać się do banku negatywów, pobuszować w archiwaliach z czasów przed jej przybyciem, lecz obudowane drewnem metalowe szafy dobrze strzegą tajemnic, więc Anielka zabiera się do szukania tego, po co przyszła, i znajduje bez trudu. Duży, mosiężny klucz z ozdobnym uchem wisi sobie na futrynie wcale nie ukryty.

Nie może uwierzyć. Od razu się powiodło i w ogóle wszystko poszło gładko, za gładko. Jednak jest to jedyny tego rodzaju przedmiot, sądząc na oko, nawet podobny do monumentalnego zamka cieplarni. Aby nie odejść z pustymi rękoma, zabiera klucz, wraca do siebie i wypuszcza Bryśka. Ciekawość też ma swoje granice, sama nie weszłaby o tej porze do ogrodu zimowego.

Pies wystrzela w park ze zwykłym harmidrem, zatacza piekielne kręgi wrzasku, lecz nie czując w pobliżu towarzystwa przybiega do Anielki z wywieszonym językiem, uśmiecha się całym pyskiem i zaprasza do zabawy. Ruszają, pies już nie hałasuje.

Bezgłośnie przekręca się zastawka rygla, Anielka, trzymając Bryśka krótko na smyczy, wkracza w przeszklony pasaż, światłem latarki omiata najdalsze kąty. Nagrzane powietrze pachnie kwiatami i rozkładem, pnącza zwieszają się nad ścieżką z oliwkowej majoliki, muskają twarz, włóczą po włosach, gdy idzie tym chodnikiem przez całą długość galerii do

przeciwległych drzwi, takiej samej dębowej kratownicy z kwadratowymi szybami, tylko osadzonej w kremowym murze szczytowej ściany budynku pod attyką. Wykradziony klucz nie pasuje jednak do tych drugich drzwi osłoniętych zieloną kotarą. Szczelnie zaciągnięta bliźniacza replika z oliwkowego aksamitu wisi po drugiej stronie.

W drodze powrotnej Brysiek przymierza się podlać jakąś donicę, skarcony kłapie, lecz rezygnuje z podpisu i jest to jedyne wydarzenie w cieplarni.

Rozczarowanie. Ani śladu Szalonej. Jednak wbrew rozsądkowi Anielka nie daje za wygraną. Zawzięła się przeniknąć za dębową kratownicę w szczycie domu pod attyką, jeszcze tylko nie wie, jak się do tego zabrać. Tymczasem obiecuje sobie wszystko obejrzeć w dzień bez emocji i pozostawia pasaż nie zamknięty. Ryzyko wydaje się niewielkie, przez długi czas nigdy nie zauważyła, aby ktokolwiek, sporadycznie poza Hanigiem, otwierał te drzwi. Jeśli on nawet odkryje nie zaryglowany zamek, nie przyjdzie mu do głowy podejrzewać Anielkę. Zresztą, w tamtej chwili najmniej przejmowała się tym, co pomyśli Hanig. Wraca do studia i odwiesza klucz.

Zaczepia kawałek szpagatu o róg okiennej ramy, przechodzi na zewnętrzny występ muru, mocnym szarpnięciem dociska skrzydło i wrywa sznurek, jego kawałek pozostaje, przygnieciony futryną. Od gwałtownego ruchu traci równowagę, spada. Uskakuje pies. Anielka zbiera się z murawy z otartym kolanem.

Następny dzień jest trudny.

Niewyspana, z bolącą nogą, przez wiele godzin musi znosić tyranie kamery i jeszcze udawać świetną formę. Ma szczęście, akurat pozuje nie do nagusów, tylko do stylowej serii, długa suknia skrywa dowód nocnej wyprawy, w innym przypadku obrzmiały goleń nie uszedłby uwagi Haniga, który i tak zżyma się, robi przerwy, w ostatniej chwili przed ujęciem mówi zniechęcony: stop! I wielokrotnie powtarza lub zmienia szczegóły, w nieskończoność powielając wciąż tę samą scenę. Mimo wszystko udaje się Anielce usunąć niezauważenie pozostałość sznurka spomiędzy ościeżnicy i zamknąć baskwil.

Zamysłowi sprzyjają ranki.

Kiedy Haniga jeszcze nie ma, a Milo zajęta tkwi w kuchni przy gotowaniu jedzenia na cały dzień, Anielka podczas swoich biegów przed śniadaniem zakrada się do cieplarni, lecz drzwi w głębi oddzielające ogród zimowy od domu pod attyką pozostają niedostępne. Portiera po tamtej stronie zasunięta.

Anielka już wie, nie uda się otworzyć przejścia z przeszklonego skrzydła do budynku, a i zapał poznawczy jakby przygasł, ciekawi ją teraz najbardziej, kiedy i kto pierwszy, tamci od Müllerów czy Hanig, zauważą, że przy drzwiach do pasażu zamek jest otwarty.

Mimo wszystko miejsce czepiło się pamięci. Przypominało niesamowitą opowieść o domu emanującym szczególną atmosferą, który niedostrzegalnie ubezwłasnowolnił, doprowadzał do obłądu i niszczył mieszkańców. Coś z tej aury panowało w zimowym ogrodzie.

Nudzę się – tęsknię do Babki – Teki – wymyślam sobie strachy i atrakcje – niechaj już wreszcie ktoś spostrzeże i zamknie – jeszcze raz iść po klucz – nie.

Znowu zakrada się do cieplarni. Wdycha duszny zapach, przemierza majolikowy chodnik i zatrzymuje w pobliżu tamtych drugich drzwi. Nic się nie dzieje. Obok w donicy mięsożerny kwiat nie mniej fascynujący i tajemniczy. Ilekroć tu jest, nie może przejść obojętnie, jego okrutny czar przyciąga, niepokoi, budzi grozę. Wielki kielich o odcieniu najciemniejszej czerwieni nie reaguje na podany palec, nie bucha odorem ścierwa, nie rozchyła mięsistej korony niczym łakomych warg, jak wówczas, gdy w pobliżu poczuje prawdziwy łup, muchę, pająka lub innego owada.

Anielkę niezmiennie urzekała ta już nie roślina, a jeszcze nie zwierzę, nie czuła jednak do niej, do niego?, sympatii i nigdy nie przyszło jej na myśl schwytać i poczęstować ową aksamitną gębę jakimś owadem. Z pewnością dobrze jej się wiodło, była bujna, o mocnych łodygach i głębokiej zieleni. Wypasiona. Kto ją karmi, czym i kiedy, ktoś stamtąd? Jeśli będzie nadal tu przychodziła, może go spotkać.

Odsuwa zieloną kotarę, spogląda na owe drugie drzwi w szczybie domu pod attyką i zamiast, jak się spodziewała, bliźniaczej zasłony po tamtej stronie widzi siebie w tafli zwierciadła. Nieruchoma twarz odbicia, wpatrzone w Anielkę prawdziwą oczy z lapis lazuli.

Przez chwilę zatrzymuje się myśl, zanim ze strumienia świadomości wyłoni pierwsze stwierdzenie: jeszcze nie jest ucharakteryzowana na Evi, błękitne, nieoptyczne żele Anielki spoczywają w płynie fizjologicznym i są zamknięte w studiu, nie spowija jej szal omotujący aż po ramiona głowę i podbródek, a poza tym przecież w tych dwuskrzydłowych drzwiach nie ma lustra, tylko kryształowe szyby z pryzmatycznie szlifowanymi krawędziami.

Tamta twarz ożywa, przybliżają się do szklanych kwadratów oczy rozwarte i nieruchome jak dwa niebieskie kamienie. Przy gwałtownym ruchu szyfon zsuwa się z głowy, odsłania nagą czaszkę z pojedynczymi pasmami szarej szczeciny, u nasady szyi pienia się sine liszaje, przypominające parzyste stułbie, tym bardziej niesamowicie wygląda twarz, bez narośli i ubytków, gładka twarz Anielki.

9.

– Potrzebuję pomocy, Milo.

– Nawet sobie nie umiem pomóc – zamruczała pełnym zdaniem. Usadowiona na brzegu fotela, w kostiumie na wyjątkowe okazje à la Margaret Thatcher granatowym z białymi wyłogami, tak nieskazitelnym, jakby przez ostatnie sześć lat wkładała go tylko na spotkania ze mną. Łydki oblekały najmodniejsze, przezroczyste pończochy z lycrą, wielkie stopy tkwiły w płytkich lakierkach na płaskim obcasie, przez co wydawały się jeszcze większe. Kuternoga śmiał się kiedyś, że pantofle Milo są jak gabary skierowane na rzekę po zmianie destynacji statku.

– Właśnie masz szansę wesprzeć mnie i siebie.

Umówiłam się z nią w drogim lokalu, gdzie desery kosztowały jej tygodniowy zarobek. Miała swoje zasady, przyjęła kieliszek Henessy, jedyne ustępstwo na rzecz uczestniczenia w poczęstunku.

Odkąd rozstałam się z *Calypso*, zatarłam ślady. Nie chciałam znać drogi nawet do Mulatki. Żyłam w innym wymiarze społecznym, tu zabiegano o mnie. Po dropsy nie musiałam nigdzie chodzić. Zaopatrywał i w ten artykuł dostawca z eleganckiego sklepu z delikatesami, przywożonymi na zamówienie.

Tylko z Milo nie zerwałam kontaktu, nie bez powodu. Chciałam się nauczyć jej sztuki. Przychodziłam do jej komórki na Kreuzbergu, dawnej stróżówki, teraz najtańszej z możliwych kwater, gdzie mogła mieszkać sama. Popołudniami uczyła mnie swojej sztuki, za godzinę płaciłam jej więcej niż Kuternoga za cały wieczór.

Lothar był zdumiony ujawnianą przeze mnie i coraz biegłą umiejętnością, bardzo potrzebną w zawodzie foto-girlsy. Ja nadal starannie ukrywałam jedyną zachowaną znajomość z nocnego klubu. Teraz przymuszona rozwojem wydarzeń zwróciłam się do Milo. Była wyjątkowym człowiekiem, któremu mogłam zaufać i którego natychmiast potrzebowałam.

– Zarobisz na operację.

Marzenie Milo, skalpel chirurga, wciąż nie mogło się urzeczywistnić. Zabieg należał do ryzykownych, źle widziany przez społeczeństwo, państwo, Kościół, co tylko podnosiło

cenę. Podejmowali się go zarówno szarlatani, jak i lekarze wybitni. Honoraria wybitnych były niebotyczne. Milo uciekła od nietolerancji, ojczyściej administracji, parafii i rodaków do tego miasta wielkich możliwości. Tu zagroziła jej drogę nieprzekraczalna bariera. Cena. Żyła nadzieją uzbierania wymaganej sumy, rezygnując nawet z rzeczy elementarnych.

– Jeśli odmówisz, nie licz na dyskrecję – byłam gotowa dać jej pieniądze lub najboleśniej uderzyć, wydając jej tajemnicę.

– I po co zaraz szantaż – pojednawczo zamruczała Milo, nie okazując ani urazy, ani zdenerwowania.

– Jestem zrozpaczona. Sprowadzają dziewczyny, chcą odebrać majątek.

Nie doceniłam niebezpieczeństwa. Zbyt późno zrozumiałam, co się dzieje. Lothar zawsze poszukiwał nowych, powtarzał próbne sesje, nadawał szlif początkującym i owe nabytki nie stanowiły nic niezwykłego. Wydoskonalony produkt sprzedawał, lecz dotychczas nikogo nie instalował pod moim bokiem.

Mnie także sposobiono do zawodu, ale przecież nie w prywatnym domu i atelier sławnej modelki, tylko w lokalu agencji. Na noc Annika, zastępująca Lothara podczas jego nieobecności, ryglowała pomieszczenie firmy ze mną w środku. Tamta dziewczyna, którą byłam, nie miała o to żadnych pretensji. Nie czułam się jednak zobowiązana przestrzegać zakazu wychodzenia poza obręb służbówki, gdzie zostałam ulokowana po wykupieniu z *Calypso*. Gdy się oswoiłam z tą wielką zmianą w moim życiu i nabrałam większej pewności, obesłam wieczorem cały teren. Wszystkie wewnętrzne drzwi stały otworem, Annika ufała mocy polecenia, pewno nawet nie przyszło jej na myśl, że pokorne, wydobyte z dna stworzenie ośmieli się złamać zakaz.

Bez przeszkód obejrzałam studio fotograficzne. Najbardziej ciekawiły opatrzone tajemniczymi symbolami szuflady. Wpojone w mur, zajmowały dwie ściany, ciągnęły się rzędami od podłogi po sufit. Przypominały szeregi klepsydr z imionami zmarłych, widziane w przeszłości na Powązkach, gdy jako goniec miałam dużo czasu i nienasyconą ciekawość Warszawy. Te w studiu w pewnym sensie także były katakumbami. Spoczywały w nich negatywy odbitek pięknych dziewczyn, także tych, które pozostały piękne już tylko we wspomnieniu i na kliszach.

Wtedy nie dowiedziałam się, co kryją małe krypty. Zamknięcia banku fotogramów strzegły elektroniczne zamki. Za to dwuskrzydłowe wrota stały gościnnie rozsunięte. Za nimi znajdował się apartament Lothara Lunze.

Obejrzałam łazienkę przyległą do pokoju. Ostatnie pomieszczenie pozostało niezbadane. Było zamknięte. A jednak! Przez dziurkę od klucza też nie udało się nic

zobaczyć.

Podzielał na wyobraźnię zwłaszcza wystrój hallu, upięte na ścianach różne niezwykle ubiory utwardzone apreturą. Tkanina zachowała raz nadany kształt, żadna fałda nie zmieniała formy. Wisiały tam również dziwne obrazy, trochę straszne, lecz dobrze komponujące się z hieratycznie udrapowanymi strojami. Intrygowało mnie przeznaczenie nieprzeciętnych szat, więc do hallu zaglądałam prawie co wieczór. Na takiej kontemplacji nakrył mnie Lothar.

– Interesujące? – pogładził sztywne sfalowanie złoto-srebrnej kapoty, przed którą zamarłam, nie bardzo wiedząc, jak się zachować.

– Interesujące.

– Wiesz, co to jest?

– Przypomina teatralny kostium.

– Bardzo dobrze – pochwalił mój język. – Robisz postępy, jeszcze tylko akcent, ale to wymaga czasu.

Wtedy po powrocie z tournée po Stanach, w które przekształciła się prestiżowa impreza nowojorska i rozciągnęła na dwa miesiące, widział mnie po raz drugi w życiu, nie licząc fotosów przy wejściu do *Calypso*. Uplętnęło zaledwie kilka tygodni wypełnionych po brzegi wkuwaniem niemieckiego, odkąd zajęłam służbówkę w wieży.

Może mówiąc o postępach myślał o zdjęciach. Hanig robił ich całe stosy i z żadnego nie był zadowolony.

– Znów wylazła z ciebie dziwka! – pinił się, rozszarpując odbitki, na których za cały przyodziewek musiał wystarczyć szal z łabędziego puchu. – W filmach porno zrobiłabyś karierę i masę pieniędzy, ale nie u mnie! Ja robię w fotografii artystycznej, rozumiesz?! Uśmierć tę dzidirę w sobie, inaczej wrócisz, skąd cię wydłubano! – wrzeszczał innym razem w tym swoim misz-maszu niemiecko-polskim.

Zniewag nie wybaczyłam, ale też zapamiętałam, że to jego cholerne spojrzenie okiem kamery wprowadziło mnie w niezwykle świat ułudy, przyniosło pieniądze i sławę. Później nie odnosił się już tak brutalnie, nawet starał się powściągać humory, lecz nie zapomniałam dziwek, dzidir i lafirynd. Jego talent zapisałam na jego dobro, dlatego tylko w połowie go nienawidzę. Nigdy, ani na początku, ani później, nie poskarżyłam Lotharowi.

– Co robiłaś tam, u siebie? – zapytał Lothar po powrocie z tournée.

– Uczyłam się szycia w odzieżówce.

– Napisz do domu po metrykę.

– Tak, proszę pana.

Odkąd znalazłam się za granicą, nie dałam rodzinie znaku życia. Najpierw ze strachu,

żeby nie naprowadzić na ślad milicji, lecz przede wszystkim Kalifa. Z perspektywy wydał się groźniejszy od urzędowej sfory. Po szczególnym awansie z Kreuzberg-art do *Kalejdoskopu*, stamtąd do *Calypso*, wolałam, żeby wszystko pozostało, jak jest. Gdybym się odezwała, kto jak kto, ale matka gotowa przyjechać. Tylko nie ona. Nigdy. Umarłabym ze wstydu, widząc jej zgryzotę.

– Nie mogę komunikować się z rodzicami, i tak przeze mnie byli represjonowani. Natomiast wiem o człowieku, który potrafi załatwić podobne zlecenie.

– Ile?

– Zdaje się tysiąc marek.

– Dowiedz się dokładnie, postaraj szybko. Póki aura przychylna – w tym czasie uciekinierów z Polski traktowano w Berlinie dość liberalnie, w każdym razie jeszcze nikogo nie deportowano.

Oczywiście nieoceniony Kreuzberg, wyspa Lewantu i wschodnioeuropejskiej umiejętności przeżycia w każdych warunkach. Sama nie chciałam pokazywać się w Jelicie, poprosiłam Milo. Nadała zlecenie, Galernik sobie znanym sposobem sprowadził pełny wypis aktu urodzenia, kupiony u gminnego urzędnika stanu cywilnego, bardzo możliwe, że za przysłowiową butelkę. Milo za przysługę nie wzięła ani grosza.

Na podstawie metryki Lothar załatwił zaświadczenie stwierdzające, że ja to ja, oraz Duldung. W miarę jak rosło moje imię, zarobki i podatki, wzrastała i ranga moich dokumentów, uwięczył je Fremdenpaß. Małżeństwo z dojczem załatwiłam sama. Znowu za pośrednictwem Milo, Galernik, za tysiąc dolarów, przysłał kandydata na męża. Kandydat wycenił się na dwadzieścia tysięcy, wtedy równowartość moich dwóch roboczych dniówek, płatne połowa przy ślubie, druga przy rozwodzie. W zamian otrzymałam nazwisko Müller i status rozwiedzionej. Z nazwiskiem Müller i sumą uiszczanych zobowiązań wobec władz fiskalnych rozpoczęłam uwięczone powodzeniem starania o nadanie obywatelstwa.

Wszystko to nastąpiło później, na razie radował świeży Duldung, martwiło niezadowolenie ze mnie nowego właściciela. Po kilku miesiącach nie był już tak zachwycony postępami jak na początku.

– Ugór – wzdychał odpytując z różnych nieznanych dziedzin. Chociaż z niemieckim szło mi coraz lepiej, nadal jednak mówiłam z niedobrym akcentem i popełniałam błędy gramatyczne.

I z ugoru mój ojciec zbierał plon, siał rzepę odłogową. Ale Lothar nie chciał rzepy, tylko od razu pszenicę.

– Nie po to się tobą zająłem, żebyś została zwyczajnym wieszakiem – tak w

profesjonalnym narzeczu nazywano modelki prezentujące ubiory. Nie czułam się zdegradowana perspektywą zwyczajnego wieszaka.

– Właściwie kreację już mam – mówił w jakiś czas później, uśmiechając się tak jakos do wewnątrz, a najpewniej do nigdy nie zapomnianej Węgierki swojej młodości.

Dotychczas znałam tylko jedno znaczenie słowa kreacja. Ucieszyłam się, widocznie obmyślił dla mnie jakiś niezwykły strój. Byłam nieprzeciętnie łasa na piękne rzeczy. Ale on myślał o stworzeniu osobowości, pieprzony demiurg! Właściwie o odtworzeniu. Pierwowzór nosił w sobie od najdawniejszych lat, być może od studiów, wcale o tym nie wiedząc, natomiast niedostatki mojego intelektu psuły obraz.

– Trzeba cię pokazać, resztę się dopracuje.

Nagle złąkałam się rozgłosu, dopiero uświadomiłam sobie następstwa, jakie może pociągnąć upowszechnienie mojej twarzy. Kreuzberg, *Kalejdoskop*, *Calypso*, niewykluczone, że rodzimi Narkos, przecież zdarzało się Kalifowi i Jasnemu bywać i pewno nadal bywają w Berlinie. Wtedy jeszcze nie wzięłam pod uwagę, jak się zmieniam i jak może zmienić kamera, nie znałam wszystkich tajemnic wytwórni iluzji.

– Zawód modelki trwa krótko. Musisz żyć szybko.

– Mogę żyć szybko bez wiadomości ładowanych we mnie od rana do nocy.

– Z dnia na dzień nie przemienisz się w erudytkę. Nie oczekuję wiele, jednak powinnaś umieć otworzyć usta na jakiś przynajmniej jeden temat.

Oczywiście, fotografie nie mówią, ale promocja nie obędzie się bez prasy. Więc oprócz powierzchowności konieczne są zainteresowania.

Byłam gotowa przyjąć za własny każdy bzik, byle nie wracać, skąd przyszłam.

– Uczyłaś się szycia – przypomniał.

– Uczyłam. Nienawidzę szycia.

– Zajmowały cię stroje dekorujące hall.

– Takich nie umiem szyć.

– Kto mówi o szyciu! Chodź – doprowadził do złoto-srebrnej szaty w hieratycznych fałdach. – Maharibi z ornamentem w kształcie mahrabu na piersiach i plecach, bez ornamentu nazywa się hilat. U ludów muzułmańskich honorowy płaszcz z cennej tkaniny, ofiarowywany za zasługi.

Na ścianach wisiało kilka tych udrapowanych strojów, gdy je objaśniał, przekroczyłam zamknięte drzwi pomieszczenia, do jakiego nie udało się zajrzeć nawet przez dziurkę od klucza. Alkova bez okien, odpowiednio klimatyzowana, w przeszklonych witrynach mieściła ubiory reprezentatywne dla różnych epok.

– ...paenuła, podróżny płaszcz antycznego Rzymu. Paludamentum, rzymski płaszcz wełniany, półkolisty, spięty na prawym ramieniu fibulą, imperatorom przysługiwał purpurowy, wodzom naczelnym szkarłatny, oficerom biały, żołnierzom z grubej nie barwionej wełny, zwany w okresie cesarstwa sagulum gregale...

Ośmielona zapytałam o dziwne portrety na ścianach hallu, oznaczone podziałkami i liczbami.

– Zasady kompozycyjne, inaczej kanon. Nie wiesz, co znaczy? Kanon wynika z nauki o proporcjach, był wyrazem poglądów estetycznych epoki. Artyści poszukujący w tej dziedzinie ideału uważali, że piękno formy zależy od matematycznego odniesienia części do całości. Kanon bywał również wyrazem systemów społeczno-religijnych, na przykład wzorzec egipski postaci ludzkiej... Tutaj reguła grecka według Polikleta, jego miarą proporcji człowieka jest szerokość palca tegoż człowieka... Starożytny Rzym, Witruwiusz... Średniowieczny schemat według Villarda de Honnecourt, Alberti, Leonardo da Vinci, Dürer, Modular wedle Le Corbusiera... – wskazywał dziedzinę, którą jego zdaniem mogłam szybko opanować, korespondującą z moim wykształceniem. Zdaje się, nigdy nie zrozumiał, na czym polegała edukacja w szkole przyzakładowej, w dziale odzieży ciężkiej, a ja nie wyjaśniałam.

– Zrobimy z ciebie tajemniczą Węgierkę, sfinksa bez uśmiechu. Coś odmiennego na tle totalnie wyszczerzonych zębów – głośno zadecydował o moim image, kiedy zrozumiał, że perfekcyjnej niemczyzny prawdopodobnie nigdy nie opanuję.

– Dlaczego Węgierkę?

– Evi Kovars. Od dzisiaj tak się nazywasz.

Nawet imienia dla mnie nie wymyślił. Otrzymałam je w spadku po jakiejś zaprzęsłej Węgierce, która go nie chciała, co z upływem lat zamieniło się w łagodną obsesję. Bardzo możliwe, że cień podobieństwa do nie spełnionej miłości wyciągnął mnie z *Calypso*. Pierwowzór, nieosiągalna Evi, koleżanka ze studiów na Sorbonie, sufrażystka lat sześćdziesiątych, zwijająca w grecki węzeł snop włosów o bardzo rzadkim, srebrzystym odcieniu blond, jeśli żyje, jest starą kobietą.

– Masz włosy takie jak ona – bawił się pasmami zaplatanymi na noc i kiedyś opowiedział o tamtej najpierwszej Evi, której właściwie nie należało przydawać numeracji, ponieważ stanowiła nieosiągalny wzorzec wciąż uszlachetniany przez czas. W jego wspomnieniu paryskie lata były idealnym szczęściem. Strajkowali na uniwersytecie, bulwarami przewalały się tłumy, faszyci, monarchiści, socjaliści, anarchiści. Dziewczyny odrzucały szminki, puder, pachnidła, tłukły witryny perfumerii, demolowały sklepy z elegancką bielizną. Precz z gorsetami! – darły wykwintne staniki najśłynniejszych firm

wyłożone jak biżuteria na ciemny aksamit za panoramicznymi szybami.

– Ona farbowała włosy?

Nic mnie nie obchodziła tamta zamierzchła dziewczyna, teraz półwieczna starucha, tylko dziwiła maść. Dotychczas byłam przekonana, że Węgrzy są ludem brunetów.

W kilka lat później siedziałam w droгим lokalu, inna, bogata i zrozpaczona, gotowa szkodzić Milo, jeśli nie spełni mojego żądania.

– Proponuję pieniądze, jakich nigdy nie zarobisz w *Calypso* ani w żadnym innym tinglu pudrując kurwy.

– Nie mów tak. To biedne dziewczyny. Nieszczęście ma różne oblicza. Sama w tym tkwiłaś.

– Ale nie ugrzęzłam.

– Miałaś szczęście. Ile jeszcze stamtąd wyszło, no ile? Powiem ci. Nikt. I nie ma już tam żadnej dziewczyny z tych, które zaczynały w tym samym czasie co ty. A teraz wyjaśnij bez nerwów i pogróżek, czego ode mnie chcesz.

– Artysta mojego impresaria pilnie szuka pomocy do wszystkiego. Dobra pensja. Poza tym stół, mieszkanie, znaczna samodzielność.

– I zaraz mnie tam przyjmą, z ulicy! Już to widzę. Skąd wezmę referencje, od Kuternogi?

– O *Calypso* ani słowa. Ja w ogóle nie istnieję.

– A co z prawem do zatrudnienia?

– W tym przypadku ten brak jest atutem. Szukają osoby nielegalnej.

– Ale kto mnie poleci?

– Galernik z Jelita.

– Ktoś, kogo stać na willę w Grünwaldzie, nie będzie się zadawał z Galernikiem.

– Ale zadają się z nim pośrednicy – nie wyjaśniłam, że ta willa na Grünwaldzie należy do mnie.

Od dawna unikałam Galernika. Nie mogłam sobie pozwolić na skojarzenie Evi Kovars z tamtą dziewczyną w marmurkowym dżinsie posłaną do *Kalejdoskopu* za cenę jej czterech tygodniówek.

O polskiej gospodzie obok postojów transportowców w pobliżu Landwehrkanal wiedziałam od dawna. Nazwa, właściwie przezwisko, powtarzała się często w rozmowach między walizkowymi handlowcami, głównej klienteli Air Madala. Kiedy jednak milkliwy cyngiel warszawskich Narkos pozostawił mnie na Kudammie, nawet nie pomyślałam o lokalu z pogranicza Kreuzbergu i Tiergartenu, tylko połączyłam się z numerem telefonu podanym na

odjezdnym.

– Słucham – po tamtej stronie przewodu zabrzmiał żywy głos. Dopiero uświadomiłam sobie skryte podejrzenie. Usłyszę: – pomyłka, albo w najlepszym razie zalecenie pozostawienia wiadomości, nie otrzymując w zamian żadnej informacji oprócz tej, że moje słowa zakonserwowało mechaniczne urządzenie.

– Przysyła mnie Kalif.

– Bagaż zostaw w przechowalni na dworcu Tiergarten.

– Nie mam bagażu – wszystkie moje rzeczy pozostały w mieszkaniu na Zarankiewicza. Jasny telefonicznie zlecił komuś dostarczenie ubrania. Dostałam na drogę mundur polskich szmuglerów, dżinsowy komplet w marmurki, białe sportowe pantofle i torbę, do której włożono sweter, zmianę bielizny i zawinięte w ręcznik przybory toaletowe.

– Przychodź na Barkentyne.

– Barkentyne? – mój ograniczony zasób słów nie znał takiego pojęcia.

– Powołaj się na Serge'a – wymienił dzielnicę, numer bulwaru i linie kolejki nadziemnej.

Odległe przedmieście, rzadka zabudowa. Gasthause w starych składach z pruskiego muru, dawne magazyny przystosowane na hangary dla jachtów, przystanie towarowe, na rzece różna wyporność pod różną banderą. Na każdym kroku ład i zamożność.

Uwiązana na dwóch linach nawiniętych na polery, godząc w niebo iglicami masztów, obleczona takielunkiem, stała w nadbrzeżnym basenie niegdysiejsza szkuta, hotel i nocny lokal Barkentyna.

Piękna, zadbana radowała oczy niepowtarzalną szlachetnością sylwety starych żaglowców, lecz nie ucieszyła jako miejsce azylu. Co mogłam robić w nocnym lokalu pod władzą Serge'a czy kogokolwiek z branży Kalifa i Jasnego? Odbierać lub przekazywać amfi, dziwczyć się, a może jedno i drugie? Pozostawało jeszcze mycie kibli. Wróciło wspomnienie sceny z warszawskiego Pigalaka. Głowa jasnowłosej, zataczająca się od ramienia do ramienia.

Z ciężkim sercem weszłam na trap. Na pokładzie, nie zauważyłam skąd, wykołysał się zaspany mięśniowiec.

– Przychodzę od Serge'a.

– Dokumenty – wyciągnął rękę.

– Nie wystarczy spisać nazwisko?

– Serge dzwonić. Zapowiedzieć i kazać dowód. Serge kazać. Ja czynić. No, dawać, na co czekać. Musi być Ordnung.

Bałam się miasta, bałam szkuty, bałam się uciekać i bałam pozostać. Dopiero teraz ostatecznie przestała działać magia imienia Kalifa, umarły szczątki złudzeń, tłąca się mimowiednie nadzieja na specjalne względy, i w pełni pojęłam istotę rzeczy. Byłam mało znaczącą, łatwo wymienną bierką w grze szajki Narkos i sutenerów. Z uczuciem brnięcia ze złego w gorsze podałam siłaczowi swój dokument. Przekartkował i wetknął do kieszeni bluzy.

– Masz pieniądze?

– Nie mam.

Na drogę otrzymałam paszport z moją fotografią i cudzymi personaliami, ubranie, szczoteczkę do zębów oraz niemieckie żetony do automatów, ale nie dano nawet drobnych.

Nie przyznałam się mięśniowcowi do ocalonych środków własnych. Pewną sumę przeznaczoną na zakupy w strefach bezcłowych albo w londyńskiej hurtowni zabierałam w każdy rejs. Warszawski pośrednik brał wszystko. W tamtym czasie wyposzczony rynek wchłaniał każdą rzecz. Tak dorabiała większość obsługi, zwłaszcza wcale nie za świetnie opłacane stewardesy. Służby kontrolne lotniska nie utrudniały nam życia. Przewożony przez nas towar, jeśli tylko umiało się zręcznie interpretować przepisy, nie przekraczał obowiązujących norm. Dzięki temu miałam przy sobie ponad tysiąc dolarów. Kwota, wówczas w kraju poważna i niezbyt znacząca za granicą, stanowiła wszystko, co wyniosłam z katastrofy.

– Stara!

Z głębin włazu prowadzącego na pokład wynurzyła się kobieta. Siłacz zagadał w niezrozumiałym języku.

– Ona tobie da jeść i miejsce – wyjaśnił.

Zaprowadziła na samo dno, pokazała komórkę z materacem na wąskiej półce przymocowanej do ściany. W czasach prawdziwej służby żaglowca pewno mieściły się tu ładownie. Kajuta ulokowana poniżej linii zanurzenia nawet nie była duszna, przewód wentylacyjny doprowadzał powietrze, jednak doznałam uczucia, jakbym zesła do grobu.

Stara wspięła się na wyższy poziom. W pomieszczeniu, obudowanym kredensami ze szlachetnego drewna, stały za szkłem kryształ, srebra, porcelana. Wyjęła z lodówki tacę z obeschniętą grudą pasztetu i plastrami mięsa, dołożyła kilka czerstwych kromek chleba. Pozostałości z półmisków, jeśli nie resztki zebrane z talerzy. Byłam głodna. Od poprzedniego rana nic nie miałam w ustach. Jadłam. Na koniec dostałam kawał pokruszonego ciasta i kubek rozbielonej kawy. Stawiając naczynia, rozejrzała się po mesie.

– Uciekaj – zamruczała po niemiecku, dodając coś jeszcze w swoim języku. Kantem

dłoni przeciągnęła po gardle, pogładziła mój warkocz, kładąc palec na ustach, wyslizgnęła się bezszelestnie jak jaszczurka.

Wszystkie lęki, przewidywania, niechęć do wejścia na Barkentynę wróciły falą paniki. Uciekać. Paszport. Nie odzyskam dokumentu. Mogę tu przepaść jak kamień ciśnięty w wodę. Z rodziny nikt nie wie, gdzie jestem, co się ze mną dzieje, kto się o mnie upomni? Od dawna uzależniona od Narkos, teraz warta dla nich tyle, co szton wycofany z obiegu. Czy to możliwe, aby skazał mnie na zgubę ten sam mężczyzna, który pojechał ze mną do matki białym mercedesem?

– Pobierzemy się za granicą, każde według swojej wiary – kłamałam matce.

Byłam u proboszcza, dostałam zaświadczenie stwierdzające mój stan cywilny, niezbędne przy zawieraniu małżeństwa w innej parafii, wiedząc, że na nic się nie przyda.

– Nie mów tego ludziom, tylko się uśmieją. Już jedna taka z okolicy wzięła od księdza kartkę, rozpowiadała o dwóch oddzielnych ślubach. Nie dostąpiła żadnego – przestrzegala matka, ale zaprosiła krewnych i znajomych, żeby na własne oczy ujrzeli szczęście córki.

Z braku barana poszło pod nóż cielę, Kalif sprawił i piekł tuszę, obracając na zaimprovizowanym rożnie, jak w swojej dalekiej ojczyźnie. Ogień płonął nad rzeką, na brzeg wyczłapały łabędzie czujące się swojsko na naszym siedlisku. Goście siedzieli w krąg, na krzesłach i wersalkach wyniesionych z domu. W izbie, otoczona zazdroszczącymi dziewczynami, przymierzałam suknię z białej koronki na podbiciu z tafty. Kalif podawał dymiące kawałki mięsa, robił pamiątkowe zdjęcia. Czarował. W tym nastroju zaczęło chwiać się nawet zwątpienie matki w dwa oddzielne obrządki wedle różnych wyznań, które rzekomo miały złożyć się na jeden ważny sakrament.

Ślubny strój i biały mercedes pochodziły z wypożyczalni. Negatywy fotografii, na których był Kalif, dziwnym trafem uległy prześwietleniu.

– Dokąd? – zagroził drogę Siłacz na Barkentynie.

– Przejdę się po bulwarze – przystanęłam przed nim z rękoma w kieszeniach marmurkowej kapoty. Odżałowałam paszport, zostawiłam torbę.

– Tylko nie odchodź daleko, bo zabłądzisz.

Wolno ruszyłam przed siebie, za osłoną szpaleru krzewów dopadłam ulicy, którą przyszłam na nadbrzeże. Uciekałam stamtąd naziemną kolejką, przesiadając się z linii na linię, krążyłam po metropolii, wówczas rozdzielonej murem, zdawało się na zawsze, coraz bardziej przytłoczona jej ogromem. Nie wiedząc, gdzie się podziać w tym mieście bogatym i niechętnym przybyszom, ciągnącym ze wszystkich stron świata, przypomniałam sobie rozmowy pasażerów Air Madala o polskiej gospodzie przezywanej Jelitem, której nazwy

wymienionej na szyldzie nikt nie pamiętał.

Pojechałam na Kreuzberg, lecz nie odważyłam się wejść do lokalu. Nie czułam się bezpieczna. Było mało prawdopodobne, aby Jelita nie znali Narkosi z Warszawy, mógł o nim wiedzieć także Serge z Barkentyny, chociaż przystań starego żaglowca leżała daleko od polsko-tureckiej dzielnicy.

Zmierzchało. Przemierzając ulicę opustoszałych domów, burzonych lub oczekujących rozbiórki, trafiłam na meczet, turecką łaźnię i kafeterię Istambuł. Przeniknęłam w odrębny świat. Opadłam na miękkie siedzisko w niszy pod lampionem cedzącym kolorowe światło ledwo rozjaśniające mrok. Przed wieczorną frekwencją lokal był prawie pusty. Udzielił mi się jego trochę senny spokój, wydał mi się azylem, wolnym od groźnych niespodzianek enklawy rodaków. Jeszcze nie wiedziałam, że orientalno-słowiański Kreuzberg to naczynia połączone.

Zjadłam jakąś pełną ostrej papryki potrawę, wypijałam napar słodki i aż gęsty od kawy, podany w miedzianym tygielku przez Anatolijczyka w czerwonym fezie. Za niewielką opłatą dostałam adres taniego pokoju przy tureckiej rodzinie. Zaczęłam staż zbiega, cudzoziemca bez dokumentów i bez pracy.

Wychodziłam rzadko. Mieszkańcy czynszowej kamienicy, wczesnym ranem idąc do zajęć, zamykali mieszkania, dzieci puszczali samopas. Watahy szalały po ulicach do późnych godzin.

Moja kryjówka nie była żadną kryjówką. Każde dziecko wiedziało, gdzie kto odnajduje izbę, reszta malców przybiegłaby za poszukującym całym tabunem. Słabą pociechę stanowił fakt, że dzieci poza tureckim nie znały innego języka. Na szczęście przez pewien czas nie zdawałam sobie sprawy z iluzoryczności anonimowego mieszkania.

Kryłam się przed ewentualnym pościgiem Serge'a. Nietrudno było skojarzyć, dokąd mogłam uciec, z tego powodu nawet na zakupy nie chodziłam na polski bazar przy Landwehrkanal, gdzie przywożona z kraju przez plecakowych handlowców żywność kosztowała grosze. Oszczędzałam. Żyłam mlekiem i krakowską kaszą. Zasoby topniały i coraz groźniejsze stawało się jutro.

Ciężko znosząc ograniczenie swobody i samotność, wieczorami przemykałam do Istambułu, tkwiłam w kącie nad tygielkiem kawy jak porzucony rekwizyt. Mężczyźni, zanim oswoili się z moją obecnością, próbowali mnie zaczepiać. Anatolijczyk nachylał się do takiego i mówił:

– Zostaw dziewczynę, jest pod moją opieką.

Na początku poprosiłam o ochronę. Ciężki uraz do Kalifa przeniosłam na mężczyzn w ogóle, zwłaszcza orientalnych. Z czasem pożałowałam, ale wstyd nie pozwalał odwoływać

zastrzeżenia złożonego u patrona. Ponieważ lokal zaludniali przeważnie bywalcy, prędko wtopiłam się w codzienność, przestałam zwracać uwagę. Wieczory nawlekały się leniwie, jeden podobny do drugiego niczym paciorki spod sztancy.

– Jest robota – przyniósł wiadomość chłopiec od Anatolijczyka.

Prowizję za pośrednictwo patron Istambułu brał po uważaniu. Ode mnie zażądał niewiele. Może liczył na lepsze zamówienia, jeśli stała klientka przestanie żyć z powietrza, pomyślałam w pierwszej chwili. Powód okazał się inny. Zajęcie nie rokowało dobrych zarobków. Poza wszystkim żadna kobieta z tureckiej kolonii nie odważyłaby się na taką pracę. Tak trafiłam na Kreuzberg-art, do enklawy obdarzonej nieoficjalną partykułą dzięki kunsztom. W pofabrycznych halach osiedlała się emigracyjna sztuka, na ogół przybysze ze wschodniej Europy. Czysze pobierano tutaj symboliczne.

Zostałam modelką u Rzeźbiarza. Goła jak święty turecki, w przenośni i dosłownie, siadywałam na przedpotopowej sofie przywróconej do używalności staraniem artysty. Od czasu do czasu popatrywał na mnie i lepił ogromne zady zakończone korpusem przypominającym bardzo wydłużoną kroplę z małą przypłaszczoną kulką u góry. Nie mogłam zrozumieć, do czego potrzebował modelki, lecz nie zadawałam pytań, cierpliwie słuchając monologów o istocie jego dzieła, wdzięczna, że żywy człowiek chce do mnie mówić. Czasami jednak udawało się sprzedać jeden z tych monstrualnych tyłków zwieńczonych główką solitera, wtedy dostawałam wypłatę.

Nie było we mnie miłości do Rzeźbiarza, on nie kochał mnie, sypialiśmy ze sobą broniąc siebie wzajemnie przed samotnością. Nie mniej od chleba potrzebowaliśmy przychylniej obecności drugiego człowieka.

Zamieszkałam u Rzeźbiarza na antresoli oszalowanej deskami, przypominającej kasztel na starym korabiu. Jakiegoś dnia pojechał na krótko do Paryża. Nie powrócił nigdy, przynajmniej dopóki byłam na Kreuzbergu. Podobno spotkał tam kobietę swego życia.

Pracownię przejęli Rzeźbiarz i tkaczka. Monumentalne zady poprzednika zgrupowali w jednym kącie. Ona postawiła ramy, on zaczął lepić zady szczupłe i wydłużone jak gruszki, całość przypominała gotyckie figury. Musiałam się wyprowadzić. Znowu wynajęłam izbę przy tureckiej rodzinie, ale nadal służyłam za model. I kiedy drugiemu Rzeźbiarzowi udało się sprzedać któryś z jego niedożywionych posągów, płacił za pozowanie. Sypiał z tkaczką.

Byli przyjaźni, w dniach chandry albo twórczej niemocy Rzeźbiarza pomagałam jej farbować wełnę i nawet przewlekać nić przez osnowę w łatwiejszych partiach, gdzie wzór nie wymagał finezji i ręki artystki, zwłaszcza przy pilnym zamówieniu.

Artystka pierwsza zauważyła moją zmienioną sylwetkę. Pochodziłam ze wsi, rosłam

wraz z pojęciem, jak się stają zwierzęta, jaki jest związek między zapłodnieniem a powstaniem istoty, własnego ciała nie rozumiałam.

Joanna urodziła się malutka, jakby wiedziała, że brakuje dla niej miejsca na świecie. Para artystów z Kreuzbergu pomogła umieścić dziecko u małżeństwa polskich gospodarbeiterów żyjących z wychowywania cudzych dzieci. Poświadczyli moją wypłacalność, byli wiarygodni. Mieli stały adres, dokumenty i legalnie uprawiali swoją sztukę.

Musiałam od zaraz rozejrzeć się za zajęciem. Z nieregularnych wpływów za pozowanie nie mogła wyżyć nawet jedna osoba. Poza tym Rzeźbiarz zajął się projektami przestrzennymi i nie miał głowy do lepienia chudzielców, więc zrezygnował z moich usług. Może niezupełnie zarzucił tworzenie swoich światów, raczej chcieli się mnie pozbyć. Nie czułam żalu, zrobili dla mnie więcej, niż mogłam oczekiwać od ludzi niezamożnych, zajętych utrzymaniem się na powierzchni i zupełnie obcych.

Pieniądze, jakie jeszcze miałam, pochłonęła wymagana przez opiekunów dziecka jednorazowa kaucja i opłata za dwa miesiące. Zostałam bez środków do życia. Poszłam do Jelita.

– Okradli mnie na Landwehrkanal – skłamałam Galernikowi, zapytana o papiery.

– Ludzie, co wy sobie wyobrażacie. Nie prowadzę wytwórni certyfikatów – zawołał dramatycznym szeptem.

– Urządź mnie na jakiejś robocie. Nie pożałujesz.

– Prowizję biorę z góry.

– Spłacę z zarobku. Podpiszę weksel.

Taksował mnie spojrzeniem. Twarz nie tkniętą szminką, włosy zaplecione w warkocz. Dżinsowe ubranie w marmurki, dobrze już podfatygowane. Odkąd utknęłam w tureckim rezerwacie, nie kupiłam sobie nic z odzieży, poza ciepłym szalem i zimową kurtką.

Onieśmielona i przybita starałam się tylko być rzeczowa, nie żywiłam złudzeń, apelowałam do jego zdolności rachowania, nie do serca. Po milczącej wycenie mnie zaproponował *Kalejdoskop*.

– Wystawa, rozumiesz? Nic nie rozumiesz. Słuchaj uważnie, nie sami widzowie tam przychodzą. Dupiznes! Jasne? Pamiętaj, uprzedzałem! Żeby później nie było pretensji, lamentów i w ogóle. Dla mnie należy się równowartość czterech tygodniówek.

Uciekłam z *Kalejdoskopu*, sama znalazłam klub w dzielnicy nocy, o którym usłyszałam przypadkowo. Ze wszystkich znanych miejsc znajdował się najdalej od basenu przy nadbrzeżu z zakotwiczoną Barkentyną i w innym wymiarze niż Kreuzberg w ogóle, co przesądziło o porzuceniu miejsca otrzymanego z protekcji Galernika. Ale go spłaciłam i od tej

pory nigdy więcej nie pokazałam się w knajpie za Landwehrkanal.

– Galernik rąk z kieszeni nie wyjmuję za darmo – uprzedzała mnie teraz Milo.

– Weź tysiąc, targuj się do upadłego, ale daj każdą cenę, jeśli będzie potrzeba. Powiesz, że w Ekspresie, tak się nazywa agencja pośrednictwa pracy, leży zamówienie Johana Haniga, niechaj Galernik załatwi to miejsce dla ciebie. Czekam tutaj, jeśli zechce więcej, wróć, dostaniesz, ile potrzeba. Jeszcze jedno, nie zdradź się ze znajomością języka na Hausstrasse, to dyskwalifikuje. Szukają dziewczyny z ograniczonym niemieckim, mówiącej po polsku.

Przestałam ufać Lotharowi. Podśluchiwałam rozmowy. Nie czułam wstydu ani wyrzutów sumienia. Gdybym miała skrupuły, teraz byłabym bezbronna. I tak o najważniejszym, godzącym w moje interesy, dowiedziałam się po fakcie.

– ...łączność z Warszawy fatalna. Jakoś się jednak domówiłem z berlińską agencją i oni, owszem, znaleźli dziewczynę, wyobraź sobie po germanistyce. Zrezygnowałem.

Lothar dopiero powrócił z Londynu, z dalszej wymiany zdań między nimi wynikało, że Hanig porozumiewał się z Lunzem już poprzednio w sprawie, w którą nie należało angażować Aniki ani w ogóle nikogo z firmy. Nawet nie telefonowali z lokalu w wieżowcu.

– Drugą, wścibskiego obiboka, wyrzuciłem tego samego dnia, w jakim przyjąłem. Wprawdzie nie zna języka, ale potwór, umie plotkować na migi. Szukam teraz egzemplarza bez pozwolenia na pracę, potrzebna nam osoba pod każdym względem uzależniona.

– Zależność jest kwestią ceny. Nie żałuj pieniędzy. Masz wolną rękę i tylko jeden warunek. Wszystko, co dotyczy Małej, musi pozostać poza firmą – powiedział Lothar.

Kim jest Mała? Pragnął cienia. Pewno, nie powinien przykładać ręki do nielegalnego zatrudniania służącej. Ale dla kogo służąca, wmawiana mi metodą kropli wody de compagnie? Czyli dozorczyń pilnująca moich kroków albo pomoc dla dziewczyn sprowadzanych do studia w pawilonie. Wszystko jedno, tak czy inaczej musi być moim człowiekiem. Bóg mnie ochronił, dwie się nie sprawdziły, trzecią wybiorę sama. Nie miałam czasu do stracenia. Rano po usłyszeniu rozmowy uruchomiłam Milo.

10.

Hanig stał na płycie Tempelhof, dopóki samolot nie wzniósł się w powietrze. Na Okęciu nikt na nią nie czekał. Babki Anielka nie zawiadomiła, oszczędzając jej trudu przybycia na lotnisko. Wiśka pojechała w Europę, o czym uprzedzała w liście.

– Za psa pięćdziesiąt dołów – wycenił taksówkarz po targu o kurs. Brysiek się wyszczerzył nabrawszy do faceta antypatii od pierwszego wejrzenia.

– Najwyżej dwa.

– Za dwa to autobusem.

– Dziękuję za radę. Zegnam.

Taksówkarz nie chce się pożegnać, opuszcza do trzech dziesiątek.

Anielka zbiera tłumoki, rusza do przystanku, co rozjusza kierowcę, który już zdążył się przywiązać do tych pieniędzy i czuje się ograbiony. Wymyśla dziewczynie, pomawiając o uprawianie najstarszego rzemiosła świata. Ogłuszona absurdalną napaścią, zamiera z żalu i upokorzenia. Ludzie na postoju patrzą w przestrzeń.

Podjeżdża oliwkowe beemwu, wysiada jasnowłosa mężczyzna o chłopięcej urodzie, pochyla się do taksówkarza.

– Przepróż panią – tamten milknie w pół przekleństwa, oczekujący na transport narodek przestaje udawać, że zamiast Anielki jest szkło. Ludzie ciekawi, z jakiego powodu ten od taryfy zapomniał języka, i co się stanie, gdy odzyska głos.

– Przepraszam – mamrocze szofer jak w hipnozie. Widownię przebiega szmer, zbiorowe oko zwraca się ku dziewczynie z psem.

Brysiek siedzi bez ruchu. Gwiazdor. Czuje podziw tłumu. Jasnowłosa sadowi się w taksówce, potulny kierowca włącza licznik, oczekujący za Anielką protestują. Jasnowłosa wykorzystał sytuację. Kolejka popiera protest, taryfa odjeżdża, na jej miejsce przesuwa się beemwu, wysiada z niej On. I są to najostateczniejsze chwile, kiedy Anielka jeszcze nie wie, że to właśnie jest On.

– Proszę, pomogę – podkłada dłoń pod szelkę plecaka, uwalnia Anielkę od brzemienia, sięga po walizkę.

Chociaż obcy zbiera ich rzeczy, Brysiek nie czując oporu Anielki, swoją obecność

zaznacza tylko warknięciem zakończonym ziewaniem i obrażony wciąga się do samochodu na ugiętych łapach.

– Dokąd? – On uśmiecha się do lusterka nad kierownicą, Anielka z poduch w głębi wozu widzi biel zębów, jeszcze bielszych przez kontrast ze smagłą skórą, odcień błękitu na wygolonych szczękach, niczym zdjęty z damasceńskiej klingi.

Anielka podaje adres.

Orientalny dżentelmen – Kuwejt – Irak – Maroko – gdybym nosiła błękitne żele – makijaż – może widział moje zdjęcia – może by skojarzył.

– Jesteśmy na miejscu – Anielka dotkliwie czuje, że nic się więcej nie wydarzy. Poświęciłaby wiele za nadzieję ponownego spotkania, ale On, poprawny, trochę roztargniony, zbiera bagaże Anielki i stawia przy krawężniku osiedlowej alejki.

– Zegnaj – podaje rękę, na kiść dłoni zsuwa się ciężka, złota bransoleta z płaskim zegarkiem.

– Do widzenia – Anielka patrzy za oddalającym się samochodem. Jego zniknięcie przynębia, jakby ją ominęło najważniejsze. Pozostaje olśnienie i żal za brak dalszego ciągu. Pod powiekami widok tamtych oczu o barwie antracytu nie biorących udziału w uśmiechu.

W objęciach Babki, dziwnie zmałej, przygarbionej i starej, tamten łagodny smutek niespełnienia roztapia się w wielkiej czułości wobec bliskich i szczęścia przez samą świadomość, że istnieją.

– Kochani – Anielka zagarnia ramionami Teka i Babkę, pod ręką opasującą plecy Babki czuje wypukłość łopatek, jakby zaczątki skrzydeł, całą tę kruchość, niematerialną psyche dzień po dniu wyzwalającą się z ciała. I nagłe przerażenie, nie utracić jej.

– Dlaczego nie zawiadomiłaś, wyszłabym. Ale moje serce czuło, zjawisz się lada dzień. Jedz, dzisiaj piekłam. – Babka odkrawa skiby drożdżowego ciasta. Wyrośnięte, przetkane rodzynkami, grubo pokryte kruszonką jest żółte jak kurczątko. Anielka bierze kawałek placka, kęs więźnie w ustach.

– Co jedliście dzisiaj? – uświadamia sobie nieobecność Wiśki. Babka, pozostawiona sama sobie, pewno znowu sknerzy, dlatego jest taka chuda.

– Nie martw się, nie chodzę już po darmową zupę. Są biedniejsi ode mnie. Nie mam sumienia im wyjadać, a Wiśka rzetelnie przysyła produkty od ciebie.

– Wiśki nie ma!

– Przywoziła i przywozi Klara. Klary Wiśka ze sobą nie wzięła. To służąca. Po maturze Wiśka wystrzeliła jak korek od szampana. Podobno ma udział w butik. Może i ty mogłabyś już pozostać, skończyć naukę, zarobkiem mądrze obrócić, a nie usługiwać w

cudzym kraju i to jakim. Odkąd połamali mur, znowu są butni, głośni, pomiatają innymi. Znowu nur für Deutsche. Boję się o ciebie.

– Nie wszyscy pomiatają i nie wszyscy nur für.

– Za Hitlera też nie wszyscy, aby dziesięć milionów przystało do faszystów i zanim dostali w kość, zdążyli wymordować pół świata.

– To było pięćdziesiąt lat temu, Babko.

– Nawet nie dwa pokolenia. Za mało na zmianę natury.

W mniejszym pokoju posłanie Anielki pyszni się atlasem puchowej kołdry obleczonej najcieńszym nansukiem z ażurami ręcznego haftu.

– Piękny puch. Najlepszy, a na poduszki pierze sama darłam. Na wsi już nie chcą tego robić. – Babka gładzi jedwab wypełniony najlepszym puchem i prezentuje wewnątrz szafy zawalidrogi. Sterty ręczników, prześcieradeł z czystego lnu, adamaszkowych obrusów, poszewek uszytych i zdobionych jej ręką. Imieniem wnuczki bierze odwet za pościel swojej młodości, jasiek napchany grudami wyczesków z wełny, derkę z brytów barchanu ufarbowanych domowym sposobem, po jednej stronie czerwono, po drugiej żółto.

– Twoja wyprawa. Obejrzałaś? Schowam, niechaj się nie kurzy – Babka pieczołowicie zwija kołdrę.

– Zostaw, będę pod nią spała.

– Powiadają, nie wydana, co w wyprawowej pościeli sypia, nie wydana pozostanie.

– Bardzo dobrze. Nigdy cię nie opuszczę.

– Nie zarzekaj się. Opuścisz, taka jest kolej rzeczy, byle dla porządnego człowieka. I tak należy. Od pary zaczął się świat i dwojgiem ludzi świat stoi.

Nagły pożar na policzkach Anielki zagarnia twarz po nasadę włosów. Odwraca głowę, żeby Babka nie zauważyła, nie wiadomo dlaczego czuje się nie w porządku. Owo poczucie winy, rozdrażnienie z powodu zdradliwego rumieńca, miesza się ze wspomnieniem przygnębienia, jakby ją ominęło coś najważniejszego, kiedy spoglądała za znikającym beamwu, co nie przeszkadza w doznawaniu szczęścia z powrotu.

Berlin staje się nierzeczywisty, jakby wspomnienie dawno przeczytanej książki. Zresztą, po co myśleć o przeszłości, po co wybiegać w przyszłość, skoro można zanurzyć się w wytęskniony warszawski czas. Lecz nic nie jest tak jak w marzeniach, dobry los nie zjawia się według scenariusza układanego samotnością i nostalgią za wysokim parkanem posiadłości Evi Kovars.

Wszystko jest inaczej, niż sobie opowiadała. Pozrywały się rówieśnicze więzi, zresztą nigdy zbyt bliskie. Może gdyby była Wiśka, ale z nią w ogóle się nie zobaczy, Wiśka wróci

dopiero jesienią. Jedyne niezmiennie pociąga Miasto. Przebiega dawno nie widziane ulice, przysiada w kawiarniach, jak w pozaprzyszłym życiu zagląda do recepcji markowych hoteli i sama przed sobą nie przyznaje się, co ją tak goni. Ponad zamęt niezupełnie rozeznanych uczuć, mimo wszystko, pali się płomyczek cichej radości.

Babka piecze ciasto, zapraszają pierwszą Dobrą panią. Anielka pokazuje przywiezione fotosy i pisma ze zdjęciami, ze względu na Babkę odpowiednio dobrane, wcale albo bardzo mało nagusów. Babka już niejednokrotnie je oglądała, co zupełnie nie osłabiło zainteresowania. Teraz znowu wpatruje się razem z Dobrą panią i niejako oczyma Dobrej pani, żeby zbadać, jak ona przyjmie owe podobizny utrwalone nie dla rodzinnej pamięci czy z urzędowej potrzeby, tylko na sprzedaż, wydające jej wnuczkę na łup obcej ciekawości za pieniądze. Ale Dobra pani niczego nie ma za złe, podkreśla artystyczny kontekst fotografii, mówi, że Anielka jest na nich podobna i niepodobna.

– Zaraz wam coś pokażę – obiecuje Anielka i znika w małym pokoju. Zakłada niebieskie żele, kupione w specjalistycznej firmie wytwarzającej owe nieoptyczne szyby. Dopełnia przemiany w Evi Kovars z pomocą kosmetycznej alchemii i sztuki podpatrzonego u Milo. Za sprawą owej biegłości, chociaż przeistoczona, twarz sprawia wrażenie ledwo tkniętej charakteryzatorskim rzemiosłem. Na koniec rozczesuje włosy i upodobniona do jednego z kadrów staje przed swoją widownią.

– Czego to nie wymyślą! – płaska w dłonie Babka przyglądając się takiej samej, a jednak odmienionej wnuczce.

– Modelka to fotograficzny miraż, w rzeczywistości takich dziewczyn nie ma – prezentuje się Anielka i broni przed wszystkimi daczego, jakie mogłyby zostać zadane, lecz przede wszystkim przed tym widziadłem za szybą w zimowym ogrodzie, o czym nie chciała pamiętać. Tak bardzo nie chciała, aż udało jej się zwątpić w niezawodność własnych oczu. Jednak pod wpływem owej iluzji ze snu czy jawy nagle utraciła poczucie lojalności względem Haniga i gdyby nie towarzyszył jej na Tempelhof, do samolotu weszłaby dziewczyna z fotografii, dziewczyna z fotografii wysiadłaby na Okęciu, istota żyjąca na stronicach pism i klatkach światłoczułej taśmy oczekiwałaby na postoju przed warszawskim portem lotniczym i ją zwymyślałby łobuz z taksówki i ją zauważyłby On. A teraz te kosztowne żele, na jakie wydała masę pieniędzy, były zupełnie bezużyteczne.

On zapamiętał, jeśli w ogóle zapamiętał, zwyczajną Anielkę, więc gdyby się przypadkiem natknął na nią w jej wydaniu zdjęciowym, miałby trudności z rozpoznaniem. Dlatego Anielka musi nosić własną, niepodrabianą twarz.

Może i lepiej, że obecność Haniga na Tempelhof przeszkodziła odmianie. W

przeciwnym razie byłaby skazana na ciągle blansze jak przed obiektywem. Tak naprawdę Anielka nie cierpi szminki, upiększająca kosmetyka należy do świata atelier, jupiterów, powtarzanych ujęć, potu, cierpkich uwag Haniga, znużenia, pośpiesznie wypijanej kawy, wysiłku. Anielka, jak wiele dziewczyn zmuszonych do makijażu warunkami zawodu, odrzucała tę niewolę poza zasięgiem kamery.

Niezmordowanie przemierza Miasto.

Z włączki po Starówce schroniła się w chłód kawiarni *Pod Krokodylem*. Przysiadła w parterowej izbie przezywanej zakrystią. Wstąpiła tu po drodze, bez wyrachowania, z jakim do niedawna przekraczała szklane drzwi pierwszorzędných hoteli. Przestała zachęcać przypadek, straciła nadzieję na spotkanie. Już nie wybierała miejsc, dokąd, według jej oceny, mogli przyjść jednocześnie.

Wolna. Nawet od myślenia o Nim. Znowu mogła jak kiedyś wyobrażać sobie, że czeka na ważne spotkanie albo na znajomego z zagranicy, a On już się nie wciskał na to ważne spotkanie, nie narzucał swej powierzchowności do szaleństwa zakochanemu mężczyźnie bez twarzy ani nie przybywał z dalekiego świata. Mogła swobodnie opowiadać sobie historie z bezimiennymi bohaterami, jak dawniej. Tylko po co. Już nie zajmował ten rodzaj zabawy lalkami. Za duża była na lalki. Nareszcie wyzwolona od niepoważnych marzeń, pragnień i projektów, jakby trochę pusta i trochę bez sensu.

I wtedy zjawił się On. Nie w wyobraźni. Żywy. Stał w prostokącie oszalowanego ciemnym drewnem wejścia, zagłębił się w mroczną mimo dnia izbę i szedł prosto ku niej. Patrzyła bez wrażenia, nie czuła nic.

– Dzień dobry. My się znamy, skąd? – pochylił się nad stolikiem. Uśmiechnął się lśniąca bielą zębów, nieprzeniknionymi oczyma koloru antracytu badał jej twarz i swoją pamięć.

Kolnęło to zapomnienie, nie miała zamiaru pomagać w odświeżaniu wspomnień. Nadal jego obecność nie wywierała wrażenia. Omal nie powiedziała: przyszedłeś za późno, już na ciebie nie czekam, już mi na tobie nie zależy.

– Wiem. Taksówka, krzyk, mój polski kuzyn przyleciał na Okęcie, ja go odebrać, jego wysłać, uspokoić szofera, ciebie zabrać. Znowu widzę ciebie, znowu się cieszę. Nie chcesz mnie tutaj, mam sobie iść? – spełza uśmiech.

– Ależ nie, siadaj, proszę.

– Gniewasz się. Wtedy postąpiłem niewłaściwie, nie przedstawiałem. Jestem Hassan, a ty Anielka.

Spotkanie jej było dużym przeżyciem dla niego. Zaniepokoiło wrażenie, jakie

wywarła. Uczucie to zależność od drugiej osoby. On chciał być wolny. Dlatego zachował się niezręcznie. Jednak nie mógł jej zapomnieć i postanowił odszukać, chociaż wtedy nie powiedziała nawet swojego imienia. Dzięki pomocy polskiego kuzyna dowiedział się bliższych szczegółów o dziewczynie z postoju taksówek na Okęciu. Nareszcie dzisiaj mógł ją znowu spotkać.

– I nie umiałeś mnie sobie przypomnieć?

– Udawałem. Żeby nie stracić twarzy, jeśli wzgardzisz.

Szukał jej. Szukał jej, Anielki. Zwyczajnej Anielki. Poprzez obronną rezerwę, chłód, nic nie obchodzenie, przenika nieśmiała czułość, jak odbłask gorejących węgla przysypanych popiołem. I już każda następna chwila unosi ze sobą tę nietrwałą obojętność. Nieprawda, nie przestało zależeć, to tylko ucieczka po utracie nadziei, a niespodziewana bliskość Jego jest tak przytłaczająca, jak gdyby zatrzymało się życie. Trzeba trochę czasu, aby znowu zacząć istnienie zdolne do przyjęcia nagłego daru, do wkroczenia w inny byt. Tak przyszła na Anielkę miłość.

Szczęście Anielki rozkwita jak maj.

Szczęście ma profil mauretańskiego wojownika, sarnie oczy, uśmiech jedyny na świecie. Egzotyczny książę. Tak go widzi i odkąd spotkała, barwa świata stała się inna. Wszystko wokół, każde odczucie, zdarzenie, przenika nieznaną dotychczas świetlistość i zamienia w święto. Żyje w odurzeniu, wspaniałym, skrzydlatym. Jest najpiękniejsza na świecie, podoba się Jemu, ma najwspanialsze na świecie ciało, poznaje je razem z Nim. Hassan odkrywa przed Anielką barwy miłości, oczekiwania, gry, spełnienia. Anielka jest wdzięczną uczennicą. I tylko ustaje serce na myśl, że On mógł wtedy minąć staromiejską kawiarnię i mogli się nigdy nie spotkać. Nigdy. Największa miłość od czasów Tristana i Izoldy przechodząca mimo, na zawsze. Przerazające.

Oddana uczuciu, ograniczona uczuciem, świat zewnętrzny postrzega pośrednio, odległy, przysłonięty, trochę nierzeczywisty i właściwie mało ważny.

Babka z chłodu swoich lat, wolna od oczarowania, widzi niezupełnie przytomną Anielkę zamkniętą w swoim przeżywaniu jak za pancernym szkłem. Nic do niej nie dociera. Wraca późno, przynosi ze sobą zapach obcej wody kolońskiej, zapach mężczyzny, papierosowego dymu.

Nieobecna duchem Anielka uśmiecha się lunatycznie i pada spać, i znów wstaje w południe, pucuje się i stroi, i znowu wraca późno, coraz później, ale jeszcze wraca. Babka o nic nie pyta, żeby nie daj Boże nieopatrzonym słowem nie wypłoszyć z domu tej nagle obcej dziewczyny.

– Odgrzać zupę, nie, kotlet, nie, zrobić herbatę, tak? – krząta się.

Babka o trzeciej nad ranem podtyka, podaje, obsługuje wnuczkę jak jakąś panią albo chorego. Zawsze usłyszy powrót Anielki, żeby ona nie wiem jak się skradała. Przeżywającą jeszcze raz miniony wieczór, niecierpliwi troskliwość Babki.

– Zwierzę tęskni – nieśmiało wypomina Babka. Osowiały Brysiek całe dni leży pod progiem z nosem przytkniętym do krawędzi drzwi. Pojawienie się Anielki wywołuje nawałnicę psiego szczęścia. Babka zazdrości Bryskowi, gdyby ona umiała tak ją witać, bez goryczy, przygnębienia, niemego wyrzutu.

Anielka ma nieczyste sumienie wobec wszystkich. Zaniedbuje ich. Najbliższych. Nawet psa. Po co go tutaj wlokła, żeby warował w przedpokoju? Lepiej miałby w berlińskim pensjonacie dla czworonogów, ale ona nie mogła się z Bryskiem rozstać. Teraz może.

– Ogłupiała jak cietrzew na gałęzi. Takie było dobre dziecko. Jej rówieśnice już szminki, papierosy, z chłopakami bógwieniedzie, a ona nos w książkę i cały jej świat. W tym Berlinie też bez towarzystwa, przez to wybuchła niczym granat – żali się Babka do pierwszej Dobrej pani.

Babka jest skryta i dumna, nigdy nie obnosiła rodziny po obcych, ale przyjaźni pierwszej Dobrej pani doświadczały z Anielką od niepamiętnych czasów, więc jest jak bliska krewna, do tego mądra.

– Zaprosić chłopaka do domu – radzi Dobra pani.

Tyle i Babka wie, tylko jak, skoro Anielka nawet się nie zająknie o ważnej dla niej znajomości. Matko jedyna, a jeśli to coś gorszego niż tylko zakochanie.

– Masz kogoś, przyprowadź. Uszykuję obiad.

Anielka błądzi wzrokiem po kątach, jakby dopiero dostrzegła ubogie sprzęty, dawno nie malowane ściany. W porównaniu z domem, gdzie dzieje się miłość z Hassanem, mieszkanie Babki wydaje się jeszcze biedniejsze.

– Odnowić, kupić meble.

– O porządne trudno, byle co kosztuje. Trzeba by do Swarzędza – Babka pamięta, lepsze państwo z przedwojennej Kolonii kupiło jadalnię w stylu Chippendale w Swarzędzu, dlaczego nie miałyby mieć takiej jej wnuka, skoro zarabia ciężkie marki. Ale nie zaczyna się budowania od kalenicy. Jeśli masz zamiar wymienić mieszkanie, nawet osobną habende zamyślasz, graty nie najpierw.

– Dom! Na lata jeszcze musiałabym się sprzedać. Nie wiem, czy wytrzymam i czy Hanig wytrzyma ze mną. Widzisz, na jak długo mnie odpuścił, wciąż nowe sposobią, któraś okaże się lepsza, nie wiem, czy w ogóle będę zarabiać.

– Nie musisz. Budowa nie dziewczynska rzecz. Za mąż wyjdiesz, pomyślicie. Ręce o co zaczepić masz, chociaż pieniądź, i najlepszy, też niepewna lokata, chyba że złoty. A chłopca przyprowadź na to, co jest, i nie chwal się zasobami. W tobie chytróści za mało, ludzie teraz chciwi, zdolni do każdego draństwa, byle grosz wyciągnąć.

– On jest bogaty, nie potrzebuje cudzego.

– Czym się zajmuje?

– Sprowadza naftę – mówi dla spokoju Babki.

Naprawdę nie wie, co robi Hassan. Nigdy nie wypytywała, nawet nie czuła takiej potrzeby. On jak prawdziwy dżentelmen nie miesza uczucia z interesami, podczas spotkań nie mówi o zarobkach. O prawdziwych dżentelmenach Anielka wie z książek, nie ma żadnych wątpliwości, Hassan jest takim dżentelmenem z najlepszej literatury, a naftę wywiodła z ich pierwszej rozmowy w staromiejskiej kawiarni i dość rozpowszechnionego przekonania o źródłach bogactwa nacji Bliskiego Wschodu.

Hassan przychodzi na niedzielny obiad, przynosi bukiet róż, srebrną broszę z turkusem dla Babki, karton pall-malli dla Teki i pierścionek Anielce. Teko od początku swojego nieszczęścia nie pali, Babka konfiskuje upominek, jeszcze tylko brakuje, aby Teko znowu zasmakował w tytoniu, a jak się sprzeda, będzie ładny grosz. Ale czy w takich ilościach daje prezenty prawdziwy dżentelmen, jak o nim twierdzi Anielka. Babka ma swoją miarę. Lepsze państwo z przedwojennej Kolonii. Nie przypomina sobie podobnego sposobu bycia.

Dorobkiewicz, nuworysz – ocenia Babka, ale też przyznaje, na Kolonii w tamtych czasach nikt nie widział prawdziwego Araba, poza domokrażcą oferującym oryginalne perskie dywany. Dywany były podrabiane. Lepsze państwo znało się na kobiercach, pewno i Arab był podrabiany. Bóg z nim. Od tamtego czasu minęło, dziękować Bogu, ponad pięćdziesiąt lat i wszystko wokół się zmieniło. A teraz, kiedy taka bieda, on nie przyniósł jedzenia... ludzie przychodzą na prośzone częstowanie z praktyczną żywnościową rekompensatą, zamiast bukietów albo mimo bukietów, żeby zapraszającego nie ubiednić. Ale nie przynoszą turkusów i brylantów. Może ten cudzoziemiec stosuje się do zwyczaju na swój sposób i nie ma co nosem kręcić, że niewychowany.

Rozważywszy wszystko, Babka nie ma za złe Hassanowi nazbyt rzeczowych suwenirów, lecz nie udaje jej się niczego wywiedzieć o źródłach jego zamożności. Wie, co się gościowi należy, i nie wypytuje, zresztą na niewiele by się zdało, cudzoziemiec słabo mówi po polsku. Może nawet więcej rozumie, ale się nie wydaje – podejrzewa Babka.

Gdy już siedzą przy stole, a jeszcze nie zaczęli jeść, Hassan zakłada Anielce na palec pierścionek z przejrzystym kamieniem dużym jak ziarno fasoli piechotki.

Oko z przejrzystego lodu łamiąc światło sieje błyski w kolorze tęczy. Jakby brylant oprawny w platynę. Babce nie chce się wierzyć. Może być górski kryształ albo cyrkonia od Tomphsona, o czym nasłuchiwała się reklam w telewizji. Wieczorem sprawdza kamień na szybie, szkło płacze pod jego uciskiem, pozostawia matową rysę, a na nim żadnej skazy, oprawa nosi kruszcową próbę.

Babka podaje, usługuje, zachęca, nie przeoczy niczego, co robi obcy. Mahometanin, a wódkę pije, prawda – z umiarem. Może nie zajadły fundamentalista. Babka wie, im wiara zabrania alkoholu. Jeśli już musi być mahometanin, przynajmniej niechby była ta korzyść, że nie trunkowy. Widać nasze opoje już go zdążyły przyuczyć. Gdy się pobiorą z Anielką, trzeba będzie gonić złe towarzystwo. Pobiorą! Pierwsze koty za płoty. Da Bóg, słomiany ogień, po nim, jak po wiechciu, garść popiołu.

Na ciasto i herbatę przychodzi Dobra pani z mężem, tak się umówili. Anielka przedstawia Hassana, chciwie szuka zachwyty na twarzach. Nie znajduje ani na wstępie, ani później.

Rozmowa toczy się wyboiście, Hassan demonstruje nie okazywaną dotychczas rezerwę, nagle tknięty szczególną amnezją wyraźnie kryje się za rzekomą nieznaną języcznym.

– Do you speak English? – dowiadyuje się inżynier, mąż Dobrej pani.

Hassan potwierdza, ale nie jest pewne, czy sam rozumie swój angielski, w każdym razie jego angielski i angielski inżyniera to dwa różne języki. Poza tym nie przejawia cienia dobrej woli w nawiązaniu kontaktu i żegna się niebawem po przyjściu Dobrego państwa, pozostawiając nie dojeżdżony sernik. Zdruzgotana Anielka odprowadza go do przedpokoju.

– Co się stało?

– Nic. Wracaj do gości.

Nastrój jest zwarzony, mąż Dobrej pani także odchodzi. Dobra pani czuje się winna.

– Nie mam zdania. Hermetyczny – robi unik nagabywana przez Babkę. Nie chce martwić Anielki i nie chce kłamać. Pierwsze wrażenie bywa omyłne. I co na dobrą sprawę można powiedzieć o człowieku nie zamieniwszy z nim słowa.

Anielka i tak wie. Hassan nie podobał się Dobrej pani. Babka nie bardzo może się połąpać w swoich odczuciach. Mahometanin. Pośród kilkudziesięciu milionów katolików Anielka musiała trafić właśnie na szyitę czy sunnitę. Trudno. Można przeżyć, chociaż Babce marzył się ślub w kościele z czerwonym chodnikiem od kruchty po ołtarz, w blasku wszystkich świec z klęcznikiem dla młodych i Veni Creator, i marsz weselny. Ślub za jej młodości nazywany rzymskim, jakiego sama nie miała.

Z marzeniem gotowa się pożegnać, bez goryczy i bez zgrozy pomyśleć o Anielce jako żonie mężczyzny innego wyznania. Dość dawno zaczęła podejrzewać, że Bóg jest i tak jeden, tylko na różne sposoby ludzie oddają mu cześć. Więc umie sobie wyobrazić nawet mużułmańskie prawniki, a mimo całą zgodę na tę odmiennność, trawi ją niepokój. Ten Hassan jakiś za ładny i nie wiadomo z czego żyje, skąd ma pieniądze na markowy samochód, kosztowne prezenty. No i ta niechęć, prawie wrogość, do Dobrego państwa, ten strój.

– Żeby się mężczyzna obwieszał tombakami.

– Nie tombaki, tylko złoto – broni Anielka. Też wołałaby Hassana noszącego się mniej pozłociście, prawdziwie elegancki mężczyzna nie powinien błyszczeć i dzwonić niczym cyrkowy koń. Ma zamiar taktownie odzwyczajając Hassana od nadmiaru biżuterii, będzie wpływać delikatnie, z poszanowaniem różnicy kultur, obyczajów, środowiska. Anielka nie wie o pochodzeniu, kulturze, obyczaju, środowisku Hassana.

Już zupełnie bez podstaw, bezwiednie zapożyczając z romansowych wzorców, wymyśliła Hassanowi zalety charakteru. Prawość, dumę, honor i w ogóle bogate wnętrze, urządzone najlepszymi właściwościami.

– Masz może siostrę albo kuzynkę? Przypominasz dziewczynę, którą kiedyś znałem.

– Nie mam ani siostry, ani krewnej. Jestem jedyna, niepowtarzalna.

Anielki nie niepokoi wspomnienie jakiejś dziewczyny. Odeszła wraz z minionym czasem. Dzień dzisiejszy, przyszłość należy do niej, Anielki.

Częściej wymieniają uściski niż słowa. Hassan ma trudności z polskim, Anielka nie zna języka Hassana, niewiele służy niemiecki, w którym wprawdzie zrobiła znaczne postępy, lecz którego Hassan nie opanował na tyle, aby swobodnie rozmawiać. Anielka i tak wie swoje, Hassan jest wspaniały. Z niezmaconym przekonaniem śni pośród swobody, jaką dają pieniądze w ustroniach nocnych lokali, w odosobnieniu zbytkownego domu, o którym Anielka nawet nie pomyśli, do kogo należy.

Lubi wieczory w tym domu pełnym obrazów, antycznych mebli, dywanów z prawdziwym kominkiem, nie z elektroniczną iluzją jak w salonie na Grünewaldzie.

Wyspa. Poza resztą świata, tylko oni. Wszystko inne może jeszcze jest, może zniknęło za kotarami zasłaniającymi okna i parkanem otaczającym ogród. Nic nie przeszkadza miłości, nawet telefon. Dźwięczy gdzieś czasami, rozmowy rejestruje taśma. Przy Anielce Hassan nigdy nie jest ciekawy, co utrwaliły mikroprocesory sztucznej pamięci.

Oboje pragną odludzia, uciekają w prywatność. Anielka bawi się w gospodarstwo. Nie umie gotować. U Dobrych pań zajmowała się wszystkim, tylko nie przyrządzaniem potraw, w domu kuchnia stanowiła dziedzinę Babki.

– Po kolację telefonuje się do *Holiday Inn* albo do *Polonii* – Hassan nie przywiązuje wagi do braku kulinarnych doświadczeń Anielki i bez protestów zjada jej popisowe dania, parówki z musztardą, jajecznicę lub zapiekankę z serem.

Anielkę ponosi ambicja. Od ulicznego bukinisty kupuje grubą księgę kucharską. Jest nie tylko gruba, jest stara: weź trzy funty mąki, mendel jaj... wyskrobki zaczyn mlekiem, dodaj... upiecz kołacz dla służby. Anielka gubi się pośród meandrów niedzisiejszych miar i traci serce dla nauk wytwornej kuchni. Nie może jednak stracić twarzy. Będzie robiła wyrafinowane potrawy.

– Nie będzie – sprzeciwią się Hassan. Nie życzy sobie garów rujnujących czas i paznokcie.

Pozostają przy parówkach i zapiekankach tym łatwiej, że z zapasami mieszczącymi się w lodówce mogą przetrwać nawet obłączenie. Hassan dobywa z czeluści agregatu, co mu wpadnie w ręce, ustawia na stoliku w pobliżu łóżka rozległego niczym kort tenisowy. Właściwie oni mieszkają na tym łóżku.

Ustaje czas. Istnieją tylko oni. Razem byli od zawsze, są i będą. Anielka już nie wierzy w lata minione bez Niego. Niemożliwe. Jak mogła żyć? Nie wszystko jednak z tamtego życia powierza Hassanowi. Wybór dokonuje się jakby poza świadomością, bez wyrachowania, lecz wiele z prawdziwej Anielki ukrywa się w niewypowiedzianym. Także w niewypowiedzianym zostało pogrzebane zjawisko zza szyby w zielonym pasażu. Czymkolwiek było, zamknęła je w myślach. Opowiadając Hassanowi o berlińskiej egzystencji, nie wspomniała wydarzenia nierzeczywistego jak odległy sen. Tak dotychczas broniło się zachwiane poczucie wartości, miłość własna, teraz dołączyła obawa. Nie stracić w oczach mężczyzny, pozostać trochę zagadkową Evi Kovars, dziewczyną sukcesu, pozostającą z racji zawodu za klauzurą posiadłości na Grünewaldzie.

Czy na jawie mogło się dzieć coś podobnego?

Cephalotus otworzył welurowe płatki kwiatu barwy najciemniejszej czerwieni, rozeszła się przenikliwa woń, roślina wydzieliła enzym trawienny, zniknął zbłąkany żuk. Anielka odsunęła kotarę, po drugiej stronie dębowej kratownicy oszklonej kryształem, zamiast spodziewanej bliźniaczej portiery z oliwkowego aksamitu, zobaczyła replikę swojej twarzy. Może porządek wydarzeń był odwrotny, najpierw kanibal pożarł owada, potem ukazał się fantom.

Co to było? Halucynacja, omam, zamroczenie? Co zobaczyła naprawdę? Osobę, zwid z odurzenia wyziewami mięsożernej rośliny, własne oblicze powtórzone przez lustro znajdujące się za tamtymi drzwiami?

Później przed tremem ćwiczyła gest zjawy. Obracała twarz en trois quarts do patrzącego w różnych oświetleniach, jej włosy wyglądały jak kępki szczeciny miejscami wyrosłe na nagiej czaszce, żadne zagęszczenie cienia nie łudziło szalem z muślinu spowijającym głowę po ramiona Z brzegiem przerzuconym do tyłu.

Przestała sobie wmawiać zwierciadlane odbicie. Jeśli nawet po przeciwnej stronie oszklonej kratownicy było lustro, widziała w nim nie własną replikę, tylko żywą istotę, podobną do niej jak powielone dzieło sztuki.

Jak to możliwe – człowiek jest niepowtarzalny – nieledwie za ścianą żyła moja kopia – zgroza – skąd się tam wzięła.

Szalona z opowieści Helmi. Ależ tak, Szalona! Podpatrzyła Anielkę i kunsztem makijażu stworzyła twarz na jej obraz i podobieństwo.

Czy odwrotnie? Czy to nie Anielka, z natury już bardzo podobna do Szalonej, z pomocą niewielkich retuszy została uformowana według oryginału, prawdziwej Evi Kovars.

Nie – straszne – niemożliwe – po co.

Aby podtrzymać legendę pierwowzoru, który ma imię głośne, ugruntowaną pozycję, wciąż doskonale się sprzedaje, lecz nie jest już zdolny pozować do żadnej fotografii z kryzą sinych liszai i bezwłosymi łatami na głowie.

Co jej się stało?

Nie mogła pogodzić się z taką interpretacją, raniła. Cierpiała miłość własna. Zginęła Wielka Gwiazda, Anielka. Jaka tam gwiazda, skoro nie była nawet samodzielną foto-girl, jedynie ukrywanym odbiciem, pracującym na cudzy rachunek, dzięki przypadkowemu podobieństwu.

Nie zaznała spokoju.

Poszła śladem Helmi do Turka na Kreuzbergu tropić inne, wcześniejsze kadry z czasów, zanim stanęła przed kamerą Haniga.

– Pisma sprzed dwóch lat? U mnie nie wytrzymują tak długo. Po kilku tygodniach są w strzępach – wyjaśnił Anatolijczyk w narzeczu turecko-polsko-niemieckim.

Z ulgą opuściła Kreuzberg, już nie chciała podpatrywać, tropić, zakradać się do oranżerii. Z jakiej racji zagląda we wczorajszy dzień. Nikt nie obiecywał Bulwaru Zachodzącego Słońca, tylko określony procent za określone warunki. Nie może przez przewidzenie narażać się Hanigowi. Tak, przewidzenie. Zjawisko trwało, jeśli w ogóle trwało, krócej niż chwilę, sekundy potrzebne cephalotusowi na zamknięcie w kielichu zbląkanego żuka.

Uparcie broni resztek złudzeń. Wie o tym, chociaż nie chce wiedzieć i nawet jej się

udaje. W opowieści dla Hassana znowu jest niepowtarzalną Evi Kovars, foto-girl odkrytą pod Victorią przez fotografika, nie żaden trzymany w ukryciu żywy manekin, sprzedający podobieństwo.

– Tutaj za zdjęcia na eksport możesz mieć pieniądze większe niż w Berlinie, chcesz?

– Bardzo! – jeszcze by nie. Pełnia szczęścia. Znika z mora rozstania lub utraty zarobków.

– Załatwione – przyrzekł Hassan i wreszcie zgodził się przyjść do nich, czego dotychczas uparcie odmawiał, ale znikł po wizycie i tylko bezlitosny automat w niedostępnej willi rejestrował jej telefony.

Znowu przebiegała restauracje, kawiarnie, salony recepcyjne śródmiejskich hoteli. Już rozpoznawali ją portierzy.

– Do kogo? – zapytał jeden z nich.

Dziewczyna z bezdrzewnych kart najdroższych magazynów, z brylantem na serdecznym palcu, lekkim ruchem dłoni jakby strzepywała powietrze, nie dotykając, odsuwa ze swojej drogi odźwiernego w galonach, przechodzi mimo nie zaszczyciwszy spojrzeniem.

– Znamy ten pierścień, nie? Widywaliśmy, widywali – głośno zauważa druga liberia, porozumiewawczo uśmiechając się do kolegi.

Zniechęcona wlecze się do domu. Inaczej widzi miasto. Szare domy w lizajach złuszczonej tynków, smog wżarty w okładziny z piaskowca, okna zaciągnięte brudem, krzywe chodniki z poszczerbionymi płytami, w powietrzu wszechobecny kurz i stężona nieżyczliwość. O byle co kłótnie niczym pożary, ludzie jak odarci ze skóry, każde dotknięcie sprawia ból, są zmęczeni.

– Pierwsze koty za płoty – cieszy się Babka i dzieli nowiną z pierwszą Dobrą panią. Dur Anielki jeszcze nie minął, ale dziewczyna zaczęła wracać do domu nie świtaniem tylko normalnie. Jeszcze cierpi, chodzi jak nieżywa. I odwieczne pytanie, co ona w nim widzi.

– Nawet Tytania pokochała osła – mówi do swoich myśli Dobra pani.

– Życiowy ten Szekspir – chwali Babka.

Dobrej pani okrągłej oczy. Babce pochlebia jej zdumienie. Odkąd Anielka dobrze zarabia, Babka ma więcej czasu, telewizję ogląda od deski do deski. Ręce zajmie szydełkiem albo haftem, igłę wkuje, dziergnie ściąg, spojrzy na ekran. Takim sposobem nie takie rzeczy przetrzymała.

Hassan pojawia się niespodzianie, kiedy Anielka straciła już nadzieję.

– Szukałam cię każdego dnia – odzyskuje słońce za oknem, chociaż w narożnej kawiarni w Słupie Marriotta nie widać nieba.

– Mnie nie można odnaleźć, gdy nie chcę.

– Dlaczego nie chciałeś?

– Nie jestem koniem na sprzedaż. Sprowadziłaś ludzi, jak na targu zagłądali w zęby. Czy znam taką, inną mowę, może pasłem wielbłądy, a udaję gościa po Oksfordzie. Obrazili mnie.

– Nie mieli takich intencji.

– U nas daje się prezenty narzeczonej. Dałem prezent. Jesteś moją dziewczyną, dzisiaj zabierzesz się z domu, zostaniesz ze mną.

– Możemy zamieszkać u Babki.

– U nas mężczyzna nie idzie do domu kobiety. Poza tym, przy mojej pozycji, wykluczone. I nie chcę żyć kątem, zaraz pojedziesz i wyprowadzisz się od niej.

– Nie mogę tak nagle. Ona musi się oswoić. Powinam dać jej trochę czasu. Ona mnie kocha. Ona mnie wychowała, ma tylko mnie. Nie wolno jej tak porzucić.

– Będiesz ją widywała, kiedy zechcesz. Nic się nie zmieni poza adresem – przygląda się bliskiej płaczu Anielce. – Widzisz, jak trudno się porozumieć? Mówisz: Kocham, a chcesz rządzić mężczyzną. Dobrze. Zrobisz, jak uważasz. Dzisiaj czekam. Później, gdy się namyślisz, zadzwoń.

– Zrozum, nie mogę zostawić psa!

– Nie mogę tego, nie mogę tamtego, ty nikogo nie możesz zostawić, tylko mnie możesz zostawić. Ja jestem ostatni, dopiero za psem. Więc zostaw.

– To bardzo silne zwierzę, Babce z nim ciężko.

– Mnie nie wolno mieć czworonogów ani żadnych innych. Nawet kanarka. Zastrzeżone w umowie najmu. Kiedy wyszukam właściwy lokal, zabierzesz psa i kogo będziesz chciała.

Przed hotelem portier w wybluszczonej liberii uśmiecha się do Hassana, przywołuje taksówkę. Hassan otwiera przed Anielką drzwiczki.

– Dzisiaj czekam – powtarza Hassan i daje znak szoferowi.

Anielka najbardziej się boi ponownej utraty kontaktu, spogląda przez tylną szybę, dopóki widoku mężczyzny nie zabierze ulica. Dręczą ją sprzeczne doznania. Czułość, oddanie, tęsknota za Nim, poczucie zdrady wobec Babki i Teka, winy za cierpienie, jakie im zada, i żal do nich w przewidywaniu, że nie ułatwią rozstania, nie oszczędzą udziału w swoim bólu. Boże! Jakaż jest biedna – współczuje sobie i nie jest pewna, czy zdoła zadać cios Babce, bo w miarę oddalania od Hassana wzrasta siła wpływu tamtych dwojga.

– Zamieszkać z Hassanem – tnie, gdy tylko weszła, niechaj najgorsze już będzie poza

nią. – Sama mówiłaś, taka jest kolej rzeczy.

– Mówiłam. Jednak człowiek musi się oswoić ze stratą, bo nie przywyknie nigdy. Powiadasz, zamieszkamy. Tak bez niczego? Znaczący sakramentu nie będzie. Lepszy bodaj w meczecie niż żaden.

– Babko, okropnie mi trudno, nie utrudniaj jeszcze bardziej.

– A mnie gorzko, przed ludźmi wstyd. Psie wesele. I nie mam serca do takiego małżeństwa – nie małżeństwa. Boję się o ciebie. Cóż to za mężczyzna, jaki towarzysz na złe i dobre, co nawet z tobą nie przyszedł, żeby cię zabrać od rodziny i chociaż słowo powiedzieć.

– Sama nie chciałam – kłamie Anielka.

– Nie daj Boże oskubie, obłupi i zostawi jak śmieć. Mało się takich po świecie ciąga, panów udaje.

– Nie obrażaj go, nic o nim nie wiesz – twarz Anielki jak z lodu i milczenie jak bryła lodu.

Babka wie, nie wolno tknąć złym słowem mężczyzny zamkniętej w durze jak w pęcherzu, a wbrew swojej wiedzy nie może powstrzymać ostrych słów, chociaż i tak się powściąga.

– O jedno proszę, nie wspominaj o zasobach, przynajmniej pokąd nie rozeznasz się w sytuacji – Babka wciąż jeszcze sprawuje kontrolę, bez jej zgody Anielka nie może podjąć z konta ani grosza, dopóki nie skończy osiemnastu lat.

Boże, jaka wyrachowana – stara chciwa kobieta – jestem dla niej dodatkiem do pieniędzy – po raz pierwszy w życiu tak widzi Babkę, jakby jej się oczy otworzyły. To nowe odkrycie, chociaż dotkliwe, nie boli, budzi uczucie niedobrego triumfu, ułatwia rozstanie.

– Spakujmy wyprawę.

– Niechaj zostanie. Zabiorę, gdy osiadziemy na swoim. Nie mogę też zabrać Bryśka. Pomóż, niechaj u was pomieszka, zanim się nie urządzimy. Proszę.

Pies leży przy Anielce, w miarę jak ona rozporządza jego losem, podnosi się, drecze, wydaje urywany głos, jeszcze nie wycia, lecz już coś bardzo bliskiego.

Zwyczajna Anielka stłamszona przez Anielkę zakochaną, nie daje się jednak całkiem zniszczyć, na tym nieważnym marginesie, dokąd została zepchnięta, nie wierzy w inny dom Hassana. Wie, na wodzie pisane obietnice, i wciąż czuje się winna. Dlaczego! To oni dręczą. Ich nie wypowiedziane pretensje, troska, żądanie miłości, jedynie słuszna wiedza, jak powinna żyć. Wampiry! Nie da się pożyć. Nie złoży im siebie w ofierze. To jej życie. Drugiego mieć nie będzie.

– Nawet pies niczego nie oszczędzi – Anielka walczy ze łzami i okrutnym, bliskim

nienawiści zniechęceniem do wszystkich.

– Możecie tu zamieszkać. My z Tekiem przeniesiemy się do mniejszego pokoju.

– Interesy Hassana wymagają oprawy. Zejście poniżej określonego standardu grozi utratą zaufania klientów – dotychczas nie spotkała ani jednej osoby mającej sprawę do Hassana, co nie przeszkadza w powtarzaniu jego argumentów.

– Więc pokłoń się domowi, dziecko, i z Bogiem – przestaje walczyć Babka i już tylko uroczystym akcentem chce zaznaczyć odejście wnuczki. Przypomniała sobie swoje pożegnanie. W białym welonie, przystrojonym mirtem, uklękła przed rodzicami, a gdy podniosła się z kolan, nisko skłoniła się każdej z czterech ścian izby.

Anielka nie zna dawnego obyczaju z czasów, gdy Dzielnica była wsią. Ślubu też nie bierze, Babka nie miała okazji przygotować jej do obrzędku. I matki nie ma, i nie wiadomo, czy ojciec rozumiałby zachowanie córki, i nie dom ma, tylko adres. Może dlatego nie przychodzi Anielce do głowy żaden gest wobec mieszkania. Obejmuje Babkę.

– Pamiętaj, tutaj jesteś u siebie. Zawsze – Babka kreśli w powietrzu krzyżyk nad jej głową.

Anielka omija ką, gdzie pies jeszcze ma nadzieję, i nie chce myśleć o Teku śpiącym za ścianą. Ucieka i śpieszy ku swemu szczęściu. Będą razem. Jedynie to się liczy. Warto każdej ofiary. Jakiej ofiary? Tylko Babka urządziła ponure rozstanie, jakby już nigdy nie miała Anielki zobaczyć. Będą się widywać. I jak płomień bucha radość. Niedługo już zawsze z Hassanem. Na zawsze! W miarę oddalania się od rodziny rośnie strefa wpływu Hassana.

Babkę dręczy niedobre przecucie, żeby przecucie! Ma złą pewność klęski anielczynej miłości. Łaje siebie za mroczne wieszczanie, aby samo uporczywe przekonanie nie ściągnęło biedy, lecz nie może. Chociaż nic nie powiedziała synowi, Teko niespokojny, wyczuwa nastrój matki. Osowiały pies leży pod progiem.

Anielka przychodzi prędzej, niż Babka się spodziewała. Wyraz jej twarzy taki sam jak przed zawiadomieniem o odejściu z domu. Babka już wie, nie przygnała Anielki tęsknota, przyszła po pieniądze.

– Wchodzę do spółki – mówi Anielka.

– Będziesz sprowadzała naftę?

– Coś w tym rodzaju – dokładnie nie wie, w jaki sposób rozmnożą się jej pieniądze. W tym głowa Hassana. Zdziwił się, że nie pomyślała o wydruku komputerowym stanu konta. Pieniądze z zastrzeżeniem, niezbędny podpis Babki, Anielka niepełnoletnia i dotychczas nawet o tym nie wspomniała? To bardzo komplikuje sprawę. Zorganizował sprzęt, fotografika i w ogóle wszystko, co potrzeba, wyłożył własną gotówkę, teraz potrzebuje do obrotu. Jego

pieniądze nie leżą, pracują, nieczynne nie zarabiają, czyli tracą. A jeśli Babka nie wyrazi zgody?

– Źle robisz, dziecko, bardzo źle, okradasz siebie – bez nadziei upomina Babka.

– Ubierz się. Jedziemy do banku. Czekam – żąda obca, daleka Anielka.

– On cię uzależni, zmarnuje życie.

– To moje życie, Babko – mówi twardo Anielka i nie ma żadnej czułości dla tej starej kobiety, która nic nie wie o największym uczuciu od czasów Abelarda i Heloizy. Anielka ma serce tylko dla Hassana, niechaj nikt nie śmie przeszkadzać.

Babka milknie. Tylko nie daje się zaprowadzić do okienka. Czek podpisuje u dyrektora. Anielka z rozdartą duszą wybiera połowę sumy, drugą każe przepisać na wyłączność Babki, tak żeby sama nie wiem jak pełnoletnia nie mogła już niczego stamtąd zabrać.

Więcej Babka nie pozwoliła podjąć – pomyślała Anielka pierwsze kłamstwo przeciw Hassanowi. Oni, jej bliscy, nie mogą głodować, kategoryczny nakaz tkwi w Anielce jak kod. Już tylko tyle.

11.

Kratery z Bizancjum ustawione za kryształową szybą serwantki z czasów Ludwika Filipa przyciągały uwagę.

– Kopia, ale tak wierna i tak stara, że od dawna jest odrębną wartością – objaśnił antykwariusz.

Nie znałam się na antykach, prędko jednak ujawnił się we mnie snobizm, chęć uchodzenia za osobę obdarzoną wyrafinowanym smakiem. Zaprażyłam dóbr cenionych przez Świat.

Bardzo chciałam zapomnieć o przeszłości, bardzo chciałam podkreślić sukces, o jakim nigdy nawet nie zamarzyłam. Dzieła rzadkie, kosztowne, odmienne od innych, wyróżniały podkreślając pozycję lepiej niż konto, którego nie można powiesić na ścianie czy postawić w serwantce.

Pod wpływem Lothara nabyłam ciekawości do antyków, odkrywając uroki lokaty korzystniejszej od pieniędzy w banku czy nawet od obracania tymi pieniędzmi, do czego nie miałam talentu ani przygotowania.

Zaczęłam inwestować w starocie. Mój antykwariusz znał się na swoim fachu, był uczciwy. Zadomowiłam się tutaj prędko. Imponowało, że stać mnie na salon sztuki, którego klientami i przyjaciółmi szefa były elity polityczne, przemysłowe, bankierskie.

– Wschodnie cesarstwo... – Szef pofatygował się do mnie osobiście. Siwowłosa, dostojny, w czarnym surducie i vootermoderze z czarnym krawatem zawiązanym w motylka. Usłyszałam o epoce, cechach przedmiotu, stylu.

Ornament pokrywał gęsto obły kształt. Cienkie, głębokie żłobiny cyzelowania jaśniały srebrem na grubo złoconej, wypolerowanej powierzchni. Owalnie szlifowane opale umieszczone wieńcami na ściankach czary i rozecie podstawy wydzielały lśnienie. Wewnątrz gładkie, tylko dno zdobiła odpowiednio pomniejszona replika podstawy.

– Piękne.

– Niezwykłe pod każdym względem – antykwariusz podniósł kielich za nóżkę, obrócił w palcach i w tej chwili owa rozeta w środku czary rozdzieliła się na kilka części, odsłaniając drugie dno zgodnie z rytami wyznaczającymi krawędzie liści.

– Schowek! Ale co w nim można ukryć, zawartość dużego naparstka.

– Truciznę – fałszywe dno się zamknęło, zwał rysunek liści rozłożonych promieniście od środka ku ścianie czary. Znowu nic nie zdradzało tajemnicy.

Z siedmiu sztuk tylko jeden miał zwyczajne dno. Odróżniał się chropawą szczerbiną na gładziźnie kaboszona, uszkodzeniem niewidocznym, zwłaszcza dla kogoś, kto brał do ręki kielichy po raz pierwszy.

Przeznaczony dla truciciela – pomyślałam.

W pozostałych sześciu podstępna rozetę uruchamiało odpowiednie ugięcie trzech opali podstawy, po zwolnieniu nacisku wszystko wracało do pozycji wyjściowej. Żłobiny wzoru na zewnątrz jak i wewnątrz puncowane gęsto i drobno, niczym nakłucia szpilką, stwarzały dodatkowy efekt, przydając wyrazistości ornamentowi. I tylko w środku kielicha niektóre ślady puncy maskowały mikroskopijne otworki, któredy przenikał napój i mieszał się z zawartością podwójnego dna.

Kazałam przysłać bizantyjskie kratery.

Od antykwariusza wyszłam podniesiona na duchu, nastrój przetrzącała pierwsza mijana trafika. Na okładkach, rozkładówkach moich pism panoszyła się Ona.

Pierwsze serwisy rozpowszechnianych zdjęć z sobowtorem uszły uwadze, nie rozpoznałam obcej zasugerowana przewrotnym żądaniem Lothara aprobaty na wykorzystanie fotogramów odrzuconych w poprzednich selekcjach. W końcu wyraziłam zgodę naiwnie wierząc we wskreszenie nie zakwalifikowanych negatywów.

Uwierzyłam, bo chciałam uwierzyć. Akurat Hanig, zaciekły perfekcjonista, pozwoliłby wyciągnąć z katakumbów raz odrzucone kadry.

A Lothar? Każde obniżenie poziomu godziło w firmę, w jego konto, psuło opinię niełatwą do odrobienia. Przed nim był doroczny jesienny salon de'Lescara, promował nierozzerwalnie fotografika i modelkę.

Lothar wyciągnął mnie ze ścieku nie z litości, nie z humanitarnej troski, nawet nie dlatego, że spodobałam się jako kobieta, to przyszło później. Wówczas, tamtego wieczoru w *Calypso*, jego siódmy zmysł, znawstwo czy intuicja powiedziały mu o mnie coś, czego sama nawet nie przeczuwałam.

Lothar miał pieniądze i znał się na swojej sztuce, weszłam na tę szczególną scenę w pełnym świetle jupiterów, jeśli tak można powiedzieć, w barwach liczącej się firmy. Reszta to jednak byłam ja i niewątpliwy kunszt Haniga.

Zdobyłam rozgłos, prędko znalazłam się w czołówce zawodu, pośród najlepiej opłacanych foto-girls na świecie. Wielu menadżerów chciało mnie od Lothara odkupić.

Pierwsi złożyli ofertę Japończycy. Ja oglądałam Tokio. Zdziwiły mnie wystawowe lale z europejskimi twarzami i piękne japońskie dziewczyny nie wiadomo po co poddające się zabiegowi usuwania z powiek mongolskiej fałdy.

Nie byłam na sprzedaż. Czasami tylko wypożyczana. Rzadko, wyłącznie najlepszym, za duże pieniądze, z których zawsze wpływał na mój rachunek godziwy udział. Prezentowałam futra, suknie, kosmetyki, biżuterię, porcelanę, samochody, wina, meble, domy, zaludniałam stronice pism bez reklamowych rekwizytów. Ale gdy wreszcie przysłano zaproszenie na jesienny salon de'Lescara, Lunze nawet o nim nie wspomniał. Dawno mnie skreślił. Jednak nikogo zamiast mnie nie mogli wysłać. De'Lescar zapraszał modelkę imiennie. Lothar z ubolewaniem odmówił z powodu niedyspozycji swojej foto-girlsy. Zaproszenie pozostawało ważne na następny rok.

Nie byłam chora, może tylko miałam trochę kłopotów z moim Ono. Ale włosy jeszcze nie ucierpiały za bardzo. Nie wiem, co Lothar sobie myślał. Sądził, że pozostaną nieświadoma pozbawienia mnie salonu de'Lescara, skoro naszą nieobecność w Paryżu obębniła większość gazet, że nigdy nie dowiem się o dublerce zaangażowanej w następnym sezonie, chociaż jej zdjęcia wypełniły moje miejsce? Czy aż tak można zastąpić jednego człowieka drugim? I nikt nie zauważy? Ta czy inna ładna twarz, proporcjonalne ciało, profesjonalny wdzięk. I magia kamery w rękach takiego majstra jak Hanig.

Poraziło jednak jej podobieństwo. Czułam się obrażona. Moja pracownia, moje mieszkanie, cały wypieszczony pawilon służyły tylko sobowtórowi, a nie foto-dziewczynom. Na takie rozwiązanie nie byłam przygotowana, w ogóle nie przyszło na myśl.

Zjawisko. Niezastąpiona. Niepowtarzalna. Osobowość. Promocyjne dyrdymały, w które niegdyś bezkrytycznie wierzyłam. Wszystko z dnia na dzień, bez mojego udziału, zostało przeniesione na jakąś dziewczynę wynalezioną nie wiadomo gdzie. Dostałam furii, kiedy po kolejnych ograniczeniach stwierdziłam, że zamknięto przede mną jedno ze skrzydeł oranżerii, chociaż po tamtej stronie pracował zaufany człowiek. Ledwo doczekałam nocy, żeby napaść na Milo.

– Dlaczego mnie nie uprzedziłaś?! Ty, ty kobietonomie, ty próbna stworo z zoologu Pana Boga!

– Cicho bądź, chcesz koniecznie skandalu!

– Przepraszam, Milo. Uniosłam się. Przeżyłam straszny szok.

– Miałam mówić, żebyś się zjadała od środka?

– Dowiedziałam się bez twojej pomocy.

– I co, lepiej ci?

– Milo, komu w końcu sprzyjasz, kto cię zaangażował? Musisz zdobyć dla mnie klucze od szklarni i pawilonu.

– Nawet mnie nie proś. Nie dostaniesz.

– To moja posiadłość!

– Twoja i sprawa między tobą a Lunzem. Mnie do Anielki najął Hanig. Mogę dla ciebie ukraść fotogramy, tak było umówione, dawać sprawozdania dzień po dniu, ale żadnych kluczy! Taka przysługa śmierdzi kryminałem, jeszcze mi tylko brakuje niemieckiej ciupy.

– Postaram się o nie bez twojej pomocy.

– Jeśli spróbujesz skrzywdzić dziewczynę, skręcę ci kark jak wściekłej kurze i nic mi w tym nie przeszkodzi. Zapamiętaj.

Zaniemówiłam. Takiej Milo nie znałam.

– Co za pomysł. Kto tu mówi głupstwa.

– Ziejesz nienawiścią. Mnie płacą za opiekę, a ona jest w porządku, nikomu nie szkodzi.

– Nie zapominaj, wszystko o tobie wiem, Milo.

– Pocałuj mnie, wiesz gdzie. Szantaż ma swoje granice. Jeśli jeszcze raz usłyszę, odchodzę i nigdy więcej mnie nie zobaczysz.

– Daruj, Milo. Jestem okropnie nieszczęśliwa.

– A kto jest szczęśliwy? Może ona jak pies w obroży twojej legendy, opłacana byle jak, albo ja w roli żandarma, kuchty i donosiciela.

– Ty ją lubisz, Milo?

– Nic złego mi nie zrobiła, ani tobie. I nie ma o układach pojęcia. Pracuje na twoją sławę. Kiedy wyleczysz parcha, znajdziesz miejsce na pierwszych stronach jak je zostawiłaś. Czy to źle? Stuknij się w głowę i zaprzestań brewerii, bo oni cię w końcu wsadzą do czubów.

– Skąd wiesz?

– Tak myślę.

Chyba nie znała całej prawdy. Kto jej miał powiedzieć, przecież nie Hanig, ani tym bardziej Lunze, o moich neuronach w gleju jak chore kalafiory.

– Zwróciłaś uwagę na karmnik dla ptaków w krzewach forsycji pod willą? – Tak Milo nazywała dom pod attyką w odróżnieniu od pawilonów.

– No wiesz! Pamiętam o każdym drobiazgu nie tylko pod moim nosem, także w najdalszym zakątku parku, ale co ma piernik do Kopernika?

– W tym karmniku robiłam drugi spód. Szczelinę między płaszczyznami maskuje ruchoma listwa. Będzie naszą skrzynką pocztową. Jeśli zechcesz mnie widzieć, zostaw tam

kartkę, może być nawet kawałek nie zapisanego papieru. Codziennie wieczorem robię obchód parku po naszej stronie, codziennie zajrzę do skrytki i przyjdę na każdy twój znak. Bezpieczniejsze niż nachodzenie mojej służbówki.

– Zgoda – dla mnie płot był nie do przebycia. Żeby się dostać do Milo, musiałam okrążyć olbrzymi sektor i dzwonić do bramy.

Potwierdziła się okrutna pewność. Lunze ze mnie zrezygnował. Zamknął w nie wyremontowanym domu pod attyką. W pawilonie, w moim wypieszczonym mieszkaniu panoszył się sobowtór, który tylko patrzeć zajmie moje miejsce na stałe. Mnie grzebią powoli, dzień po dniu, każdą czynnością izolującą od zawodu, od dorobku sypią grudę na moją mogiłę. Słyszę, jak otacza, pogrąża mnie niepamięć.

Nie!

Chcą mnie usunąć. Choruję i nie porzuciłam dropsów. Podtruwają, wywołują wiadome objawy. Zmowa! Lunze był zadomowiony w mojej eleganckiej klinice, kiedy jeszcze nawet nie słyszałam o istnieniu firmy. Znają się jak łyse konie. Podejrzenie wcale prawdopodobne, nie wytwór zwichrowanej głowy z przyczyn endogennych, jak uczenie napisali w rozpoznaniu. Endogennych. Zawsze tak twierdzą, jeśli nie wiedzą, skąd się przyplątało jakieś świństwo. Medyczny poker. Medyczna zagadka. Długie leczenie. Spokój. Higiena. Trele morele i kolejny rachunek. Rachunek. Rachunek. Pompa ssąca.

Groza. W Ameryce naganiacze napędzali zdrowych ludzi oszustom z dyplomami, otwierano brzuchy, usuwano nie istniejący nowotwór. Pacjent miał bliznę na dowód uzdrowienia. Nagonka dzieliła się zyskiem z rzeźnikami. W Argentynie mafia porywa ubogim rodzinom dzieci, niektóre się odnajdują, pozbawione nerki, pozostałe giną, wydarto im serce albo inny pojedynczy organ, bez którego nie można żyć. W tym kontekście cóż znaczy mój traf, o ileż łatwiej ukraść biednemu nerkę albo wmówić człowiekowi schidzo niż raka do tego stopnia, aby dobrowolnie poddał się zbrodniczej operacji w klinice wskazanej przez szarlatana.

W moim przypadku wszystko się komponuje logicznie. Lecznica z nadania Lunzego, nawet wciągnięcie w zbieranie antyków. Łatwo je zabrać, zanim się zgłoszą spadkobiercy, jeśli się jest gwarantem kredytu bankowego i pełnomocnikiem w sprawach zawodowych, bo kto zawiadomi rodzinę, jeśli się ze mną coś stanie lub zamkną w izolacji. Naturalnie impresario. A moi nie znają się na antykach, można im dać grosze, można nie dać nic, łatwo oszwabić w takiej dziedzinie, podobnie z posiadłością, nie spleconą posiadłością na obce imię Evi Kovars-Müller.

Niedoczekanie! Muszę zabezpieczyć przyszłość Joanny, muszę się bronić, zmienić

klinikę, odsunąć od spraw majątkowych Lunzego, zniszczyć sobowtóra. Dużo.

Zniszczyć sobowtóra. Tak pomyślałam, ale nawet jeszcze wtedy gdy wyartykułowało się owo sformułowanie, znaczyło tylko tyle, co odprawienie nie chcianego zastępstwa.

Po południu posłaniec antykwariusza przywiózł zamówione na próbę kratery Wschodniego Cesarstwa. Podpisałam rewers. Bawiłam się nimi przez resztę dnia, przymierzałam do różnych miejsc, skąd były najlepiej widoczne. Właściwie mogłam je ustawić wszędzie, nie sposób ich nie zauważyć. I wówczas, mimo wiedzy o ich przewrotnej tajemnicy, jeszcze nie odczułam chęci praktycznego zastosowania. Myślałam tylko, muszę zdecydować: kupno lub zwrot, zanim powróci Lothar. Z pewnością byłby przeciwny nabytkowi uszczuplającemu stan konta. Oczywiście, nie mógł zabronić, jeszcze nie mógł, lecz kiedy zaczynał coś odradzać i przekonywać, zwłaszcza strasząc biedą, najczęściej godziłam się z jego zdaniem.

Miałam trochę czasu do namysłu, Lunze odprawiał lato w Saint-Tropez, nieustające pokazy mody, reklamowanie najróżniejszych wyrobów w wielkim show pod gołym niebem. W razie niepogody zaciągano nad estradą i widownią, gdzie się jadło i piło, olbrzymi dach z tkaniny rozpiętej na linach utrzymywanych w pionie przez balony. Miał powrócić wczesną jesienią, żeby zdążyć na salon de'Lescara. Czy i tym razem Lunze odmówił, tylko wiadomość umknęła uwadze rozleniwionej wczesną kanikula prasy, nie wiedziałam.

Przysięgłam sobie przeszkodzić rabusiom mojej twarzy, mojej pozycji, mojego mieszkania, połowy parku i zimowego ogrodu, w wystąpieniu u de'Lescara. Jeszcze nie wiedziałam, w jaki sposób to zrobię. Przez nich czułam się poza nawiasem, poza życiem, samotna i porzucona, jak królewna z bajki zaczarowana w ropuchę. W odróżnieniu od tamtej żaby liczman miał cechy endogenne, a może zawinione przeze mnie.

Byłam więźniem mojej posiadłości. Nigdzie nie wyjechałam. Oczywiście, nikt nie zabraniał, Lothar nawet namawiał. Chciał zorganizować Baleary, albo Majorkę, albo Ibizę, ale najbardziej jego zdaniem odpowiednia była Norwegia, sanatorium czy pensjonat na połoninie nad cichym fiordem. Rozumiałam, pragnął mnie schować najdalej od modnych miejscowości, równie dobrze sanatorium mogło się okazać kliniką z rodzaju takich, skąd się trudno wychodzi albo nie wychodzi wcale. Poza przypuszczeniem, na które nie zdobyłam jeszcze potwierdzenia, nadal gnębiły mnie przykre kłopoty ze skórą, bardzo krępujące. Tylko na krótko potrafiłam znieść perukę, na szczęście modne były w tym sezonie zwiewne szale i chusty, dobrze się nosiły indyjskie fulary.

Nie ruszyłam się z domu. Tutaj miałam nieograniczony dostęp do dropsów. Niebezpiecznie byłoby wieźć zapas ze sobą, ponieważ tylko w moim kraju rodzinnym nie

znano jeszcze kary za posiadanie. Poza tym w jaki sposób znalazłabym dostawcę nad fiordem, skoro nawiązanie kontaktu z nieznanymi stawało się coraz trudniejsze, wręcz niemożliwe. Zdziczałam.

Lunze nie upierał się przy wyjeździe, wyraźnie wolał, abym siedziała na miejscu, tylko z początku pewno myślał, że pożadam odmiany i chciał odizolować mnie w Norwegii, z dala od miejscowości modnych w letnich miesiącach. Postawił jednak warunek.

– Sama nie zostaniesz. Zachowujesz się niepoczytalnie.

– Wciąż wypominasz. Więcej się nie powtórz. Przyrzekłam i dotrzymuję.

Znowu przypomniał incydenty w ogrodzie. Zwłaszcza drugi, nazwany przez nich atakiem. Prawda. Krzyczało coś we mnie. Moje Ono, oddzielna niepokojąca część mnie, ale również krzyczałam ja, z żalu, bezsilnej wściekłości. Nie liczyli się ze mną, z moimi odczuciami, krzyczałam przeciw układaniu mi życia w imię jakiegoś mojego dobra, dobra wymyślonego przez Lothara do spółki z Hanigiem i sforą doktorów, co nie miało nic wspólnego z moim dobrem, tylko z pieniędzmi, wciąż jeszcze wyciskanymi z mojego imienia.

Przestał przekonywać do *dame de compagnie* i postawił wobec faktów dokonanych. Tamtego wieczoru przywiózł pielęgniarkę i już nie silił się ukrywać, że to pielęgniarka, zresztą ona pewno by się na żadne udawanie nie zgodziła. Reprezentowała dyplomowaną siłę.

– A teraz pójdziemy do łóżeczka – ćwierknęła z zawodową słodyczą i zaaplikowała pigułę.

Pigułę schowałam pod językiem, popiłam wodą, lecz kiedy chciała sprawdzić, czy przełknęłam pakując w usta łyżeczkę, dołożyłam jej po kornecie i uciekłam do ogrodu. A ona natychmiast wezwała posiłki z tej kosztownej kliniki mieszczącej się przy małej uliczce w pobliżu Kudammu, gdzie Lunze był zdomowiony od niepamiętnych czasów.

W świetle lamp przejrzyste kombinezony sanitariuszy lśniły metalicznie, przypominali postaci z komiksów. To byli felczerzy psycho. Mimo że zdążyłam zżyć się z diagnozą, ich obecność wywołała szok, bardziej ugruntowała postanowienie trzymania się w ryzach niż słowo dane później Lotharowi. I nigdy więcej nie uczynię niczego, co mogłoby spowodować interwencję łapi-psychów. Wolę umrzeć.

Skłuta jak prosię, zapadłam w niebyt spreparowanego snu.

– Jeśli będziesz posłuszna, nie poskarżę twojemu protektorowi – obiecała rano.

– Będę posłuszna.

– Grzeczna dziewczynka – podała pigułę, przełknęłam, popiłam sokiem z grejpfruta. Otworzyłam usta, zanim zdążyła zażądać. Paluchem obciążonym chirurgiczną rękawiczką

przejechała pod językiem i wokół dziąseł. Powtórzyła swoje kretyńskie: grzeczna dziewczynka. Powściągnęłam wybuch wściekłości.

– Na przyszłość trzymaj pazury z dala od mojej twarzy, w napadzie szału mogę je odgryźć i do diabła! Zachowaj dla siebie grzeczną dziewczynkę. Mam na imię Evi.

– Chcę tylko twojego dobra, Evi.

– Idź do cholery.

Ta też pragnęła jedynie mojego dobra. Musiałam się bronić przed nadmiarem szlachetnych intencji.

Byłam jej więźniem, ona moim, gdy chciała wyjść wieczorem, a chciała, otrzymywałam wzmocnioną dawkę psychotropów. Niewidzialne okowy unieruchamiały lepiej niż najmocniejszy sznur, najprzemysłniejsze zamknięcie. Psychiczny kaftan zmieniający osobowość, zakładany z pomocą niewinnie wyglądających pastylek, podłużnych białych paciorków, właściwie bez zapachu i smaku, z lekka tylko gorzkawych.

Szybko przyswoiłam i tę dyscyplinę. Z własnej woli demonstrowałam wewnątrz jamy ustnej, odciągając policzki i ukazując podniebienie ze zręcznością prestidigitatora kryłam prochy i zawsze umiałam się ich pozbyć, zanim draża zawilgła od śliny. Bez oszołomów byłam spokojna, zrównowazona, nie nastęczałam problemów. Zawiesiłam wyprawy do miasta, byle nie musieć cierpieć obok siebie obecności dyplomowanej Klawichy. Chwaliła mnie. Lunze był zachwycony. Mógł spokojnie szykować się na jakąś kolejną imprezę.

Wszystkie tak oszczędzone specyfiki gromadziłam przez cztery tygodnie, zbiór jednak nie okazał się zbyt efektowny. Więc załatwiłam przez moją dostawcę dropsów dodatkowe opakowania; wyłuskane do słoika razem z uskładanymi przedstawiały groźną kolekcję.

– Oto środki, którymi mnie karmiłaś. Za dużo, przyzna każdy porządny lekarz.

– Niemożliwe. Tyle nie mogłam ci zaaplikować – Klawicha zbladła.

– Spróbuj wytłumaczyć komu innemu, jeśli koniecznie chcesz. W każdym razie mnie stać na bezstronnego lekarza, a nawet cały zespół, ale nie na twoje honorarium. Nie wypiszę czeku, niechaj płaci ten, kto cię sprowadził. Na wypadek, gdybyś próbowała pozostać, pomyśl, co by się stało, gdybym uzbierane prochy wsypała do wina, mojego wina, które bezczelnie wypijasz, mówiąc nawiasem, bez pytania o pozwolenie. Więc proszę, zrezygnuj z pracy u mnie w bardzo ładny sposób i bez żadnych donosów do mojego impresaria. Zrozumiano?

– Tak. Oczywiście.

Lunze wściekły zapłacił z własnej kieszeni. Usłyszałam znaną na pamięć elegię o jego dobroci. Z ciekawością przyrodnika obserwowałam rozwój i wystudzenie gniewu, to był

gniew kontrolowany. Nie posunął się do gróźb, chociaż pewno chętnie wsadziłby mnie przynajmniej na trochę do jakiegoś wytwornego Czubowa, niewykluczone, że nad fiordem, ale on, dopóki działała moja legenda, musiał się ze mną trochę liczyć. A działała. Wciąż przynosiła wielkie pieniądze, minus groszaki dla dublerki. Wiedziałam od Milo, ile płacił dziewczynie. Afrykański wyzysk.

– Nie będę cię zmuszał – zapanował nad niezadowoleniem. Nie walczył o dyplomowaną Klawichę, pamiętał jej sprowadzenie łapi-psychów, o czym, gdyby nawet nikt wydarzenia nie wspomniał, zawiadomił go potężny rachunek z naszej eleganckiej kliniki w pobliżu Kudammu, z którą miałam umowę na opiekę medyczną. Rachunek nie bolał, był płatny z mojego konta, tylko ta obecność karetki pod adresem osoby należącej do jego firmy. Wprawdzie ambulans nie wyróżniał się szczególnym wyglądem czy znakami, jednak skojarzony z głośnym, za głośnym zachowaniem, raczej nie pozostawiał wątpliwości co do swojego charakteru. Może gdybym pomyślała o tym wcześniej, mogłabym opanować owo niezwykle, ciemne wzburzenie.

– Nie martw się. Moi sąsiedzi są daleko. Wątpię, aby ktoś z okolicy zidentyfikował, skąd dobiega głos – była noc, nikt mnie nie mógł widzieć, poza tym zawsze się różniłam od swoich fotografii, jak wiele dziewczyn z branży, za sprawą makijażu, światła, błękitnych żeli, całej profesjonalnej kuchni produkującej miraże.

Lothar wymyślając moje imię zmienił mi oczy na niebieskie, włosów nie tknął.

– Farbujesz? – z początku nie dowierzał rzadkiemu w naturze odcieniowi.

– Nie – jeszcze czego. Farba, fryzjer kosztowały drogo. Ja musiałam zarobić na opiekę Joanny i na dropsy, lecz odkąd choroba, co do nazwy której spierały się autorytety, zaczęła niszczyć moją skórę, wciąż jeszcze miłosiernie oszczędzając twarz, odrzuciłam makijaż, maskując spustoszenia podwiką i zwiewnymi szalami. Czekałam wyzdrowienia, oni doszukiwali się przyczyn w dropsach. Już nie mogłam z nich zrezygnować. W tym samym stopniu nie mogłam odstawić na dłużej narko, co pragnęłam powrotu przed kamerę.

– Martwisz mnie, Evi. Nie możesz, nie powinnaś zostać sama.

– Przecież są jacyś ludzie za płotem, którym rozdzieliłeś moją posiadłość. Więc w razie czego...

– Dla ciebie nie istnieją żadni ludzie za ogrodzeniem. Jeśli ich wypłoszysz, skończy się twój ostatni dochód, nie będziesz miała z czego spłacać rat. Posiadłość pójdzie pod młotek, a ty na bruk.

– Mam pieniądze w banku.

– Procenty ledwo pokrywają wydatki. Naruszenie kapitału grozi katastrofą. Zresztą

wszystko, co masz, nie wystarczyłoby na spłacenie kredytu obciążającego hipotekę.

Nie zdradziłam się dotychczas z wiedzy o dziewczynie sprowadzonej do mojego mieszkania, pracującej w moim studiu, która dzień po dniu kradła zwłaszcza mój dorobek, moje imię i najcenniejsze, nie do odrobienia, mój czas. Ona była młodsza. Odczuwałam ból przemijających dni, każdy z nich zabierał część mojej szansy. Bezpowrotnie. Obrażało podobieństwo, jak możliwe, żeby aż takie! Jej istnienie było obelgą, podłością, krzywdą i wyzwaniem.

Bez związku z rozmową pomyślałam o Hero. Mieć coś silnego. Oczywiście, wystarczy zamówić u dostawcy. Do Hero trzeba igieł. Zawsze bałam się igły.

– A w ogóle, co się dzieje w moim studiu? – wstałam na cienki lód, ale wydawało się nienaturalne, gdybym w ogóle nie zapytała.

– Nic szczególnego. Dobrze służy. Zarabia dla ciebie na spłatę.

Wystarczy, ani słowa więcej, powściągnęłam siebie. Wydawało się, zdobyłam punkty, ponieważ znam jego oszustwo. Być może przyjdzie czas, kiedy je będę musiała spożytkować.

– Przyjmij do wiadomości, zaangażowałam dublerkę.

Znów mnie zaskoczył. Jak się zachować, aby nowina nie obróciła się przeciwko mnie, coś wygrać, a przynajmniej nie stracić. Wybuchnąć. Pokazowe oburzenie. Udawać bardziej stukniętą, niż jestem. Tylko nie to. Dlaczego nagle powiedział, skoro tak długo trzymał pod pieczęcią milczenia. Zupełnie przestałam się liczyć? Nawet nie udawał, że potrzebuje mojej zgody. Może dowiedział się o spotkaniu w oranżerii? Migawka. Chwila. Jak odbicie w lustrze. Ale było. Po co tam chodziłam, po co wystawałam-przed szybą. Tamtego dnia przez szparę niedociągniętej po zewnętrznej stronie zasłony, widziałam czerwony kwiat cephalotusa, i nagle Ona odsunęła portierę. Za późno pożałowałam ciekawości.

Lothar wie. Nie miał już nic do stracenia i dlatego zawiadamia o dublerce. Ale skąd wie, od niej? Niemożliwe. Lunze trzyma się od nich na dystans.

– Podcyfruj zgodę na dublerkę. Formalność – podał krótkie, lakoniczne oświadczenie. Kiedyś odmówiłam podpisu in blanco, teraz poznałam treść pomyślaną na tamten pusty papier. Miałam własnoręcznie zatrzaskać kryptę nad sobą.

– Ona o mnie wie? – bawiłam się wiecznym piórem.

– Nie wie i nie powinna.

– Oszustwo.

– Zastępstwo. Bardzo dobre zastępstwo i twoje wielkie szczęście.

– No nie, szczęście, tego za wiele! Moje nazwisko, moja twarz, moja popularność ją niesie.

– Gdyby nie ona, byłabyś minioną sławą. A wiesz, jak się przedstawia zaprzeszła popularność foto-girl, ile jest warta, zresztą nie tylko foto-modelki. Nikt o niej nie pamięta, po prostu jej nie ma. Dym.

– Podpiszę tylko umowę.

– Jak sobie wyobrażasz, czy ja wiem, głosę do kontraktu?

– Nie muszę sobie wyobrażać. To rzecz radcy prawnego firmy.

– Tracę cierpliwość, Evi.

– A ja pieniądze. Przecież na tym świstku nawet nie wspominasz o moim wynagrodzeniu.

– Płacę twoje raty.

– Sama zapłacę. Żądam mojej stawki.

– Zatraciłaś poczucie rzeczywistości, Evi.

– Rzeczywistość to moja pozycja zawodowa, a ta ma się dobrze, skoro ją nadal eksploatujesz, i mnie się należy zapłata.

– Zmieniłaś się, Evi – był urażony i rozczarowany. Widocznie miał za złe, że okazałam się mniej stuknięta, niż przypuszczał. I jaka niewdzięczna. Podniósł mnie z przysłowiowego ścieku, ogładził, ucywilizował, nauczył porządnego zawodu, podparł imieniem solidnej firmy, wywiódł w świat. Najpierw załatwił Duldung, potem Fremdenpaß, ukoronowanie wszystkich możliwych stopni prawa pobytu przewidzianego dla obcych nacji. Mieli tu ze sześć odcieni przyzwolenia na obecność cudzoziemca, coś jak różne volkslisty, o jakich pamiętają ludzie z mojej wsi, którzy przeżyli wojnę i niemiecką okupację.

– Dwadzieścia procent, ani grosza więcej. Wystarczy ci na spłatę i na dropsy.

Oczywiście wiedział, nie spostrzegłam, od jak dawna, jednak dotychczas nigdy nie robił uwag. Dopiero teraz, i użył mojego synonimu na narko, aby nie pozostawić wątpliwości, o czym mówi. Raczej nie tracił kontroli nad sobą. Wspomnienie dropsów nie wymknęło się niechcący. Zabrzmiało nieprzyjemnie, jak ukryta groźba.

Znienawidziłam Lothara za ten spokój, rzeczowość, chłodną kalkulację, po prostu grzebał mnie za życia, bez cienia sentymentu, i nienawidziłam tamtej dziewczyny, weszła w moją skórę, korzystała z mojego dorobku, zagarnęła moje studio, część parku, cały pawilon i połowę ogrodu zimowego. Przez nią już nigdy nie stanę przed kamerą, czas przeznaczony dla mnie zajmie ona. Gdyby nie weszła na moją ścieżkę, gdyby jej nie było... Znowu pomyślałam o zamówieniu Hero i igieł.

– Jeszcze jedno. Proszę cię, Evi, zaangażuj kogoś. Nie będę się wtrącał, zaakceptuję każdy wybór, oczywiście w granicach rozsądku i... gotów jestem płacić.

– Sama zapłacę – zgodziłam się. Nie przeciągać struny. – Zatelefonuj do pośrednika, złóż zamówienie na moją rodaczkę, bez znajomości niemieckiego.

– Plemienna solidarność – mruknął i zadzwonił do agencji Ekspres.

Jak było do przewidzenia, elegancka agencja nie miała na składzie tłumoka bez umiejętności porozumiewania się w języku tubylców. Obiecali w najbliższych dniach. Lothar wyszedł z poczuciem wygrania przynajmniej jednej sprawy.

Po obiedzie wysypałam okruchy ptakom. W szczelinie zamaskowanej listwą na spodzie karmnika zostawiłam wezwanie dla Milo. Przyszła późną nocą od najmniej oczekiwanej strony, przez zawłaszczoną oranżerię. Wemknęła się do hallu z przedsionka. Oprócz wejścia do przeszklonego rękawa z ich strony parku, musiała otworzyć jeszcze parę dębowych drzwi z kryształowymi szybami, czego mnie nigdy nie udało się dokonać.

– Jeśli muszę, poradzę sobie z każdym zamkiem – uprzedziła pytanie. – I nie domagam się kluczy. Nie dam. Wiesz, dlaczego w szklarni doglądam roślin wyłącznie nocą? Żeby Anielka nie zaczęła mnie nękać z tej samej przyczyny. Ona też chciałaby zajrzeć za te podwójne drzwi. Co się tak przyglądasz? – odruchowo poprawiła szalowy kołnierz, dotknęła wiązania szlafroka. Różowy, obsyty łabędzim puchem, sięgał podłogi. Spod rąbka wystawały tylko stopy w atlasowych pantoflach na koturnach, ozdobionych pomponami.

– Nie rozumiem, po co ta przebieranka, skoro wykończenie i tak masz nie kobiece. Przecież tylko utrudniasz sobie życie.

– Przez twoje brewerie wybiegłam tamtym razem jak stałam i wystraszyłam Anielkę. Byłam zmuszona uciekać, a ten głupi szczeniak pognał za mną i et, szkoda słów. Nie rób więcej takich przedstawień.

– Nie pojmuję, dlaczego chodzisz w babskich szmatach, w imię czego stwarzasz sobie dodatkowe problemy i nabierasz otoczenie.

– Nie nabieram. Mam babskie dokumenty. Jestem dziewczyną, tylko w niewłaściwym ciele. Przez pomyłkę natury dostałam ciało mężczyzny, a psychikę i osobowość mam odmiennej płci. Dlatego zbieram pieniądze, żeby somo dostosować do psyche. Jasne? A teraz do rzeczy. Wzywałeś mnie. Jestem. Czego chcesz?

– Potrzebuję zaufanej osoby, najlepiej rodaczki z nieznajomością niemieckiego, żeby nikt nie umiał się z nią dogadać, zwłaszcza Lunze.

– Koniecznie rodaczka z nieznajomością?

– Niekoniecznie, ale godna zaufania.

– Może być ktoś taki jak ja?

– Oczywiście.

Nazajutrz przedstawiłam Lunzemu Carlę. Austriaczkę znającą trochę polski. Podobnie jak Milo była transseksualistą. Tę mniejszość w mniejszości – ludzie mylą ich z gejami – łączyła solidarność, wspierali się wzajemnie. Im było trudniej niż innym.

12.

Anielka wstaje przed świtem. Czas najwcześniejszego rana poświęca szkółce leśnej, gdzie przyszłe dęby, świerki, modrzewie są słabsze od byle chwastu i wymagają opieki jak niemowlęta. W zamian za pracę uczą ją prowadzenia pojazdów na kursie organizowanym każdego lata przez Nadleśnictwo. Przed porą śniadania jest już w Stolicy na Pohorze.

Ajent odwirowuje śmietankę, uwolnione od niej mleko zaprawia zbożową kawą, później odmierza produkty na obiad, dysponuje zupę i drugie, do picia każe preparować płyn nazywany kompotem, wieczorem podawać herbatę-plujkę.

Kiosk obsługuje osobiście, otwiera tylko wówczas, kiedy w schronisku nocuje zorganizowana grupa, zwłaszcza gdy są dzieci. Na półce pyszną się słodycze. Żyjąc w symbiozie z toaletowym mydłem i wodą kwiatową, wydzielają woń kompozycji zapachowych odaliska i Brutal, zmumifikowane cukierki, skamieniałe herbatniki, smutna czekolada w smutnych obwolotach porośnięta zbielałą patyną. Piętrzą się przyzmy galaretowatych meduz, przezroczystych torebek z ciepłym napojem orzeźwiającym w dwóch kolorach: grynszpanu i chorej wątroby.

Dzieci odważnie kupują przejrzyste błony łypiące jadowitością żółci lub przerażającym fioletem. Nakłuwają plastikową rurką udającą słomkę i wysysają zawartość i nie sinieją i nie zielenieją i nie padają jak muchy.

Wieczór zapada chłodny, na nabitym gwiazdami niebie rozpryskują się perseidy, przewodnik gęździ, niezliczone razy opowiada legendę, podobno jedną z niewielu ze skąpej puścizny po Jadźwingach, tajemniczym ludzie, który niegdyś żył, płodził się i wyginął na tej ziemi, pozostawiając po sobie kurhany i kilkanaście znaczeń zachowanych w tutejszych nazwach i języku.

Wioślarze obsiedli ognisko, krążą emaliowane kubki z podgrzany na węglach piwem kupionym gdzieś na szlaku, dzieci kończą wchłaniać wściekło-barwne ciecze z meduzowatych woreczków i zasypiają na kolanach rodziców.

Anielka sprząta jadalnię i kuchnię po kolacji, kąpie się w rzece, wspina do swojej kwatery na poddaszu, pada na łóżko i natychmiast zasypia. Jej dzień jest wypełniony po brzegi. Bezwiednie gospodarzy swoim czasem, robiąc wszystko, byle nie myśleć o niedawno

minionym, uczepona obowiązków jak liny ratunkowej. Wiodła ciężkie zapasy z każdym dniem, każdy dzień był oddzielnym życiem, dzisiaj nie myślała o jutrze, nazajutrz grzebała wczoraj, lecz nie mogła zapomnieć umarłej miłości. Bo jej miłość umarła z żalu, wstydu, upokorzenia. Jak chore miejsce pragnęła zbliznić wspomnienie klęski. Nie udawało się jednak zepchnąć w niepamięć, wystarczyła chwila nieuwagi, aby wróciło.

– Jeszcze da kto po łbie, jeśli zobaczy tyle pieniędzy – z niepokojem rozejrzała się Babka po tłumie zalegającym bank i ludziach w ciasnych kolejkach wzdłuż kamiennych barier zakończonych szkłem. Za tym szkłem krążył liczny personel trudzący się noszeniem papierów z jednego końca na drugi, nieliczny siedział przy okienkach, zmagął ze słabo opanowaną elektroniką i klientami.

– Nie bój się – powtarzała Anielka. – Hassan zadbał o wszystko. Przysłał ochronę.

– Możesz mi mówić Jasny albo kuzyn – przedstawił się mężczyzna w dżinsie. Miał jasne, krótko ostrzyżone włosy i jasną twarz chłopca nad barkami siłacza. Czuwał w tle, nie pchał się przed oczy, wyglądał sympatycznie, niczym szczególnym nie wyróżniał się spośród innych młodych ludzi odzianych w ciemnoniebieską bawełnę. Mimo to Anielka do ostatniej chwili zwlekała z zaprezentowaniem go Babce.

– Za mniejsze pieniądze mordują – zdesperowana Babka przedarła się do dyrektora i tam w zaciszu gabinetu zażądała wypłaty połowy zawartości konta.

Bez słowa podała Anielce sumę, której nigdy dotychczas nawet nie trzymała w ręku, i patrzyła posepnie, jak wnuczka kładzie paczkę banknotów do torebki, zaciąga błyskawiczny zamek.

– Jezus, Maryja! – zadygotała po wyjściu stamtąd na ogólną salę, widząc Kuzyna, który nagle wyodrębnił się z tłumy obok niech.

– Nasza opieka – wyjaśniła Anielka, marząc o możliwie najprędszym wyprawieniu Babki do domu, ale Babka miała swój cel i dążyła do niego niczym walec drogowy.

– Nie puszczę cię samej – rzekła, sadowiąc się na poduchach mercedesa. – Niech jedzie, na co czeka – władczo dźgnęła palcem w plecy kuzyna.

Dżinsowy z niemym pytaniem odwrócił ku Anielce jasną twarz.

– Nie jestem dzieckiem – bez nadziei przekonywała Anielka.

– Wyniańczyłam cię od pieluch, mam prawo wiedzieć, co ze sobą robisz. Chociaż tyle.

Anielka przestała się upierać. Zbyt długo Babka nie mogła zabawić, w domu pozostał Teko. Stara kobieta od początku spotkania czuła zniecierpliwienie wnuczki i zbędność swojej osoby. Chociaż głęboko zraniona, nie miała zamiaru ustąpić. Przede wszystkim szukała sposobu, aby uzyskać od Hassana przynajmniej pokwitowanie pieniędzy. Nie będzie owijać w

bawełnę, zażąda rękojmi, jeśli to człowiek interesu, nie powinien się zdziwić, jeśli zacznie kręcić, znaczy hochsztapler. Wówczas wołami jej stamtąd nie wyciągną bez pisemnego poświadczenia, nawet gdyby Anielka miała się jej wyprzeć na zawsze.

Anielkę dręczył inny niepokój. Wewnętrzny nakaz – bliscy nie mogą głodować – zmusił ją do przepisania części oszczędności na wyłączność Babce. Podjęła tylko połowę sumy, niezręcznie kłamać Hassanowi przy Babce, że tak postanowiła Babka. I cień żalu do Hassana, i pretensje do Babki. Jakby ją chcieli rozedrzeć, każde ciągnie w swoją stronę. Pozbyć się tej starej, chciwej, nieufnej kobiety, a nade wszystko nie czuć się winną.

Nie spełniły się ani rachuby Babki, ani obawy Anielki. Hassana nie zastały. Jasny nie wiedział, kiedy tamten wróci.

– Interesy – wyjaśnił oszczędnie, upewnił się, czy ma czekać na panią starszą, i znikł z pola widzenia.

Anielka nie bez dumy oprowadzała Babkę po wspinałym domu. Niemile zdziwił niedostępny pokój jadalny i zamknięta sypialnia, jednocześnie ów fakt przyniósł poczucie ulgi. Babka nie zobaczy przepastnego łóża.

– I czym się tu cieszyć. Wynajęty, nie własny.

Babki nie podniosły na duchu ani wyposażenie, ani przepych, ani metraż, ani nawet zawartość lodówki. Przeciwnie, dopełniły się ponure przewidywania. Nie zobaczy grosza ze swoich pieniędzy. Lekko przyszły, lekko poszły, jakoś nigdy tak zupełnie nie nabrała przekonania do zawodu modelki. Postawiła krzyżyk na tym zarobku, byle tylko Anielka była szczęśliwa. Odjechała zgnębiona, świadoma własnej bezsily, niczego nie ujmie, niczego nie odwróci od swojego dziecka.

Pełna najgorszych przeczuć wracała do domu, umyślnie zapominając zabrać dar Anielki, torbę wypchaną delikatesami. Wszystko ponad stan. Jedzenie i willa, i piękne, drogie przedmioty. Kogo stać na czynsz za taki dom? Mężczyznę pożyczającego pieniądze od dziewczyny na bliżej nieokreślony, mglisty interes? A dziewczyna jak ślepa.

Anielkę nurtowała zamknięta na klucz sypialnia i biała orchidea w lodówce. Srebrzysty kwiat z kroplą rosy we wnętrzu kielicha, zamknięty w przezroczystym pudełku na wyściółce z wilgotnego mchu, leżał w dolnej przegrodzie między jarzynami. W domu nikogo. Stołowy, sypialnia, zdawałoby się niezaprzeczone terytorium Anielki, pozostawały niedostępne. Pokój z telefonem żył zwykłym rytmem mechanicznej sekretarki za zamkniętymi drzwiami.

Hassan pojawił się o zmierzchu, nastał jeszcze jeden najpiękniejszy wieczór.

– Nareszcie prawdziwie razem – powiedział uroczysty i wzruszony.

Wyjaśniła się zamknięta sypialnia. Na Anielkę czekała srebrna suknia i pantofle ze srebrnego brokatu, suknia bez ramiączek odsłaniająca plecy i nasadę piersi z rozcięciem do połowy uda. Hassan przyniósł tamtą orchideę przechowywaną pośród selerów, papryki, cebuli i ogórków, przymocował Anielce do gorsu.

– Tu, gdzie bije serce.

Wysrebrzona, opięta połyskliwą materią Anielka wyglądała jak na swoich fotosach do reklamy szampana.

– Jesteś piękna.

Rozpakował srebrny woreczek ze srebrnego filigranu, miękki sepecik z metalizowanej nici na długim srebrnym łańcuszku i podał Anielce jej torebkę.

– Przełóż drobiazgi.

Anielka zabrała chusteczkę do nosa, długopis i kalendarzyk, wyjęła paczkę z pieniędzmi.

– Dostałam tylko połowę sumy.

– Dzisiaj zajmujemy się sobą. Żadnych interesów – niedbale wrzucił banknoty do szuflady konsoli przed lustrem, w którym przeglądała się Anielka.

W jadalni wyłożonej ciemnym orzechem niewidzialne ręce nakryły stół świeżym adamaszkiem. Paliły się świece w sześcioramiennym srebrze. Płomyki odbijały w srebrnych nakryciach i bardzo białej, bardzo cienkiej porcelanie, w srebrnym skopku z uwieczoną w lodzie butelką szampana, tłusto lśniły na ziarnach ciemnej ikry.

– Za naszą miłość – spełnił Hassan pierwszy kieliszek musującego wina. Był szczerze przejęty. W świetnym nastroju. Kochał takie życie. Czuł się stworzony do takiego życia. Należało się jemu takie życie. Ubrał się na ten wieczór w szafirowy smoking z klapami połyskującymi szafirowym atłasem, bładoniebieską koszulę z plisowanym przodem, nosił srebrną muszkę i szeroki srebrny pas widoczny w wycięciu marynarki. Zamiast codziennego złota, na rękach, w gorsie, w mankietach błyszczała platyna. Wytworny, potężny, na właściwym miejscu. Siedział w eleganckiej jadalni, wyłożonej kosztownym drewnem, przy wykwintnie nakrytym stole, jadł najlepszy na świecie małosolny kawior, pił właściwie wystudzony francuski szampan, razem z zakochaną dziewczyną. Nazywała go Hercog. Jak nigdy żadna inna była posłuszna jego woli. Tylko stara poskapiała pieniądze, to jej zapamięta, lecz dziewczyna przyniosła wszystko, co dostała, to także zapamięta, na dobre. Jego kobieta nie może mieć pieniędzy, bezwzględnie powinna być zależna od mężczyzny. Razem zarobią dużo, może nawet bardzo dużo. Będzie dla niej dobry, dopilnuje, aby inni byli dla niej dobrzy. Jutro powinna zacząć pracę.

Nazajutrz Anielka obudziła się w pustym domu. Miniony wieczór przypominały tylko nadpalone świece w sześcioramiennych kandelabrach, świece z prawdziwego wosku w kolorze bursztynu. Wzdłuż bursztynowych korpusów skrzepty bursztynowe krople, zastygły w szklanych profitkach chroniących obrus przed ciekłym woskiem, wczoraj skwierczały paląc szczątek larwy, wydzielając zapach miodu, łąki, lipowego kwiatu.

Obiegła pokoje. Wszędzie wysprzątane podobnie jak w stołowym. Nikogo. Wejście zamknięte bez żadnych znanych rygli, ale wczoraj pokazał jej Hassan testery na framudze. Po kolei wcisnęła kolorowe klawisze. Po kolei zwalniały blokadę furty, bramy, wewnętrznego przejścia do garażu i prowadzących na dwór drzwi.

Nie była uwięziona, jak jej się w pierwszej chwili wydało. Mogła swobodnie wyjść, ale nie mogłaby wedle woli wrócić. Więc była i nie była wolna. Nie ma co dzielić włosa, niedługo wszystko się unormuje. Hassan obiecał dorobić dla niej dyskietkę do elektronicznego zamka.

Jego nieobecność sprawiła zawód, nie wspominał o wczesnym wyjściu ani o obowiązkach następnego dnia po minionym wieczorze. Po wieczorze jak z najpiękniejszej powieści nie spodziewała się samotnego poranka. Pewno wypadło coś nieprzewidzianego. Poszła do łazienki. Cieszyła nawet szczoteczka do zębów w szklance obok szklanki Hassana. I była to ostatnia radość Anielki w tym domu.

Hassan nie pokazał się. Przyszedł Jasny.

– Hassan musiał wyjechać. Wróci za kilka dni. Ja go zastępuję.

– A kim ty w ogóle jesteś?

– Hassan mówił, Kuzyn.

– Przecież nie jesteś Arabem.

– Jestem polski Kuzyn. Przepraszam – wybiegł na sygnał domofonu do hallu. Wrócił z dwoma mężczyznami, nieśli statywy, punktowce, kamery. Znany Anielce sprzęt. Wszyscy trzej zamknęli się w sypialni. Następny sygnał furty wywabił Jasnego. Wyprzedził Anielkę w drodze do sieni, przy swej budowie siłacza poruszał się zwinnie i szybko. Wpuścił do salonu młodego mężczyznę.

– Poznajcie się, ja muszę dopilnować – z nieokreślonym gestem wycofał się i starannie zamknął za sobą drzwi.

– Cześć, mała, pokaż się, ujdziesz. Bierzesz coś? – powiedział bardzo piękny chłopak opakowany w granatową skórę glace.

– Co?

– Skąd mogę wiedzieć. Inne biorą narko, brendy, trawę, czystą, kompot. Różnie.

– Dlaczego biorą?

– Dla kurażu. Nie każda potrafi się rozhamować. Ja niczego nie biorę i osobiście wolę nie biorące, nie musisz się odurzać, możesz na mnie polegać, tylko mnie słuchaj, już ja cię poprowadzę. Dobry jestem.

Szarpnął błyskawicznie zamek, w mgnieniu oka opadł z niego wspaniały kombinezon rajdowca czy jakiegoś supermana z komiksu. W następnym mgnieniu wyskoczył z białych kamaszków marki Puma, z białych kaszmirowych skarpetek. Pod tym kokonem nosił tylko granatowe majtki ozdobione złotym motywem. Stał na dywanie bosy, w postaci kulturysty. Głowa efeba na wysmukłych barkach, harmonijnie umięśniony. Szeroka pierś, wąskie biodra opięte skąpymi slipami z elastycznej dzianiny, mocne, długie nogi, wypielęgnowane stopy z paznokciami opiłowanymi owalnie pod bezbarwnym lakierem. Ucieleśniony model męskiej urody.

Anielka zbaraniała.

– Podobam ci się. Widzę. W ogóle podobam się kobietom. Wiem. W tym mieście nie ma lepszego ode mnie. Zanim oni tam wszystko urządzają, my się trochę oswoimy i nie będziesz musiała markować.

– Czego?! – przypuszczenie, jakie mignęło jej w myśli, wydało się absurdalne. Niemożliwe. To jakiś zakochany w sobie półgłówek.

– Jak to czego. Ciupciania.

– Kim ty w ogóle jesteś?

– Nie wiesz?! – bardzo się zdziwił. Przyjrzał się Anielce jednym okiem jak kura.

Pokręciła głową, nie była zdolna wydobyć głosu.

– Moderos.

– Mo-de-ros. Tak się nazywasz?

– Model męski erotyczny. Skrót moderos. Nigdy nie słyszałaś? Nie udawaj zielonej, nie wierzę.

– Moderos, co to takiego? – Anielka czepiała się słów jak tonący. Nieporozumienie. Bo co to za imię: moderos. Nie istnieje.

– Model w odniesieniu do mężczyzny brzmi niedobrze. Model pasuje do czołgu albo wdzianka, sama przyznasz. Modelarza od dawna zarezerwowali dla maniaków klejących szybowce. Nic nie zostało. A moderos jest w sam raz, brzmi poważnie i ładnie. Sam wymyśliłem. Więc rozbieraj się, mała, skoro masz być partnerką – znowu przybrał postawę jak z okładek pism dla panów, teraz prezentował się Anielce z profilu.

– Lepiej się ubierz i idź stąd. Nie będę twoją partnerką – powiedziała najspokojniej jak

mogła.

– Jesteś ero-modelką? – zauważył jej wzburzenie. Przeszał prezentować lewy bok. Znormalniał. Przysiadł obok Anielki.

– Jestem foto-girl. Nie od moderosów.

– A dzisiejszy seans?

– Nic nie wiem o dzisiejszym seansie. Nikt mi nie proponował, a ja nie wyraziłam zgody na jakieś sesje zdjęciowe – walczyła z narastającą grudą w gardle.

– Mnie zaangażował Kalif.

– Nie znam żadnego Kalifa. Wskakuj w spodnie i zjeżdżaj!

– Nie znasz ksywy Hassana? Pod nią jest znany w dupiznesie.

– Nieprawda!

– Opanuj się, mała, komu zarzucasz kłamstwo?! Umówił mnie wczoraj, powiedział, mam prawdziwą ero-modelkę, chociaż początkującą, bądź dla niej wyrozumiały. Dlatego tłumaczę, że skóry wyłażę, żeby ją oswoić, wprowadzić w nastrój, a ta odstawia damę! Zresztą wyjaśnij to sobie z Kalifem – wydawał się urażony. Wskoczył w swój wykwintny pajacyk z jedwabistego glace. W drzwiach pokazał się Jasny.

– Ona nie chce – poskarżył moderos. Zakładał swoje niepokalanie białe kamaszki marki Puma.

– Ona zechce, zostaw nas samych.

– Natychmiast wyjdziecie obaj i wyprawicie tamtych z sypialni.

– Zamknij się, głupia zdziwo – powiedział bez złości Jasny.

– Nie bój się, mała, nic na siłę. Jestem moderos, najlepszy w mieście, nie zboczeniec. Jeśli dziewczyna nie ma nic przeciwko, czemu nie, ale na duś, nigdy. I w ogóle jak sobie Jasny wyobrażasz takie zdjęcia, puknij się! Jeśli Kalif będzie mnie potrzebował, wie, gdzie szukać. No, lecę, mój czas jest drogi. Adieu!

– I co narobiłaś, ty zakochana! Jak przyszło co do czego, z de robi kapliczkę. Mógłbym jeszcze zrozumieć strach przed zbiorówką, absmak na zwierzaka czy same baby, ale solo z najpiękniejszym moderosem w Warszawie! Gwiazda erdolona, za dobra na pornosy, chociaż niby co innego robiłaś w Berlinie? Czepia się chłopa, wystarczy, że palcem kiwnął przed dworcem, po hotelach lata jak suka, żeby go spotkać, przyłazi na każde zawołanie, a jak trzeba zarobić, fummy. Skąd on ma brać na te kawiorry, szampany, brylanty, wiesz, ile sam czynsz kosztuje za tę budę, głupia cipo! – chwycił Anielkę za rękę, wykrcił.

– Nie dotykaj mnie!

– To oddaj sama.

– Co mam oddać?

– Patrzcie ją, nie wie naiwna. Pierścione! Myślałaś zmyć się z tym brylantem. To nie szkło. Prawdziwy. Czternaście karatów.

Ściągnęła z palca podarunek Hassana. Upuściła w nadstawioną rękę.

– Idę – desperacko ruszyła ku drzwiom.

– Za chwilę, księżniczko – zastąpił jej drogę.

– Czego jeszcze chcesz?

– Nie to, co myślisz, głupia zdziwo. Posłuchaj i dobrze zapamiętaj. Jeśli się namyślisz, zadzwoń. Jeśli nie, nigdy więcej nie telefonuj i nigdy więcej nie pokazuj się tutaj, nawet w okolicy, i nie waż się szukać Kalifa po knajpach, ja ci to mówię! A ja z nim jestem jak orzeł i reszka, druga strona tej samej monety, tylko mniej urodziwa. Pieniądze przepadają, pokryją koszty zainwestowane w ciebie, sama złamałaś umowę. I morda na kłódkę. Aha, niechaj nie śmie przyłączyć do nas stara, bo nie wróci żywa, może także ucierpieć twoja uroda, nawet zdrowie. Poważnie. Jak to jej wytłumaczysz, nie moje zmartwienie. Żadnego niepokojenia, żadnych roszczeń, rozumiano?! „Inaczej na początek te zdjęcia dostanie rodzina i alfons w Berlinie – jak sztukmistrz talię kart sygnął z dłoni fotosy na stolik. Ułożyły się w wachlarze.

Ona i Hassan. Twarz Hassana nierozpoznawalna. Jej miłość wydana na pastwę obcych oczu, na pastwę tego potwora. Zalała ją fala wstydu. Rzuciła się na fotografie. Darła. Darła z nimi siebie, kochanka, uczucie. Nie pomogło zniszczyć upokorzenia, ciężko rannej godności, tamtego życia jak z cudownego snu i nieszczęścia przebudzenia.

– Użyj se, mamy duplikaty i negatywy – zawiadomi! Jasny. Pozwolił jej roznieść odbitki w strzępy.

– Ty brudny kamracie wieprza – powiedziało coś za Anielkę patrząc na tę promienną, chłopięcą twarz.

– Uważaj, księżniczko, możesz zarobić kopa w de, mimo że Kalif kazał być dla ciebie dobry. A teraz zjeżdżaj, póki ja jestem dobry. Jak mnie będziesz obrażać, możesz nie odejść ulgowo.

Nie wie, jak się dostała do domu. Chyba instynktownie, jak chore zwierzę. Otrzeźwił straszny, obezwładniający wstyd pod spojrzeniem Babki. To spojrzenie wydało się triumfujące, takie: a nie mówiłam! Poczwała nienawiść do Babki.

– Stało się, czego chciałaś, o czym marzyłaś! – rozkrzyczała się Anielka, biła na oślep, wroga wobec tej starej kobiety, siebie, całego świata.

– Nie życzyłam ci źle – Babka rozumiała i tę odmienioną, niesprawiedliwą, okrutną Anielkę. Wystarczyło spojrzeć, aby wiedzieć. Została ciężko skrzywdzona, gadała przez nią

rozpacz.

Anielka złością, pomówieniem, krzykiem broniła się przed pytaniami, a gdy nie zostały zadane, poczuła straszny żal do Babki, że ich nie zadaje.

– Idź sobie – uderzyła Bryśka. Olbrzym zaszlochał cienko jak szczenię. Jeszcze nigdy nie został tak potraktowany. Z podkulonym ogonem powłókł się i legł w kącie.

– Zwierzę nic ci nie zawiniło, nie odgrywaj się na nim. On tobie nie odda, bo cię kocha, jak i my wszyscy.

Dopiero Anielka zapłakała. Łzy miały wagę ołowiu. Nie naruszyły jednak grudy rozpartej w gardle.

– Cicho, dziecko, cicho. Wszystko minie. Jeszcze wiele radości na ciebie czeka, jeszcze będziesz szczęśliwa. Czas odbiera biedom gorycz, czas niesie i dobre, i złe, i nijakie. Twoje dobro przed tobą, uwierz starej kobiecie – objęły Anielkę znajome ramiona i kołysały jak wtedy, gdy była dzieckiem.

Już nie ufała słowom, lecz samo brzmienie głosu i dotyk tych rąk przynosiły ulgę, rozluźniały duszący polip w krtani.

Potoczyły się dni ciężkie jak kamienie, ziemia przestała się obracać. Kaleki czas włókł się od poranka do wieczora i znowu od wieczora do poranka. Najpierw był jednym wielkim bólem, później jakby zdrewniał, znieczulił. Czeły martwe dni, niedonoski.

– Spróbuj się czymś zająć – prosiła Babka.

– Spróbuję – obiecywała Anielka i nie podnosiła się z tapczanu.

Babka przynosiła jedzenie, Anielka dziobnęła kęs i ledwo tknięte oddawała Bryśkowi. Pies jej nie odstępował, leżał obok i nawet nie dopominał się spacerów.

Nie je, psem spasa, nawet książek nie czyta, na dwór nie wychodzi, tyle co z musu, żeby zwierzę nie pękło – gryzła się Babka, ale nic nie mówiła, aby nieopatrnym słowem nie wypłoszyć dziewczyny z domu.

Anielka tylko trochę była żywa. To niepełne życie toczyło upokorzenie, wstyd, żal, gorycz zniewagi. Opuściła Anielkę miłość, zabrakło nawet zawiedzionej, pozostało wielkie, puste miejsce, powoli wypełniała je uraza, coraz bliższa nienawiści. Po końcu świata Anielka trwała uwięziona w niebycie.

Od końca świata upłynęło kilkanaście dni, jakiegoś ranka zauważyła za oknem słońce i lato. Doszła do wniosku, że jednak nie da się przeleżeć reszty życia. Wspomniała Puszczę, zakole Rzeki, prastarą wodę.

– Pojadę na Pohorę.

– Jedź, szkoda takiej pogody marnować w czterech ścianach – ucieszyła się Babka.

Anielka uciekała od swego nieszczęścia nocnym pociągiem, zatłoczonym, zdewastowanym i brudnym jak wszystkie spieszące, zwłaszcza w sezonie, ku Ścianie Wschodniej.

Przysięgła sobie nigdy już nie pozostawić psa i zaraz rozpoczęły się kłopoty z Bryśkiem. Teoretycznie powinien jechać w boksie wagonu bagażowego. W składzie przewidziano tylko pocztowy i nikt od dawna nie słyszał o pomieszczeniach dla zwierząt.

– Jeśli kogoś stać na utrzymanie psa, niechaj go wozi samochodem – powiedziała urzędniczka na warszawskim dworcu.

– Należy dostarczyć świadectwo szczepienia i zwierzę w zaplombowanej klatce – powiedziała druga urzędniczka posadzona w okienku, aby informować. Spojrzała w dal przez Anielkę, posiliła się kęsem pączka, siorbnęła łyk herbaty-plujki. Oblizała palce i zdziwiła się, że petentka może jeszcze czegoś chcieć. – Niech tu nie stoi, niczego nie wystoi. Państwowe koleje nie są do wożenia psów. A kaganiec powinien być druciany, potwór może przegryźć rzemień i pokąsać pracowników.

Anielka, zdeprawowana niemieckim szacunkiem dla przepisów, jak głupia wykupiła bilety pierwszej klasy, chociaż ów fakt w kraju jej urodzenia nie znaczył nic. Między kategorią opłaty a warunkami podróży nie było związku. Wszyscy mają takie same pośladki. Normę stanowi powszechna mordęga. Siedzącego miejsca nie zdobywa się biletem, tylko siłą, sprytem, przez okno, wykupem od profesjonalisty żyjącego z zajmowania i odstępowania miejsc słabszym lub frajerom.

Anielka ze swoim czworonogiem zdołała dopaść najbliższych drzwi hamującego składu i wtłoczyć na korytarz wagonu. Ścisk panował tak wielki, że konduktor dopiero w okolicach Augustowa dopchał się po łapówkę za nieprzepisowo transportowanego psa.

Rano pociąg przytruchtał na stację docelową. Trzeba było z dworca kolejowego dotrzeć na dworzec Pekaesu położony po przeciwległej stronie Miasta. Anielka nie mogła zabrać się zwyczajną komunikacją, przeszkody nie stanowił pies, tu ludzie byli bardziej ludzcy niż w Warszawie, tylko skąpa ilość czasu. Musieli zdążyć na poranny kurs, następny autobus w kierunku Pohory odjeżdżał dopiero przed wieczorem.

Taksówka według licznika kosztowała tyle, co trzysta pięćdziesiąt kilometrów pociągiem plus danina za psa. Zdążyli. W kasie nie zastali kasjerki. Przyjdę później – objaśniła kartka za szybą. Autobus czekał na stanowisku.

– Nie dość takiego smoka, jeszcze bez biletów – groźnie zlustrował ich szofer.

– Kasa zamknięta – jęknęła Anielka.

– Widzieli ich, pobory ze sprzedawania biorą, a na kierowcę robotę zwalają. I jak ja

ciebie, kundlu, zabiletuję, jako osobę czy bagaż? Niech wsiada na pierwszą ławkę, sobace każe pod nogami legnąć.

Pasażerów zebrало się niewielu. Zatłoczony był kurs popołudniowy. Ludzie wracali do okolicznych wsi z pracy, zakupów, od lekarza.

– A dokąd się udaje? – towarzysko zagaił kierowca. Wóz toczył się wąską wstęgą asfaltu pośród lasów wielkiej Moreny.

– Na Pohorę do stanic. Może robotę dostanę – Anielka założyła szelki plecaka. Obciągnął ramiona, przygiął do ziemi.

– Niechaj teraz nie wysiada, zatrzymam na krzyżówce, będzie miała trochę bliżej i tak się udźwiga z takim kominem na plecach.

– Dziękuję – wychodząc z wozu chciała położyć banknot na desce rozdzielczej.

– Nie trzeba – odsunął jej rękę kierowca.

Popatrzyła w ślad za malejącym autobusem. Przyjazny odruch nieznanego człowieka padł razem z ciszą poranka dobrym ziarnem w skamieniałe serce Anielki.

Poszła gościńcem, rosa lśniła na polach, czekały psy uwiązane przy uprawach na postrach dzikim zwierzętom wyjadającym zasiewy, bo Puszcza była wokoło, odpowiadał im baryton Bryśka, pośród zagonów z nie uformowaną jeszcze w główki kapustą śmigały zające, pod bezchmurnym niebem wisiał skowronek nieruchomo jak zaczepiony na nitce. Śpiewał. Na przydrożnych drzewach trelowały ptaki. Zwężił się trakt w zagajniku, dalej zamknęły nad głową gonne sosny.

13.

Sygnalem dźwiękowym opowiedziała się brama, w dofonie pojawiła twarz. Zamknęłam oczy. Omam. Przeczekać. Zaraz minie. Nie minęło. Za furką stał Kalif. Młodzieńczy. Urodziwy. Nie zmieniony.

Nie pamiętałam barwy tamtej niszczącej miłości, nawet na chwilę nie potrafiłabym jej wskrzesić, nie czułam żalu ani nienawiści, tylko jedno pragnienie, niechaj zniknie z wizji i nigdy więcej się nie pojawia. Odejdź! Zawróć, omiń mój dom. Nie posłuchał. Był. Targał dzwonek. Powtórzyłam zaklęcie. Nie poskutkowało.

Minęło zaskoczenie, opanowałam panikę, został niepokój. Jak mnie wytropił? Może któryś z dealerów Narkos usłyszał o Joannie przypadkiem albo Serge. Niemożliwe. Pieniądze płaciłam przekazem. Bywałam rzadko. Niczym nie wyróżniająca się, w powszednim dzinsie, bez makijażu, nigdy samochodem. Przede wszystkim ze względu na Lunzego i nowe otoczenie. Głupia, dlaczego taka głupia i od razu nie powiedziałam o Joannie. Później brnęłam, jakby artystka z *Calypso* była bardziej do przyjęcia niż artystka z *Calypso* z dzieckiem. Na początku, dopiero co wyciągnięta z klubu, bałam się. Lunze nie zdzierży kolejnego obciążenia i odprawi. Po artystce można zatrzeć ślady, dziecko jest ciągłym wyrzutem. Wyobrażałam sobie, że tak pomyślałby Lunze.

Odwiedziny rozstrajały, byłam nieszczęśliwa i chora. Najpierw dziecko nie chciało się nawet zbliżyć. Przed rozstaniem nie mogłam rozpleść obejmujących rąk. Czepiało się kurczowo, dygocąc od szlochu.

Powiedzmy, namierzył małą, ale w jaki sposób trafił na Grünewald. Co wiedzieli o mnie opiekunowie Joanny? Na Kreuzbergu-art dorobiła się bachora, teraz ukrywa, gdzie pracuje. Jest dziwką w nocnym tinglu, zjawia się rzadko, nie zapowiedziana, ukradkiem, jak wiele pracujących w dupiznesie dziewczyn z przychówkiem, trzymanym na garnuszku u obcych. Mogli też znać inne szczegóły i więcej, niż sobie wyobrażam.

Na ekranie wciąż trwała ta piękna, nie tknięta przez czas głowa, a ja? Nałożyłam perukę, spojrzałam w lustro. Poprawiłam szal. Końce spływały na plecy aż po brzeg domowej sukni. Tej jesieni moda sprzyjała mojemu nieszczęściu, nadal nosiło się spódnice do kostek i różne chusty ze zwiewnych tkanin.

Nie wpuszczę, w końcu sam odejdzie. Carli raz na zawsze zakazałam otwierać nawet tureckiej sprzątacze. Automat od wejścia miałam prawo uruchamiać tylko ja. Nikomu nie pozwolę narzucać swojej obecności. Nie dam się tyranizować.

Znowu targnął dzwonek.

Strusi odruch niczego nie załatwił. Najwyżej odwlekał w niewiadome. Skoro zadał sobie trud odnalezienia mnie po kilku latach, nie zrezygnuje. Przyjdzie znowu. Może w mniej stosownym czasie. Teraz przynajmniej nie zaskoczy nas Lunze. Odprawia swój długo wyczekiwany triumf na jesiennym salonie de'Lescara. Triumf za pośrednictwem sfalszowanej Evi Kovacs, oszustki, złodziejki cudzej tożsamości. Nie pozwolę się zniszczyć.

Zadzwoiłam na Carlę. Ma pozostać w służbówce. Nie wołana zawsze zachowywała się, jakby jej nie było. Jeszcze tylko jedno spojrzenie w lustro i wgniotłam przycisk zwalniający blokadę wjazdu. Kalif wsiadł do auta, szary mercedes przetoczył się przez linię ogrodzenia, fotokomórka zatrzasnęła wrota, Kalif ubrany w srebrzystopopielaty szewiot, o ton jaśniejszy od barwy samochodu, wbiegł na stopnie tarasu, pchnął drzwi zwolnione przez automat, zmierzał ku przeznaczeniu, czego jeszcze nie byliśmy świadomi ani on, ani ja.

Czekałam w hallu. Za plecami trzy wąskie jak strzelnice witrażowe okna ledwo rozrzedzały półmrok, odcedzając blask poprzez błękit, fiolet, czerwień, zieleń i ugier szyb.

– Anielka! – od progu szedł z rozłożonymi ramionami. Stałam nieporuszona, wstrząśnięta. To imię odkryło drogi, jakie go przywiodły. Nie szukał mnie, przyjechał do sobowtóra. Do głupiej, naiwnej dziewczyny, jaką i ja kiedyś byłam, jeszcze jednej ofiary. Kiedy ją złowił?

– Proszę – nie sprostowałam pomyłki, ruszyłam w głąb domu, w salonie stanęłam na wprost niego w świetle dnia wypełniającym pomieszczenie przez dwie pary przeszkłonych ogrodowych drzwi.

Zamilkł. Przyjrzał mi się uważnie, zorientował, że nie jestem tą, której imię wymienił, lecz jeszcze nie rozpoznał. Pewno był zaskoczony, doznał zawodu, może nawet pomyślał, że dziewczyna podała nieprawdziwy adres. Jednak żadne uczucie nie odbiło się na jego twarzy.

– Podobna. Jesteś jej siostrą? – wciąż jeszcze nie odnajdywał mnie w pamięci. Jeszcze nie. Nie wiem, czy w tamtym ułamku czasu, zdezorientowanego, z chwilowo utraconą pewnością siebie, mogłam się pozbyć, ale już nie chciałam.

Masz go, sam przyszedł, nie strać szansy – pomyślało moje Ono. Nie mogłam się rozeznąć, co powinnam rozumieć przez szansę w tych okolicznościach.

– Evi Kovars-Müller – powiedziałałam wbrew zamiarowi. Niech wie, poradziłam sobie. Nie zeskapałam na Barkentyne, osiągnęłam Grünewald. Jaka jeszcze z dziewczyn

wdeptanych przez nich w bruk nocnego miasta potrafiła tego dokonać.

Patrzył na mnie, coraz mniej rozumiejąc.

– Anielka jest moją dublerką.

Naprawdę nie poznał, aż tak bardzo zmieniły mnie lata. Przecież nie minęło ich znowu tak wiele! Przygasiła choroba. Twarz, ramiona, ręce miałam czyste. Szyję osłaniał szal, głowę peruka z moich własnych włosów ściętych przy samej skórze, kiedy zaczął się nieżyt. Jeszcze trochę, przypomnę się, przypomnę, nie zmarnuję okazji, spotkanie w sposobnych warunkach może się już nigdy nie powtórzyć. Już nigdy się nie powtórzy.

– Honey!

Spośród wspomnień o różnym towarze wreszcie wydostał i dopasował nazwę dla mnie, chociaż najprawdopodobniej owo miano służyło wielu zdobywcom.

– Honey, jak ja po tobie rozpaczałem!

– Przecież nie umarłam.

– Utonęła, powiedział Serge. Zwrócił twój paszport – znowu z ramionami uniesionymi jak do uścisku postąpił ku mnie. Czar nie działał. Utonęła! Może rzeczywiście taki miał być kres łączniczki wpisanej do milicyjnej pamięci.

– Siadaj – do tej chwili nie wiedziałam, jak bardzo nienawidzę Kalifa.

– Wyjaśnij, co się właściwie stało. Serge nie był dla ciebie dobry? Uciekłaś, a mnie okłamał. Nie daruję! Nigdy ciebie nie zapomniałem, Honey!

Ledwo znosiłam tego Miodka. Aż mnie skręcała trywialność zawołania, które kiedyś, nie do wiary, było szczęściem.

– Co chcesz od mojej dublerki?

– Teraz, kiedy odnalazłem ciebie, nieważne.

– Ona podała mój adres?

Posiadłość miała dwa numery, przy dwóch różnych ulicach równoległe ograniczających dwa skraje. Odkąd zmuszona przez Lunzego przeniosłam się do domu pod attyką, w mur ogrodzenia od zachodniej strony, podczas jednej nocy w miejsce na stałe zaryglowanej furty wbudowano bramę oraz przejście dla pieszych z dovifonem i fotokomórką. Portiernia przy Hausstrasse pozostała po drugiej stronie wraz z pawilonem mieszczącym studio i moje mieszkanie.

Od samego początku nie lubiłam domu pod attyką, jakby przeczuwając tutaj miejsce, w którym z wolna przemieniać się będę w cień siebie samej.

Wściekła i rozżalona wysiedleniem, na odchodnym zdołałam zdemolować szatnię w pawilonie, wyciąć storczyki w odebranych skrzydle zimowego ogrodu. Po awanturze Lunze

kazał część moich mebli przenieść pod attykę. W taki sposób odwojowałam trochę swoich rzeczy. Zawłaszczone mieszkanie uzupełnili nowymi sprzętami.

Wtedy niebieski de-er stwierdził koniec remisji i zaostrenie stanu. Ciekawe, jakby się poczuł, gdyby z dnia na dzień chcieli go pozbawić własnego łóżka.

Mimo zaostrenia stanu, nie próbowałam zniszczyć nowej bramy, chociaż znienawidziłam widomy symbol mojej nowej sytuacji i zupełnego odizolowania. Rozumiałam, nie potrafię uszkodzić nawet ażurów odlanych w brązie, dostosowanych do stylu budynku i ogrodzenia.

Teraz doświadczyłam podobnych uczuć w miarę słuchania człowieka, który odrzucił mnie jak zużytą rzecz i znowu zamierzał żerować. Pasożytował, jak oddychał! I pomyśleć, kiedyś sama jego obecność oddziaływała niczym hipnoza i była całym moim światem.

Miłość to chemia organiczna, wydzielina gruczołów wewnętrznych, rodzaj haju wytwarzanego w organizmie, chytry zabieg natury służący prokreacji. – Pocieszały się dziewczyny w *Calypso* nowym doniesieniem prasy i marzyły o jedynej, pięknej miłości.

Słuchałam Kalifa. Umiałam słuchać. Tylko bez pośpiechu. Najpierw dowiedzieć się, co zagraża. Anielka podała tylko swój adres. Po raz pierwszy pomyślałam o niej jej imieniem. Nie rozpraszać się na drobiazgi, nie czas na analizy własnego wnętrza. Uważać, co on mówi. Kiedy przy Hausstrasse nie odezwał się nawet dovifon, objechał kilka ulic, trafił do nowej bramy.

– A gdyby i tutaj nikt nie otworzył?

Nie odpowiedział. Wyraźnie wytracony z roli przeznaczonej dla kogoś innego, nie pasującej do sytuacji, w jakiej się znalazł, nie przygotowany na spotkanie z przeszłością, na której dawno postawił krzyżyk, a najpewniej zapomniał o odległym epizodzie, zdawało się bez dalszego ciągu. Nagle ujawniony w najmniej spodziewanym miejscu skomplikował, może nawet przekreślił, jakiś plan. Jednak dezorientacja nie trwała długo, już oswajał się z nową rzeczywistością.

– Jak ja po tobie rozpaczam – mówił o tęsknocie, szaleństwie bezsilności, bólu utraty, ze smagłej twarzy patrzyły na mnie oczy z czarnego pluszu w najpiękniejszej oprawie. Bez trudu przerzucił kładkę do Honey. Znowu był egzotycznym dżentelmenem z warszawskiego Forum, zakochanym, orientalnym Nababem. Tylko nie wziął pod uwagę, że mnie tamtej już nie ma, a gra tania.

Siedział przede mną mężczyzna przystojny, z gatunku tych zbyt ładnych, mężczyzna ze słabością do kruszcowych ozdób. Na przegubach rąk, w gorsie, na palcach i w mankietach nosił kilkadziesiąt karatów platyny, korespondującej ze srebrzystą szarością wigoniowego

szewiotu ubrania i popielatym lakierem mercedesa, pachniał Yardleyem, może trochę za mocno, obserwował wrażenie, jakie wywierał, i nie potrafił ukryć rozczarowania z powodu braku zachwyty dla jego osoby.

– Masz męża? Jesteś z kimś związana. Stąd ten szyk i w ogóle – wyjaśnił zagarniając gestem salon i moją rezerwę. Zniknął oszalały z bólu, niepokieszony kochanek, pojawił się bliźniak Jasnego, rzeczowy, chłodny. Wyraźnie miał jakiś nowy projekt i wiązał go ze mną, skoro Anielka okazała się kimś w rodzaju służby.

– Jestem foto-modelką – nie mogłam sobie odmówić satysfakcji. – Nigdy nie widziałeś moich zdjęć?

– Może i widziałem, nie skojarzyłem. Zresztą zawsze brakowało czasu na pisma, nawet ilustrowane – to nie był jego ulubiony temat. Rozmówić się potrafił w kilku językach, czytać nie umiał w żadnym, co starannie ukrywał. Od rozumienia słowa drukowanego w ich tandemie był Jasny.

– Klasa domek. Trochę zaniedbany, elegancka dzielnica. Twoje? – nie tracił czasu. W poprzednim i zmodernizowanym naprędce pomyśle najważniejsza była posiadłość.

– Tak. Własność hipoteczna – i tego nie mogłam sobie odmówić. Zresztą teraz już bez znaczenia, jakich wiadomości udzielę mu o sobie, jeszcze tylko chciałam sprawdzić, czy zaraz użyje ich przeciwko mnie. Nie użył.

– Grünewald piękne, drogie miejsce, ale nie powinnaś zrywać kontaktu z Serge. Jesteś mi coś winna.

– Mianowicie?

– Firma, dla jakiej oboje pracowaliśmy, nie przewiduje jednostronnej rezygnacji z umowy. Nikt nie może sobie odejść, kiedy zechce. Musisz naprawić błąd.

– Niczego nie muszę. Nie jestem tak słaba, jak by można sądzić.

– Ani tak silna, jak ci się wydaje. Mówię poważnie. Przez ciebie straciliśmy kanał, towar, ludzi. Naraziłaś nas na kolosalne straty, więc teraz oczekujemy od ciebie pomocy.

– A jeśli się nie zgodzę?

– Nie zmuszaj mnie do ciężkich argumentów.

– Jakich? – chciałam się dowiedzieć, co za bat ukrecił, odkąd się znalazł w moim salonie i zamiast świeżego mięsa spotkał spisana na straty kurierkę, kogoś, kogo nie spodziewał się nigdy zobaczyć.

– Powinnaś zaaprobować moje propozycje, Honey. Dla dobra wszystkich – ostatnie słowo podkreślił szczególnym tonem.

Czy miał na myśli moje dziecko? Czasami było bólem, tęsknotą i ściśnięciem serca,

przeważnie jednak nierzeczywistością, ale istniało, a ja jestem mu dłużna prawo do jego cząstki świata.

– Za ile?

– Przecież nawet nie wiesz, o co chcę cię prosić.

– Nietrudno się domyślić. Amfi, prawda?

– Skład. Przechowanie. Miejsce dostawy i odbioru. Hurt oczywiście. Zapewniam bezpieczeństwo, szczegóły dopracujemy. Kontakt bezcieniowy, tylko dasz klucze. Naszych ludzi nie będziesz widywała.

– Weź pod uwagę obecność stałej służącej. Carla mieszka na miejscu. Poza tym dwa razy w tygodniu przychodzi turecka sprzątaczką i Impresario. On ma dyskietkę do wszystkich zamków.

– Lepiej, niż myślałem. Najwyżej wymienimy turecką sprzątaczkę na inną turecką sprzątaczkę albo pozostanie ta sama.

– Więc ile jestem warta?

– Dużo. Dokładnie wycenimy twoją stawkę dopiero po zorganizowaniu ruchu. Ale, ale, czy ty w ogóle jadasz?

– Obiad przywożą z restauracji – nie czekając na zgodę Kalifa zatelefonowałam do szefa kuchni, zamówiłam kilka dań i odpowiednie wino, chociaż na miejscu miałam wcale niezły zapas.

– Nie zapomniałaś, co lubię – stwierdził słysząc o szampanie i kawiorze.

– Jesteś moim gościem.

Przyjechał do Anielki, nie wiedział, że spotka Honey, a więc nie mógł przedtem nikomu powiedzieć o odnalezieniu mnie na Grünwaldzie, ale jego plan ze składem w posiadłości foto-girl nie ulął się a vista. Został pomyślany dla dziewczyny, która pochwaliła się moim nazwiskiem artystycznym i podała adres. Projekt przeniósł na mnie dopiero na miejscu, pod wpływem faktów. Kto jeszcze, poza nami dwojgiem, wie o zamiarze? Z pewnością Jasny.

– Mały prezent dla ciebie – Kalif podał kopertę.

– Co to jest?

– Twoja dublerka – rozwinął fotografie w wachlarz. Para ludzi zatrzymana okrucieństwem kamery w najintymniejszych scenach. Wyrazna twarz Anielki i niezbyt wyrazna partnera. Zdjęcia wykonano fachowo, z pewnością nie robił ich amator.

– Istotnie, prezent mały. Chcę negatywy – szantaż przygotowano na Anielkę w najpierwszej wersji zdobycia dogodnego terenu na przechowywanie towaru. Jeśli nie miłość,

to zdjęcia miały nakłonić dziewczynę do podporządkowania się tyranii Narkos.

Podobizny mojego sobowtóra, nawet bez kamerowego makijażu, to ja. Dużo pieniędzy zapłaciłoby każde skandalizujące pismo za takie kadry z Evi Kovars. Już widziałam te tytuły. Niech to diabli! Lunze dostałby ataku szału i nadciśnienia. Suvenir Kalifa oprócz wymiernej oceny miał swoją wymowę, uważaj, nie próbuj mnie wyrolować, Honey.

– Nie próbuję i... będę ci wierna aż do śmierci.

– Po obiedzie chcę obejrzyć posiadłość.

– Tak. Pokażę ci, jest duża.

Głupia naiwna dziewczyna dała się schwytać jak owieczka. Jeszcze jedna ofiara. Sieć prymitywna, ale mocna. Jak jej nienawidziłam jeszcze niedawno, o wściekłość przyprawiało samo brzmienie imienia. Niechaj nie powtarza mojego losu. Trująca miłość niszczy, kogo dotknie. Przez nią ugodziła znowu mnie. Anielka ściągnęła nieszczęście na moją głowę, ale właśnie teraz zabrakło dla niej nienawiści. Widocznie wszystkim potrzebowałam dla innych. Ono dostało prawdziwego wroga. Ile osobowości, tyle odmian schidzo – tłumaczył błękitny de-er. To nie schidzo, to samoobrona. Spróbuję... niemądra jak i ja kiedyś. Spróbuję uratować chociaż moją legendę.

– Interesują mnie negatywy.

– Nie mam przy sobie. Ale dostaniesz. Przyrzekam.

– Kiedy?

Zwlekał z odpowiedzią, utracił ostatnią szansę. Carla zadzwoniła na obiad.

– Czy mam podawać? – sakramentalne pytanie, na które zawsze odpowiadałam przecząco. Czekala w jadalni jak zwykle ubrana w typowy strój pokojówki, drobna, dziewczęca. Nikt nie domyśliłby się w niej chłopca. Gorące potrawy w naczyniach pod pokrywami stały na elektrycznym podgrzewaczu, przekąski na kredensie.

– Otwórz wino i przynieś kawior – patrzyłam, jak Carla powoli odkręca drut ubezpieczający zamknięcie butelki, przytrzymując party w górę korek.

Byłam poza czasem, widziałam wszystko jakby z oddalenia, jednak bardzo wyraźnie i bardzo szczegółowo. Nie odczuwałam nic. Zanim odeślę stąd Carlę, niechaj poda dwa kielichy Wschodniego Cesarstwa, niechaj rozstrzygnie przypadek. Rosyjska ruletka. On albo ja. Zawsze jeszcze zdążę niebezpieczny usunąć albo zamienić, jeśli wyrok losu okaże się niesprawiedliwy. Nie mogłam jednak podjąć gry z przeznaczeniem, bo to ja byłam przeznaczeniem.

Sięgnęłam do serwantki, wewnątrz wyłożone lustrzaną taflą trzykrotnie powtórzyło moją twarz i dłonie unoszące bizantyjskie kratery za złożone podstawy, duży palec lewej ręki

dotknął wieńca kaboszonów, wyczuł chropawość niedoszlifowanej powierzchni na jednym z opali.

– Możesz odejść – powróciłam do stołu w chwili, gdy z głuchym plaśnięciem ustąpił korek. Wyjęłam z rąk Carli dymiącą butelkę i struga bladeżłotego wina spłynęła do naczynia. Za Carla zamknęły się drzwi.

– Zdrowie – podniosłam puchar i piłam duszkiem. Kalif także wypił do dna.

– Zakręciło mi się w głowie – roześmiał się, nakładając swój ulubiony małosolny kawior ze stojącej na lodzie kryształowej misy, przy czym grudę ciemnych ziaren strącił na obrus. To jeszcze nie było nieskoordynowanie ruchów, jednak coś bardzo bliskiego. Smarował masłem pszenny chleb, rosił cytryną kopczyk ikry na talerzu. Jadł, tylko odmówił wina.

Dolałam sobie do pełna, chociaż i napój, i jedzenie rosły mi w ustach. Pod gardło podchodził strach. Jeśli środek zadziała zbyt słabo i on zacznie podejrzewać. Kogo? Jedzenie z knajpy, wino otwierane na jego oczach. Ale on nie może stąd wyjść. Nie może.

– Uchył okno – wykrztusił, opadł na oparcie z odchyłoną głową. Kęs chleba wysunął się z ręki.

– Wszystkie otwarte, co ci jest?

Odetchnęłam. Bałam się, że psychotropy z nasennymi, zgromadzone przeciwko pielęgniarce sprowadzonej przez Lothara, utraciły swoje właściwości przeleżawszy jakiś czas pod rozetą na dnie czary. Każda pomieściła proszek ze zmielonych kilku pastylek. Moją dozę stanowiły dwie drażetki. Cały zbiór zmieściłam w trzy kraterki.

Niekiedy zabawiałam się wyobrażaniem Anielki, Lunzego, Haniga pijących u mnie wino z antycznych naczyń. Żeby doświadczyli, zwłaszcza Lothar, który napuścił na mnie Klawichę z dyplomem, jak to jest, gdy za przyczyną pigułek bez smaku i zapachu, aby łatwiej je wtłoczyć w delikwenta, człowiek zaczyna istnieć poza istnieniem. Lecz nigdy w myślach nie wychodziłam poza tę granicę. Może gdzieś, w głębi mojej świadomości, kiełkowała już wiedza, jak postąpię później z porażonymi oszołomieniem, ale pragnienie odwetu, poczucie zagrożenia czy krzywdy nie sięgały cudzego życia.

Kalif zwałił się z krzesła. Uczty nie będzie. Wyłączyłam podgrzewacz pod wazami nietkniętych potraw.

– Wstań, wytrzeźwiejesz na kanapie – nie ufałam mu, może nie był aż tak oszołomiony, tylko udawał. Przejrzał mnie i... z pewnością miał broń.

Poruszył ustami, usiłował coś powiedzieć, z wielkim mazołem wydobył zza nieruchomych warg pytanie, którego bardziej się domyśliłam, niż zrozumiałam.

– Dlaczego?

– Upiłeś się – nawet nie próbował usiąść. Był bezwładny i ciężki, nie mogłam go unieść, pociągnęłam do sąsiedniego pokoju, ale nie udało się dźwignąć na sofę. Pozostał na dywanie. Nieruchomy. Sprawiał wrażenie kukły porzuconej w zagraconym pokoju nazywanym biblioteką. Stało tu trochę niemieckojęzycznych książek poprzedniego właściciela. Po jego śmierci budynek sprzedano z całym inwentarzem, w tym ze zniszczonymi meblami sprzed półwiecza, brzydkimi i bez wartości, które już niczemu nie służyły, lecz szkoda było wyrzucić. Całej willi pod attyką należał się remont. Póki mieszkalam w pawilonie, projekt odnowienia tych wewnątrz umieściłam na końcu długiej listy potrzeb.

Narastało znużenie, wsparłam się dropsem, chociaż o tej porze nigdy nie brałam. Poczułam się lepiej. Mogłam pomyśleć, co robić dalej. Doza, zdawałoby się zabójcza, nie zabiła. On żył i mógł się obudzić.

Musiałam pozbyć się Carli.

Zeszłam do przyziemia mieszczącego izbę dla służby. Carla siedziała pod oknem w starym klubie zabranym z biblioteki, czytała książkę, jedną z pozostawionych przez poprzedniego właściciela. Poznałam po oprawie. *Młodość krok Henryka IV* Heinricha Manna – dostrzegłam tytuł tłoczony na czerwonej skórze złożoną szwabachą. Fotel pozwoliłam jej wziąć, sama wyreperowała. Na książki też wyraziłam zgodę.

– Teraz nie jesteś potrzebna, Carla. Skorzystaj z wolnego.

Lunze powrócić miał z Paryża nie wcześniej niż za kilka dni, a jeśli nawet zjawi się pod nieobecność Carli, będzie musiał to przeżyć.

– Od kiedy?

– Od zaraz.

– Tak, proszę pani – nie dała po sobie poznać, jeśli nawet zaskoczyła ją nagła decyzja.

– Masz tu trochę pieniędzy, kup sobie coś ładnego albo przepij – wetknęłam jej w rękę zwitek banknotów. Warta była dodatkowego wynagrodzenia. – I możesz wziąć mój samochód – drugi samochód, kuchenny, Lunze zawłaszczył dla sobowtóra, szoferowała Milo.

– Dziękuję pani.

– Zweiga chcesz zabrać ze sobą?

– Ależ nie. Zaraz odniosę na półkę.

– Dobrze się składa, jest właśnie potrzebny – wzięłam od niej książkę. Nie mogłam pozwolić, aby teraz weszła do biblioteki. Poza sypialnią i alkową pokoje leżały w amfiladzie. Można je było obejść dookoła, zaczynając i kończąc w sieni.

W hallu roznieciłam ogień na kominku. Czekałam na wyjazd Carli, czas ciekł niewiarygodnie pomału. Poczułam ulgę, gdy na ekranie dowifonu zawarła się brama za autem z Carłą. Byłam w miarę swobodna. Zaskoczyć mógł mnie tylko Lunze.

Kalif wciąż żył. Nie miałam wyjścia, sięgnęłam po Hero. Sześć ampulek przezroczystego płynu, gotowych do podania. Produkt najwyższej jakości, ostatniej generacji, kupiony, zanim jeszcze mogłam pomyśleć o Kalifie. Dlaczego go kupiłam? Nie wiem. Ja zawsze bałam się igły.

– Przedawkowałeś – przez wigoniowy szewiot rękawa wbiłam w ramię szprycę. Tłok wolno przesuwiał się po podziałce od dziesięciu do zera. Nie czułam ani żalu, ani nienawiści, nie myślałam o finale tego, co robię. Nie. Jakbym wrywała trujący chwast. Odbierał światło skazując na śmierć rośliny tylko dlatego, że wykiełkowały zbyt blisko. Przeciągnął strunę, coś jak z wytrzymałością materiału.

– Zatraciłeś miarę.

Dorzuciłam drew na palenisko kominka. Zapłonęła sucha brzezina, cisnęłam w płomienie dokumenty Kalifa. Nie znalazłam przy nim bronii ani negatywów fotografii Anielki, ani żadnego adresu w Berlinie. Zwrócił uwagę zegarek. Okazał się niebezpieczny. Z obu stron uchwyty naciągowe miał jeszcze dwa podobne, na tarczy diodę trochę większą niż łebek od szpilki. Służył nie tylko odmierzaniu czasu, reklamowałam kiedyś podobne cacka. Zaniosałam go pod kominek, ostrożnie, jak grzechotnika, położyłam na granitowym fragmencie posadzki, ciężkimi szczypcami do główki rąbnęłam w cyferblat, jeszcze raz i jeszcze, dioda na tarczy mignęła krwawo, zdążyła przesłać jeden jedyny impuls, który zarejestrował gdzieś czujnik świetlny lub dźwiękowy. Za mało, jeśli dobrze pamiętam, aby odbiornik zdołał namierzyć współrzędne. Stukłam czasomierz na miazgę, usunęłam szczątki. Obejrzałam bransolety, spinki, klips od krawata i sygnet. Drugiego sygnalizatora nie było.

Czekałam, aż się ściemni.

Odcięłam płyty folii z zapasu przygotowanego na zimowe osłony wrażliwych krzewów, zabrałam worek styropianowych wiórów, wszystko przyniosłam do biblioteki. Kalif leżał w nie zmienionej pozycji, patrzył na mnie. W nieruchomych oczach odbijało się światło. Nie żył.

Ileż musiało się zdarzyć. Lunze, dyplomowana Klawicha, psychotropy z nasennymi, kratery Wschodniego Cesarstwa, Hero. Wszystko dalekie od siebie, szantaż Kalifa splótł je w jeden ciąg mocny jak powróż. Ten, który chciał mnie znowu uzależnić, tym razem nie przez skłamaną miłość, leżał u moich nóg i nie mógł już szkodzić nikomu.

Myślałam bez emocji o przebytej drodze od zaślepionego kochania, bezkrytycznej

wierności, po kres sprawiony nawet bez uczucia nienawiści. Teraz podłużny pakunek w ogrodniczej folii zatracił nawet charakterystyczny kształt ludzkiej sylwetki dzięki styropianowym wiórom i kartonowej osłonie. Kończyłam oklejać toból przylepną taśmą, kiedy odezwał się telefon.

Dopóki nie wciągnę mojego brzemienia do samochodu, nie podniosę słuchawki. Nie ma mnie. Postanowiłam. Kto mógł dzwonić? W Berlinie w ogóle nie miałam zbyt wielu znajomych, a odkąd musiałam nosić szale, pękły i te nieliczne nici, zresztą nigdy zbyt mocne. Jeśli wzywa mnie Lothar? Może wrócił wcześniej. Podbiegłam do aparatu. Męski głos chciał rozmawiać z Anielką.

– Kto mówi?

– Jasny.

Zabrakło mi głosu. Niemal u moich drzwi stał rewers Kalifa. Orzeł i reszka. Piekielni bracia syjamscy. Z nagle skurczonego żołądka podniosły się mdłości. Aż do teraz nie pomyślałam, że mogli przyjechać do Berlina razem, Kalif nie wspomniał o nim ani słowem. Polski kuzyn wie, dokąd udał się jego awers. Jest trudniejszym przeciwnikiem. Jasnego nie zaślepia próżność ulubieńca kobiet, potwierdzone latami przekonanie, że jeśli tylko zechce, każda uczyni dla niego wszystko.

– Jesteś tam? – zaniepokoiła go cisza w membranie. Przełknęłam dropsa. Strach płynął moimi arteriami wraz z krwią.

– Nie jestem Anielką.

Myślałam, jak uniknąć spotkania z drugą połową hybrydy, dobrze wiedząc, że daremnie. A skoro wejdzie do mojego domu, nie może opuścić go inaczej niż jako obłożony styropianem bezosobowy bagaż zawinięty w ogrodniczą folię. Nie, już nie przeżyję tortury oczekiwania na rezultat oszołomów.

– Nie jestem Anielką – nie pragnęłam zostać już niczym preznaczeniem i myślałam, czy przyznać się do odwiedzin Kalifa.

– To ją zawołaj.

– Anielki nie ma w Berlinie.

– A kim ty jesteś?

– Znasz mnie.

– Nie przypominam sobie twojego głosu.

– Nieważne, dawno mnie nie widziałeś, ale pewno chcesz wiedzieć, czy był tutaj Kalif – już się opanowałam, już podjęłam decyzję. Łagodny golfsztrom krążył w żyłach, mój lęk odpływał z jego prądem, powoli zanikała fala paniki.

– Właśnie.

– Był, zapowiedział się na wieczór i kazał ciebie zawiadomić, jeśli się odezwiesz – wstępowałam na kruchy lód, lecz usiłowanie zwłoki mogło obudzić podejrzenie.

– Już jest wieczór.

– Przekazuję wiernie, nie odpowiadam za treść – nie mogłam nakłaniać Jasnego do przyjścia, tylko tak prowadzić rozmowę, żeby się sam wnącił. I mieć trochę czasu, trochę czasu, trochę czasu. Radiotaxi. Sklep z bronią gazową. Spotkać Jasnego w półmroku hallu. Wypalić w twarz. I dziesięć centymetrów najczystszej Hero. Przedawkowanie. Później samochodem Kalifa nad znane jezioro.

– Dokąd go poniosło?

– Nie powiedział.

– Na którą się umówił?

– Dokładnie nie określił.

– Wspominał, abym przyszedł do ciebie? – Jasny zwlekał, wahał się, sprawdzał, coś mu się nie zgadzało. Niedobrze. Gotów przyjechać z jakimś cynglem, wtedy już nie poradzę. Zostały tylko dwa puchary podprawione prochami.

– Nie. Słuchaj, jeśli on się pokaże, powiem, że o niego pytałeś. Pasuje? – zaryzykowałam, chociaż jeśliby się zgodził, później, skoro wciąż nie byłoby Kalifa, jego nieufność wzrośnie.

– Nie pasuje.

– To siedź na dupie i czekaj. Sam się do ciebie odezwie. I nie trzymaj mnie przy słuchawce, mam lepsze rzeczy do roboty.

– Nie jesteś zbyt gościnna.

– Proszę, możemy poczekać na Kalifa razem.

– Ale z kim ja właściwie rozmawiam? – Wymieniłam prawdziwe nazwisko. – Trzeba było od razu. Jesteś sama?

– Sama. Właśnie w związku z projektami Kalifa wyprawiłam służącą na urlop.

– Zaraz u ciebie będę – zaraz mogło oznaczać kwadrans, pół godziny albo pięć minut, zależy, z jakiego punktu miasta telefonował.

– Przy okazji kup po drodze rosyjską, koniecznie małosolną ikrę, taką, jaką lubi Kalif. Najświeższą mają w Kadewe, jeśli wiesz, gdzie to jest. Knajpa, w której zamawiam jedzenie, nie ma dobrego kawioru, a ja zostałam bez samochodu. Musiałam oddać pomocy domowej, żeby ją spławić, własnego jeszcze się nie dorobiłam. Nowa gastarbeiterka – rzeczywiście w Kadewe mieli znakomity towar, lecz ja próbowałam zarobić trochę czasu. Ten elegancki

magazyn znajdował się dość daleko od mojej posiadłości.

Mówiłam tonem lekkim ze świadomością strasznego bagażu w pokoju bez klucza, wystygłego obiadu w jadalni, wozu Kalifa na podjeździe. Nie widziałam możliwości przeszkodzenia Jasnemu, gdyby najpierw chciał obejrzyć dom.

Odłożyłam słuchawkę, wewnątrz mnie ruszył stoper. Każda czynność musiała być szybka i celowa. Przede wszystkim ukrycie rulonu z ogrodniczej folii. Nie odczuwałam żalu ani wyrzutów sumienia, ani grozy popełnionego czynu i kolejnego zamiaru, miałam pewność, że nie drgnie mi ręka przy napełnianiu drugiego pucharu.

Najtrudniejsza i najbardziej deprimująca była techniczna część zadania ze świadomością bliźniaka na karku. Na płachcie śliskiej folii bez wysiłku przeciągnęłam ciężar z biblioteki przez jadalnię, hall i marmurowe flizy tarasu. Zabrakło siły na dźwignięcie brzemienia do mercedesa. Wtoczyłam jednak po zaimprovizowanej pochylni ze starej deski do prasowania opartej ukośnie o najwyższy z trzech stopni tarasu i otwarty kufer wozu. Szczęśliwym trafem spostrzegłam ją w komorze ogrodniczej biorąc plastik.

Zwłoki już utraciły elastyczność, nie dały się ułożyć, ale ruchome, uchylone oparcie przedłużało wymiar bagażnika o szerokość tylnego siedzenia. Pakunek leżał wzdłuż. Wóz wprowadziłam do garażu. Reszta poszła błyskawicznie.

Zebrałam naczynia, wiaderko z roztopionym lodem i napoczętą butelkę szampana, ściągnęłam ze stołu splamiony ikrą obrus, rozpostarłam świeży. Zawartość wraz z nietkniętymi potrawami pochłonęła kuchenna wirówka rozdrabniająca resztki, skąd bezpośrednio ściekały do przewodu kanalizacyjnego.

Biegiem pod prysznic, peruka, drops, makijaż, świeże ubranie. Tempo przyswojone w czasach, gdy jeszcze nie byłam sławna. Czarny aksamit sukni wieczorowej zdawał się pochłaniać wszelkie światło. Wysoko sięgający wykładany kołnierz, podwiązany długim szalem z białej gipiury, zakrywał szyję. Podsyciłam ogień na kominku, nie miałam już nic do roboty. Kapały sekundy, może minuty, może w ogóle ustał czas. Dropsy dawcowane rozsądnie podtrzymywały spokój, przygotowałam się na najgorsze.

Jasnego nie zapowiedział sygnał, pojawił się na ekranie dovifonu dopiero na podjeździe. Nie otwarła się ani brama, ani furta.

– Jak wszedłeś?

– Niekonwencjonalnie. Przez mur. Ostatni po rozgrodzeniu Berlina.

– Przesada. Na Grünwaldzie znajdziesz więcej takich murów. Wyłączyłeś sygnał alarmowy?

– Skąd wiesz?

– Końcówkę ma najbliższy komisariat, w przeciwnym razie oprócz hałasu mielibyśmy na karku glinówek – w rzeczywistości strażników firmy ubezpieczeniowej, ale dla jego wiadomości lepiej brzmi połączenie z policją. – Tylko zdążyliście się pokazać, już niszcycie. Przekonująco rozpoczynasz bezcieniowy kontakt obiecany przez Kalifa.

– Niczego nie uszkodziłem, tylko zablokowałem.

Czułam niebezpieczeństwo, nie mogłam odgadnąć przyczyny nieufności Jasnego. To było coś więcej, to było podejrzenie.

– Wszystko znów wróci do normy – obiecał. Przypomniałam sobie. Podobno kiedyś studiował elektronikę, dziewczyny i Amfi okazały się intratniejsze.

– Zaprosiłam cię jak człowieka, ty wdzierasz się niczym gangster, czemu zawdzięczam ten chamski Wersal?

– Obejrzę dom, idź pierwsza. Jeden podejrzany ruch, zastrzelę. Nie żartuję.

Też daleka byłam od żartów. Wyraźnie coś się Jasnemu nie zgadzało, Szczegół niesłychanie znaczący. Jeśli prędko nie odgadnę sedna, ciężko przepłacę niewiedzę, a ten ujdzie, będzie szkodził dalej.

Zaczął od strychu.

– Żadne drzwi nie mają kluczy?! – przyjrzał się w piwnicy łebkom butelek ukośnie spoczywających w leżakach na półkach.

– A czego się spodziewałeś, sztab i wrzeczadźwów? To nie więzienie, tylko prywatna posiadłość foto-girl. Wybierz jakąś flaszkę, muszę się napić, zanim mnie zabijesz.

– Nie miej mi za złe.

– Ależ skąd! Jestem zachwycona – w myśli odtwarzałam naszą rozmowę przez telefon, nie znalazłam nic, co mogłoby wskazać powód takiego zachowania.

Jasny sięgnął po butelkę w kształcie spłaszczonej kropli. Rękaw kurtki odsłonił zegarek, z obu stron uchwyty naciągowe miał dwa podobne i ledwo widoczną na cyferblacie diodę. Pulsowała czerwono. Taki sam niedawno rozbiłam na granitowej osłonie wpojonej w podłogę przed kominkiem. Czyżby Jasny szukał Kalifa na strychu i w piwnicy? Znaczy, że przyjął jeden jedyny sygnał. Ale dlaczego na jego rękę wciąż miga szkarłatem maleńkie oczko?

– Może być armagnac?

– Wszystko jedno. Tu nie ma kiepskiego alkoholu.

– Widzę.

– Mam dość zaliczania pajęczyn i schodów. Wracam do hallu. Chcę się napić i zamówić kolację, Kalifa tylko patrzeć – ruszyłam po stopniach w górę, nie oglądałam się za

siebie. Nie strzeli. Jeszcze nie teraz. Poszedł za mną na parter.

– Kalif stąd nie wyjechał. Jego obstawa ręczy.

Przestałam się łudzić. Oni nie przyszli bez przygotowania. Mieli rozeznanie przynajmniej w topografii. Dałam się złapać na wyjaśnienie Kalifa, że okrążył teren i w ten sposób odkrył drugie wejście do posiadłości zapisanej na moje imię. Pewno wiedzieli o mnie dużo, zanim zdecydowali przypomnieć o sobie i zmusić do ponownej współpracy, chociaż niewykluczone, wszystko zaczęło się od Anielki.

– Oczywiście nie wyjechał, tylko wyszedł. I nie przez najbliższą furtę, tylko od Hausstrasse – prawie w ostatniej chwili zrozumiałam, co się Jasnemu nie zgadzało. Samochód. Musiał wysłać impulsy, podobnie jak cholerny zegarek.

– Gdzie mercedes?

– W podziemnym boksie.

– Otwórz.

– Niestety Kalif zabrał ze sobą dyskietkę od zamka – nie bałam się zbytnio o garaż. Jego blokady nie było na ogólnej tablicy, moc pobierał wprost z sieci, wysiadłaby elektryczność w całej dzielnicy, gdyby wykopano kabel, co raczej nie wchodziło w rachubę, przynajmniej w najbliższym czasie.

– Kiedy wraca służąca?

– Carla za tydzień. Impresario mniej więcej w tym samym czasie. A teraz weź na wstrzymanie, muszę zatelefonować do restauracji.

– Nie masz w domu nic do jedzenia? Widziałem pełną lodówkę – położył rękę na aparacie.

– Dla Kalifa chciałam coś ekstra.

– Zdązysz zamówić, gdy się pojawi, a kawior przywiozłem taki, jak sobie życzyłaś, mam w wozie.

– Przyniesiesz, gdy wróci Kalif.

Wyjął z kieszeni dużą płaską kostkę.

– Na razie w porządku... – zagadał do tego przedmiotu przypominającego domino. – Czekamy... nie, najwyżej pół godziny, niech będzie...

Wyjaśniło się, nie przyjechał sam, miał obstawę, nie wiedzieć jak długo sterczeli w pobliżu, teraz pewno także chcieli jeść. Odpuścił ich na pół godziny, może wytargowali i trochę więcej. Może się wymienią. Tak czy inaczej będą tkwić, wreszcie spróbują wejść. Nie ma mowy o wyjeździe, nie przemknę nie zauważona, zwłaszcza mercedesem Kalifa, nad najbliższe jezioro o przystępnym brzegu, dostatecznie głębokie dla każdego samochodu, jeśli

nie jest kontenerowcem.

Niechaj się dzieje, co chce, nic mnie nie zatrzyma. Ogarnęła mnie determinacja. Zginiesz, jeśli wypijesz z bizantyjskiego krateru. A innych kieliszków tu nie ma, usunęłam z serwantki wszystko szkło. Później będzie, co zapisano w gwiazdach. Jeśli na zewnątrz jest jeden, wystarczy i dla niego, jeśli więcej, wystarczy dla mnie.

Dołożyłam dREW do ognia, przyniosłam z jadalni dwa kielichy, wyjęłam korek z wybranej przez Jasnego butelki, nalałam sobie armagnacu, przełknęłam jednym haustem, dopełniłam po brzegi, zaczęłam saczyć.

– A ja? – upomniał się obserwując moje ruchy.

– Obsłuż się sam... Zresztą, jesteś moim cholernym gościem – przechyliłam flaszkę nad jego pucharem.

14.

Zginęła Wielka Gwiazda Anielka.

Z katastrofy podniosła się inna dziewczyna. Ta inna dziewczyna powróciła na Hausstrasse i nie zdradzając się z odkryciem narzuconej jej roli dalej już świadomie brała udział w mistyfikacji. Nikomu nie szkodziła, najmniej zaś tamtej, Szalonej, podobno niezdolnej do pracy przed kamerą.

Udawanie nie budziło w nowej Anielce moralnego niepokoju, tylko dzień po dniu coraz większe uprzedzenie do Haniga. Ale nie zapytała o Szaloną, nie wyszła poza zakreślone przez pracodawcę ramy. Miała swój prosty plan. Najpierw odrobi stracone oszczędności, wtedy zerwie się z uwięzi splecionej z nieszczęścia Szalonej, pieniędzy i fikcji. Uwolni od oszustwa, uzależnienia, izolacji. Taka perspektywa pomagała trwać i pracować.

– Umieć chodzić, nie potrzebuję nursy, uprzedź Milo – zawiadomiła Haniga zaraz po powrocie do domu na Grünewaldzie, jakby poprzednio wyłącznie od niej zależało przydawanie jej opieki. – Nie życzę sobie ogona. A więcej na ten temat nie będę rozmawiała.

– Zmieniłaś się, Anielko.

– Tak. Dorosłam.

Hanig bez słowa położył przed nią dyskietkę do furty i odtąd Milo przestała warować przy otwartym garażu lub oczekiwać w aucie. Anielka nie prosiła o samochód. Nie czułaby się jeszcze pewnie w wielkim ruchu Berlina, więc nawet nie wspomniała nikomu tutaj o świeżym prawie jazdy. Ale też zależało jej, aby nie korzystać z czegoś, czego wyraźnie nie stanowiła umowa.

– Czytasz Manna w oryginale?! – wbrew pozorom Hanig uważnie przypatrywał się nowej Anielce. Nie mógł uwierzyć, widząc rozłożoną w kuchni książkę, którą przeglądała przy obiedzie.

– Mhy – chociaż ukrywała przeobrażone ja, nie oparła się pokusie. Otworzyła tom na stronicy zaznaczonej zakładką i zaczęła czytać płynnie tekst zgodnie z rytmem mannowskiej frazy i zupełnie niezłym akcentem.

– Brawo – aplauz zabrzmiał blado, Hanig nie zdołał powściągnąć niechętnego podziwu. Kiedy opanowała język? Może nawet, zanim ją spotkał, i zataiła z siebie wiadomych

powodów, Milo także niczego nie spostrzegła albo nie chciała. Ten pień pracowity i lojalny ma swoje fanaberie. Nie bierze napiwków, nie donosi, nie pytany w ogóle nie mówi. Solidarność gastarbeiterów.

Nie, nie bał się. Jeszcze czego. Firma dobrze płaci. Anielka, nawet znając niemiecki, nie znajdzie intratniejszego zajęcia, nie otrzyma pozwolenia na pracę. Ona o tym wie. Nikt, jeśli koniecznie nie musi, nie wyrzeknie się pieniędzy. W każdym razie Hanig takiego nie widział. Może coś podejrzewa, co? Psychą za ogrodzeniem. Bezpłatne mieszkanie w posiadłości na Grünwaldzie w żadnym razie nie daje prawa do ingerencji w sprawy sąsiadów gastarbeiterce korzystającej z dobrodziejstwa tolerowania i zatrudnienia w Republice. I stara prawda, rządzi ten, kto trzyma kasę.

Oczywiście nie byłoby najzręczniejsz, gdyby teraz dowiedziała się, że dubluje znane nazwisko, ale to jeszcze nie koniec świata, najwyżej kwestia podniesienia stawki. Więc nawet ewentualne komplikacje z ujawnieniem niewygodnej prawdy nie niepokoiły Haniga. Bardziej przykra była myśl, że coś mogło się zdarzyć poza nim, bez jego wiedzy, wbrew interesom firmy. I wciąż niedowierzanie, czy to ta sama dziewczyna, naiwna, leniwa, bez ambicji, żyjąca z dnia na dzień obyczajem ważki. Niewłaściwie ją ocenił czy aż tak się zmieniła? Rozważania Haniga miały ścisły związek z wytwornym welinem leżącym od roku w biurku Lunzego i niedawnym faksem z Paryża o potwierdzenie przybycia w bieżącym sezonie.

Zaproszenie słynnej firmy jubilerskiej de'Lescara na jesienny salon nazywany Wielkim, bardzo ucieszyło i nie ucieszyło Lunzego, szczelnie zamknięci w pracowni uradzali z Hanigem. Odkąd Anielka zdradziła się z lekturą Manna w oryginale, strzegli sekretów rozmów. Udział w Wielkim jesiennym de'Lescara był wszystkim najlepszym, czego można sobie życzyć. Pieniądze, rozgłos, wręcz nobilitacja przedsiębiorstwa, fotografika, modelki.

Modelki! Właśnie. De'Lescar życzył sobie imiennie Evi Kovars, nie było mowy o nieporozumieniu, w następstwie czego mogłaby pojechać inna osoba. Wysłanie Anielki wydawało się jednak wielkim ryzykiem. Udana kopia, w niczym nie gorsza od pierwowzoru, stawiała się zbyt niezależna, a to nie leżało w interesie Lothara Lunze.

Firma oprócz grupy profesjonalnie bezbłędnych foto-girls zawsze powinna mieć w pogotowiu kilka kandydatek na ewentualną Supernową, zdolną rozbłysnąć i zastąpić, przy odpowiedniej promocji, nawet najjaśniejszą świecą gwiazdę, ale indywidualności nie rodzą się na kamieniu. Zawsze szukano nowych, teraz jednak przed paryską Jesienią próbne zdjęcia różnych dziewczyn przywożonych i wywożonych ze studia przez Milo były przede wszystkim na użytek Anielki, żeby jej rogi nie urosły. Ale i tak urosły. Anielka wiedziała swoje. Mimo maskujących manewrów z plejadą Nowych, Młodych, Pięknych, na jesienny

Salon de'Lescara pojedzie ona.

– Przyda się twój niemiecki. Zdaje się, że nie unikniemy zaprezentowania cię szerszej publiczności – uprzedził Hanig przed wyjazdem.

– Ohne mich! Niechaj twój Lunze dalej zmyśla moje życiorysy, ulubione zajęcia, zwierzęta i sporty, nawet po francusku. Ale beze mnie.

– Przewraca ci się w głowie.

– Możliwe. Ale o wywiadach nic nie ma w kontrakcie. Możesz sprawdzić.

– Oczywiście nie będę cię zmuszał, ale przecież możesz coś dla mnie zrobić.

– Nie chcę.

– Nie rozumiem cię, Anielka.

– Ja siebie także przestałam rozumieć.

– Wcale nam nie zależy na prezentowaniu ciębie prasie. Trochę tajemniczości dobrze robi na zainteresowanie, ale przecież nie mogę ukrywać modelki, imiennie zaproszonej przez de'Lescara – nareszcie dowiedziała się, dlaczego jedzie do Paryża.

– Twój łągarz coś wymyśli.

– Jak sobie wyobrażasz *reception* po pokazach?

– Przyjąć też nie ma w kontrakcie.

Kierowała nią nie tylko chęć dopieczenia Hanigowi, owszem, przynosiło złą radość obserwowanie niezadowolenia i jak trzyma na wodzy irytację. Powściągliwość fotografika wyznaczała miarę jej pozycji. Jednak nie tylko gorycz dyktowała zachowanie, lecz przede wszystkim strach przed ujawnieniem prawdy, przypadkowym zderzeniem skóry Evi Kovars. Wstydziała się udziału w kłamstwie i drżała w obawie wykrycia mistyfikacji. Zależało jej tylko na jednym, zarobić pozostając w cieniu i odejść jak cień, bez kompromitacji.

Wielki Jesienny de'Lescar radykalnie odmienił raczej powściągliwego Haniga. W każdym razie planował nie tylko wywiady ale oficjalne przyjęcie, ustalał listę kamer, fleszy, dziennikarzy, jakby już wygrał Grand Prix i nie bał się wyszperania prawdy o jego pierwszej modelce.

– Nibelung pieprzony.

– Co mówisz?

– Nic ważnego – obserwowała go jak okaz w słoju. Połknął wyróżnienie i spuchł. Prawda, nie zapraszają byle kamery, to ranga i on jest naprawdę bardzo utalentowany, tylko żeby nie pękł z pychy. Teraz utwierdził się w przekonaniu, że byle kocmołucha potrafi przerobić na dzieło sztuki. I właśnie przerobił ją, Anielkę. Zgarnięte spod hotelu bezpieczeństwa, którym zastąpił uszkodzony pierwowzór. Półbóg. Może nawet kompletny Bóg. Kreuje i

strąca. Jej nawet nie musi strącać, ona jest nikim, właściwie nie istnieje, chociaż zabrał ją do Paryża.

Nie miała złudzeń, w tym zawodzie nie czekała jej żadna przyszłość. Jeszcze przez bliżej nieokreślony czas pomurzynuje w cieniu cudzego nazwiska i na cudze dobro.

Co dalej? Coraz częściej zadawała sobie to pytanie. Nie znosiła owych rekolekcji, nie zawsze jednak dawały się zepchnąć w niepamięć. Perspektywa jawiła się nieciekawa, trzeźwo oceniała swoje możliwości, wychodziło zawsze na jedno. Trzeba się uczyć. W tych warunkach mogła się uczyć tylko niemieckiego. Więc doskonaliła niemiecki. Po powrocie do domu zda maturę i będzie studiowała germanistykę, postanowiła.

Do fachu przychodziły dziewczyny coraz młodsze, dwunasto-, trzynastoletnie, niektóre robiły krótkie, oszałamiające kariery, rozbłyskując na jeden sezon mocnym światłem, i gasły w zapomnieniu. Ich twarze, ich ciała zastępowały inne twarze, inne ciała, na szczycie utrzymywały się nieliczne. Należała do nich Evi Kovars, dlatego wynaleziono duplikat i Anielka skutecznie broniąc jej imienia, własnego nie dorobi się już nigdy, bez szans na otworzenie własnego rozdziału.

Teraz powinna powiedzieć dość i odejść.

Powracał niepokój, czy kiedykolwiek znajdzie dość siły, aby rzucić zajęcie przynoszące pieniądze, jakich z pewnością już nigdy i nigdzie nie zarobi. Przypominając własne rozważania o wolności, wyrzucała sobie brak charakteru, chciwość, duszę raba. Nie czuła się wolna. Sama sobie nałożyła pęta i nie była pewna, czy potrafi je zrzucić.

W Paryżu niewiele czasu miała na Paryż.

Większość dnia spędzali w podziemnej komorze osnutej niewidoczną siecią czujników świetlnych i dźwiękowych, okami fotokomórki. Starszy pan de'Lescar, skarbnik, w asyście strażników przynosił i zabierał z powrotem kolejne komplety biżuterii. Gestem nabożnym, jakby odprawiał misterium, srebrnowłose pan o wąskich dłoniach pianisty w smokingu z granatowego aksamitu, manikiurowanymi palcami barwy kości słoniowej, otwierał etui, unosił z welurowych podściółek rozmigotane kolie, diademy, brillolety, kanaki, pierścienie, bransolety i umieszczał na Anielce. Hanigowi nie wolno było odpiąć czy zapiąć naszyjnika, jeśli chciał coś poprawić lub zmienić, zgodnie z jego wskazówką czynił to skarbnik.

Podczas gdy precjoza znajdowały się na Anielce, skarbnik i jego goryle siedzieli wpatrzeni w cenneści, jakby Hanig albo Milo niczym sztukmistrze mogli wymienić klejnoty na nic nie warty stras. Anielce chciało się śmiać z zabiegów przypominających jakiś rytualny obrzęd i bardziej czynionych dla tego obrzędu niż z potrzeby, ileś metrów pod ziemią, w pancernym bunkrze odpornym na ogień, oddzielonym od wyjścia na powierzchnię stalowymi

grodziami i osobną windą.

Ludzie za ciężkie pieniądze nabywają kłopoty, szczerze dziwiła się Anielka bez szczególnego wrażenia obnosząc przed kamerą kosztowności, jakie mogło kupić najwyżej kilkaset osób na świecie, i nie bardzo rozumiała poddających się owej tyranii. Ciekawe, czy bogate kobiety, które stać na wyroby de'Lescara, także mają skarbnika i ochronę pilnującą na nich klejnoty. Co do niej, nie była zachwycona trzema parami obcych oczu, świadków jej przeważnie skąpo przyrodzianej nagości. Haniga także uwierała ich obecność, pocił się, denerwował, chleptał kawę, pocił, powtarzał do znudzenia ujęcia i z niczego nie był zadowolony, i wszystko go drażniło.

– Un soleil de beauté... – na zakończenie zdjęć uśmiechnął się do Anielki srebrnowłosy skarbnik obierając z niej karaty. Prezentowały się kusząco na dziewczęcym kształcie odzianym wyłącznie w biżuterię.

– Co on mówi? – Anielka odpowiedziała Francuzowi swym najładniejszym kamerowym uśmiechem.

– Piękno jest nieśmiertelne, a ty mogłabyś pozować do postaci pierwszej z trzech Gracji, gdyby J.B. Carpeaux tworzył swoją rzeźbę dzisiaj a nie sto dwadzieścia lat temu. Monsieur de'Lescar senior oglądał twój posąg w Musee du Petit Palais dawno temu, być może nie było cię jeszcze na świecie, a w ogóle cieszy się i poczytuje sobie za zaszczyt, że cię poznał – niespodziewanie włączyła się Milo, zanim Hanig, zaskoczony nieznanymi właściwościami służącej, zebrał się do wydukania czegoś zbliżonego do przekładu.

Anielka podziękowała seniorowi de'Lescar już prywatnym, nie służbowym uśmiechem, chociaż stanowczo dość miała podobieństw i wolałaby nie budzić skojarzeń nawet z kimś tak zamierzczłym jak modelka J.B. Carpeaux. Jednak obiecała sobie pójść do Muzeum w małym pałacu.

Skończyły się sesje zdjęciowe. Plon pracy fotografików z kilkudziesięciu krajów trafił do agencji i pism. Wyselekcjonowane fotosy zastrzeżone wyłącznie dla de'Lescara udekorowały ściany pomieszczeń recepcyjnych w Palais de Richelieu, gdzie miała odbyć się gala, modelki zeszyły na daleki plan i nikt się specjalnie o nie nie ubiegał.

Prasa oblegała przedstawicieli elit, które jak co roku zjechały do Paryża.

Jesienią, oprócz jubilerów, inne ekskluzywne branże również prezentowały swoje wyroby. Sztukę, rękodzieło, rzemiosło, dobra wytwarzane dla najwyżej kilku tysięcy ludzi na świecie. Urządzano pokazy, salony, wernisaże, wystawy, galerie, eksponując przedmioty wyjątkowe, jedyne w swoim rodzaju, dostępne dla najzamożniejszych. Wykwintne targi przyciągały osoby znane z czołowych stron gazet i najpierwszych doniesień tele-radiowych.

Rzadko spotykany zjazd z wierzchołka finansjery, polityki, sztuki, sławnych idoli, przywódców, władców.

Anielka miała przed sobą kilka wolnych dni przed wytwornym wieczorem wydawanym przez de'Lescara w Palais de Richelieu, gdzie za najlepsze zdjęcia głosami dostojnych gości miały zostać przyznane nagrody firmy oraz publiczności fotografikowi i modelce.

W niepamięć poszły niedawne strachy przed demistyfikacją, nie wiedzieć kiedy stają w niej opór, zaczęła obmyślać, w co się ubierze na ową galę, i doszła do wniosku, że nie ma żadnego, ale to żadnego stroju, który byłby odpowiedni na prawdziwe, pierwsze w życiu *reception*.

Wyszła na miasto. Piękne, w dobrym gatunku rzeczy kosztowały bardzo drogo. Kompletny strój ze stosownym obuwiem i dodatkami mogła kupić w jednym magazynie nie wychodząc dalej niż dwieście metrów od pensjonatu. Jedno było pewne, aby się dobrze ubrać, wystarczyła godzina. Uspokojona tym faktem pozostawiła sprawę Hanigowi.

Po wszystkich butnych zapowiedziach nieuczestniczenia w spotkaniu u de'Lescara głupio było zjawić się w hotelu ze stertą charakterystycznych pudeł. Zrećniej, aby o jej obwolucie zatroszczył się Hanig. Jeśli chce, by wzięła udział w galowym wieczorze, a nie wątpiła, że chce, niechaj się zajmie oprawą swojej modelki. Jeśli Hanig poprosi, wyrazi zgodę łaskawie, ale bez żadnych fumów.

Pojednana z losem, z podniecającym uczuciem oczekiwania na uchylenie kulis do Wielkiego Świata, ujrzenia z bliska upostaciowionych nazwisk, tytułów, Wielkości lub Małości nadających ton kontynentowi, pojechała do Musee du Petit Palais, aby przyjrzeć się sobie.

Nie odnalazła podobieństwa. Modelka Carpeaux miała inną twarz, urodę wedle kanonu minionego wieku. Anielka patrzyła na wysmukły kształt pierwszej Gracji, wysokie małe piersi, szlachetną linię ramion, łuk biodra, długie nogi, piękne wiązanie kolan, cienkie kostki i wykwitającą jak kwiat szczupłą stopę. Poczuli się obdarowana przez Francuza tą harmonią.

Przy Trzech Gracjach ułowił jej zapatrzenie przypadkowo zabłąkany fotoreporter. Nawet ją rozpoznał, ponieważ Anielka wyniosła do miasta swoją kamerową twarz z głęboko ukrytą nadzieją na podobne spotkanie.

– Ty się wystawiasz u de'Lescara? – zaczął z nonszalancją starego wyjadacza. Nawet nie próbował robić wywiadu, nie był od interviewów, tylko od obrazków, i zaproponował wypicie czegoś w pobliskim bistro – tyle zrozumiała Anielka z jego szybkiej

paryskiej wymowy.

– Non – wytłumaczyła najdelikatniej jak umiała, ale on zrozumiał tylko non. Wschodzący reporterski as poczuł się dotknięty, pożegnał Anielkę zimno, ale zdjęcie podpisane: Czwarta Gracja, dostarczył do serwisu. Miało powodzenie, zamieściło je wiele pism, także zagranicznych. Nie zastanawiała się, jak zareaguje Hanig.

W dniu gali u de'Lescara Anielkę wcześniej podniosło z pościeli oczekiwanie na wieczorne przyjęcie. Pod prysznicem zdecydowała, jak się ubierze. Najwyższy czas kupić stosowną sukienkę, skoro Hanig nie przejawiał dotychczas inicjatywy.

W południe wezwał Haniga Lunze. Ich pensjonatu szef firmy nigdy nie zaszczylił. Z grupą modelek mieszkał u Ritza. Hanig powrócił stamtąd ponury jak gradowa chmura.

– Nie przestrzegasz umowy – pokazał Anielce pisma ze zdjęciem zrobionym poprzedniego dnia w Musée de Petit Palais.

– Przypadkowy reporter.

– Kamerowa twarz należy do mnie. Jest moją własnością! Ja dotrzymuję warunków. Nie chciałaś wywiadów, nie było, nie chciałaś, nie pójdziesz na galowy wieczór.

Ty cholerny jezuito, nie rozplacę się, nie dam ci tej satysfakcji – mężnie przełknęła zawód. Właściwie nie powinna mieć pretensji, wpadła we własne sidła. Hanig zemścił się za wszystkie: – nie chcę – sprzed wyjazdu.

– Wracam na Hausstrasse.

– Usiądziesz na de i nie wychylish nosa poza pokój w pensjonacie. Milo dopilnuje, żeby tutaj nie doskoczył żaden pieprzony gazeciarz. I będziesz siedziała tak długo, dopóki nie powiem dość. Jeśli ci się nie podoba, możesz wracać do Warszawy, ale już na stałe.

Ani razu dotychczas nie wytoczył takiej kolubryny, nawet w największym rozdrażnieniu, tym bardziej groźba przeraziła Anielkę. Nigdy nie zarobi tyle u siebie. W kraju liczba bezrobotnych przekroczyła dwa miliony. Nie mogła wracać bez znaczącej sumy na koncie, zwłaszcza teraz, gdy miały być przyznane nagrody de'Lescara, więc położyła uszy po sobie.

– Sadysta – powiedziała, gdy Hanig nie mógł jej słyszeć.

– On w strasznych nerwach wrócił od Lunzego – zamruczała Milo.

– Szef mu nasobaczył za jedno zdjęcie?

Nawet najlepsze prasowe fotografie żyją krótko, zwłaszcza w Paryżu. Odbitki z podpisem Czwarta Gracja, zamieszczone w porannych pismach, posłużyły za pretekst do zastosowania rygorów. Hanig mógł sobie tylko wieszować. Duplikat Evi Kovars przyjął się. Senior de'Lescar, odmotując Anielkę z biczów pereł, porównał ją z posągiem, co w tym

kontekście oznaczało wyróżnienie przez króla. Im więcej takich uznań, tym naturalniej dokona się zamiana ról. Dublerka, dzięki której nie odeszła w niepamięć Evi Kovars, w istocie utalentowana fotomodelka, zespoli się ze znanym nazwiskiem artystycznym.

Owszem, rozgniewał się na Anielkę za samowolę, za włóczenie po mieście w kamerowym makijażu, ale nie miałby serca pozbawić dziewczyny galowego wieczoru. Przecież widział, jak dzielnie udając obojętność aż piszcziała, żeby tam pójść. Należało jej się.

Hanig zdawał sobie sprawę z trudności. Anielka, nieobyta z inwazją obiektywów, mogła stracić głowę i mimo instruktażu nagadać głupstw, stremowana zachować się niezręcznie albo wypaść jak ciele, co mogłoby się wydać co najmniej dziwne komuś pamiętajacemu Evi Kovars, chociaż na dobrą sprawę od czasów tamtej dziewczyny upłynęło kilka lat. Wieczność w tym zawodzie. Okrutnej decyzji Haniga nie podyktowały ani te zastrzeżenia, ani przypadkowa fotografia: Czwarta Gracja.

– Coś niedobrego przydarzyło się Evi – Lunze czekał na Haniga w hallu u Ritza, Spieszył na samolot do Berlina odlatujący z Orły za kilkadziesiąt minut, dojazd przez zakorkowany w południe Paryż zabierał dużo czasu.

– Wrócisz na raut u de'Lescara?

– Nie jestem pewien.

– Ale co się właściwie stało?

– Nie wiem. Telefonował adwokat. Będzie oczekiwał na Tempelhof. W sprawie jest policja.

– Policja? Dawno mówiłem, żeby ją zamknąć w dobrej szwajcarskiej klinice.

– Odkąd sprowadziłeś duplikat, nie miałem sumienia. Evi nie była niebezpieczna, miewała długie okresy remisji. Zresztą sam wiesz.

– Wiem – Lunze był gwarantem kredytu zaciągniętego przez Evi na kupno posiadłości, obiektywnie biorąc nabytej wręcz okazji, lecz i tak ponad stan Evi. Zgodnie z klauzulą umowy niewypłacalność automatycznie przenosiła tytuł własności oraz zobowiązania, czyli nie uregulowane raty, na gwaranta. Odkąd Evi przestała pracować, Lunze spłaty sygnował swoim nazwiskiem, ale nie spieszył się z wejściem w prawa. Gdyby się rozniosło, byłoby dla firmy złą reklamą. Chora dziewczyna wyzuta z dorobku. Należało oczekiwać, aż umrze jej popularność albo ona sama zatruta opiatami.

Ale Hanig odkrył małą, jak Lunze uporczywie nazywał Anielkę. Eksploatacja dublerki przynosiła duże pieniądze. W tej sytuacji Evi nie należało ekspediować do Szwajcarii. Tymczasem wobec perspektywy awansu Berlina do rangi stolicy kraju wartość majątku wciąż rosła.

- Przypilnuj reklamy, nie zabieraj małej do de'Lescara i schowaj przed prasą.
- Czego się boisz? Istnienia dublerki?
- Skandalu. Pozostaniecie w Paryżu, dopóki sytuacja się nie wyklaruje.
- Nie trać głowy. Evi Kovars od tygodnia przebywa w Paryżu. Na Grünewaldzie pozostała chora dublerka. Oczywiście dla prasy.
- To wyjaśni się dopiero na miejscu. I, da Bóg, obędzie się bez prasy.

Obie nagrody, de'Lescara i publiczności, przyznano fotografikowi z Berlina i jego modelce Evi Kovars z firmy Lothara Lunze. Hanig w błysku fleszów i terkocie kamer przyjął z rąk seniora de'Lescara prestiżowe wyróżnienie. Nieobecność modelki przemknęła prawie nie zauważona. Wystarczyło zdawkowe usprawiedliwienie.

– Niedyspozycja. Przeziębła się – naga Anielka okryta tylko biżuterią spoglądała z powiększonych fotosów.

No tak, niezdrowe są te jubilerskie podziemia, zwłaszcza dla skąpo ubranych dziewczyn.

Senior de'Lescar wyraził ubolewanie i życzenia szybkiego powrotu do zdrowia tej wspaniale zbudowanej dziewczyny o prześlicznej derrier i cudownie pięknej szewelurze.

Nagrodę Anielki stanowiły turkusy oprawne w złoto i kilka metrów najprzedniejszego jedwabiu z Lionu w olśniewającym pudle wielkości stołowego blatu z kokardami po rogach.

– Wygląda przyzwoicie, ale robota maszynowa made in Hongkong. Wszystko razem najwyżej pięć gramów złota, a turkus, wiadomo, nie brylant – Hanig podkreślał nieświatłość wyrobu.

Oprawa inspirowana starożytnymi ozdobami Inków pochodziła spod sztancy. Ukształtowana wypukło z cienkiej, złotej blachy sprawiała wrażenie litego kruszcu.

Anielka przymierzyła naszyjnik, bransoletę, pierścioneł i zausznice. Kamienie zostały dobrane do barwy oczu Evi Kovars, czyli soczewek noszonych do zdjęć przez Anielkę. To było wyróżnienie dla Evi Kovars. Anielka odłożyła je z powrotem do etui. Nie miała serca dla tych klejnotów, nie będzie ich nosiła.

– Ja dostałem zegarek z rodowanego srebra i spinki. Także Hongkong. Nie wysiliła się ani bogata firma, ani bogata publiczność. Nie mówię, żeby zaraz coś wielkiego, ale przynajmniej drobiazg z gmerkiem de'Lescara, lecz gmerk de'Lescara wart tyle co karaty, więc oni Hongkong. Gównojady! Firma z tradycjami sięgającymi nieledwie Kapetyngów, a nagrody z Hongkongu! Zboczeńcy – nareszcie mógł dać ujście rozczarowaniu.

- Impreza daje rangę. Sam mówiłeś – przypomniała Anielka.
- Oczywiście. Inaczej nikt by nie ruszył de do tych skąpiradeł.

Niebawem Lunze wezwał ich do powrotu.

Na Tempelhof nie czatowała ani jedna kamera, ani jeden notes. Lunze nikomu nie podał terminu ich powrotu, a Berlin nie miał głowy do idoli, właśnie zaczął czytać akta służb specjalnych byleż Enerde.

– Jutro macie wolne – pożegnał dziewczyny Hanig i odesłał na Hausstrasse. Po drodze zabrały Bryśka z przechowalni.

– Idę po zakupy – Milo poszła do swoich zajęć. Anielka gwizdnęła na psa. Runął jak tornado, lecz nie wybiegł daleko, nie buszował pośród krzewów, trzymał się jej boku, wyraźnie pilnował. Nie dowierzał, ona znowu zginie, jego znowu wsadzą do jakiejś okropnej klatki.

Anielka przystanęła naprzeciw parkanu osłoniętego strzyżoną gęstwą zieleni. Pomyślała: Heniga nie ma, Milo zajęta. Już bez wahania przedarła się przez kolczasty żywopłot i podciągnęła na krawędź ogrodzenia. Brysiek przesadził je w ślad za nią. Nie był już szczeniakiem odpadającym ze szczebla drabiny przeciwpożarowej na górnym tarasie, tylko dużym zwierzęciem o silnych mięśniach. Pokonał przeszkodę, znowu byli razem, znowu kroczył obok niej.

Anielka po raz pierwszy znalazła się na terenie zastrzeżonym dla Szalonej. Mimo woli nasłuchiwała krzyku, ale nic nie mąciło ciszy parku. Budynek pod attyką prześwitywał w głębi przez zasłonę drzew. Stał z zaciągniętymi żaluzjami, cichy, pozamykany, bez życia.

Co z nią zrobili – wywieźli – zamknęli u psychów – umarła.

Pies wysforował się do przodu, z przednią łapą uniesioną ku górze i postawionymi uszami łowił wiatr i oglądał się na Anielkę, przynaglał, objął boki ogonem.

Zza drzew wynurzyła się Milo. Spostrzegła Anielkę, znieruchomiała, zaraz ruszyła ku niej, gniotąc w rękę jakiś papier.

– Do ciebie – podała kopertę, w drugą rozdartą wtłoczyła tamten zmięty arkusz.

– Od kogo? – *dla Evi drugiej*, widniało zamiast adresu. W sztywnej przesyłce wyczuła pod palcami twardy przedmiot.

– Od niej – ruch głową w stronę domu pod attyką.

– Kim ona jest?

– Przecież wiesz. Widziałaś ją w oranżerii.

– Tobie powiedziała, że była w oranżerii?

– Mhy.

– Znasz ją i nigdy nie puściłaś farby, tylko nie mów, że pan Hanig zakazał i tak dalej.

– Przecież nie mówię, a pan Hanig nie ma pojęcia, że ją znałam. Kazała ten list wysłać

do ciebie pocztą, skoro jednak spotkałaś mnie po tej stronie z kopertą w ręku, już wszystko jedno. W każdym razie dla niej.

– Dlaczego?

– Ona nie żyje. Za dużo heroiny.

– Skąd wiesz?

– Wyraźnie napisała. Odchodzę. Bo dla mnie też zostawiła pożegnanie. Kiedyś w karmniku dla ptaków przybiłam drugie dno. Szczelinę zamyka ruchoma listwa. To była nasza skrzynka korespondencyjna. Znajdowałam tam jej wezwania lub wiadomości często zupełnie pomyłone. Jednak jej psych nie trwał ciągle. Bywała często zupełnie normalna, nawet bystra. Gdy Lunze tak nagle wyjechał z Paryża w najważniejszym dniu, a nas pozostawił, tknęło mnie. Lecz nie domyśliłam się aż takiego nieszczęścia. Dzisiaj żadnego z nich tutaj nie ma, więc poszłam sprawdzić. Znalazłam listy. Willa pozamykana, w służbówce siedzi Carla, dziewczyna, którą niedawno przyjęła, bo Lunze nalegał. Dała jej wolne i pożyczyła własny samochód, zaraz potem, jak przyjechał jakiś gość. W prosektorium pokazali Carli trupa, to był ten gość. Drugiego nie rozpoznała, ponieważ nigdy nie widziała na oczy. Podobno faceci od Narkos. Komisarz przygroził Carli mamrem, kazał milczeć i siedzieć w służbówce. Nawet jedzenie jej przynoszą i sprawdzają, czy posłuszna. Ona nic złego nie zrobiła, ale widziała jednego z nieboszczyków, kiedy był zupełnie żywy, no i jest Transs.

– Co znaczy Transs?

– Dziewczyna, tylko w niewłaściwym ciele.

Przejęta Anielka wróciła do siebie, rozcięła kopertę. Wypadła dyskietka ze sztancowanym numerem, wysunęły się fotografie. Anielce krew odpłynęła z twarzy i powróciła falą wstydu. Rozpostarła krzywo złożony arkusz. Pismo nierówne, pojedyncze litery wyskakiwały ponad sztyk, tłoczyły ledwo czytelne, podobnie rozchwiane jak myśli pospiesznie rzucone na papier.

Twoje fotografie. Negatywu ani przy Kalifie, ani przy Jasnym nie znalazłam. Nie bój się. Mój list i swoje zdjęcia spal. Klucz jest od skrytki w moim banku. Ukryłam tam biżuterię, wartościowe przedmioty i pieniądze przed zachłannością mojego wroga, nie on jednak okazał się prawdziwym wrogiem... jesteś mi coś winna... Zabierz moje dziecko z Kreuzbergu... ulica... numer domu... załączam metrykę urodzenia małej. Jej opiekunowie mają zapłacone za pół roku z góry, poświadczony odcinek przekazów pocztowych w skrytce bankowej... Zabierz dziecko i odwieź do mojej matki... I nie mów o mnie źle... Przekaż Lunzemu dyskietkę od skrytki bankowej... niechaj wszystko, co mam, zdeponuje albo umieści na dobry procent i zapisze na dziecko, i płaci za nią... Powinno tego wystarczyć na wychowanie małej... Lunze

niech wszystko zorganizuje, to nie jest zły człowiek. Możesz jemu zaufać, ale niechaj wie, że ciebie prosiłam...

Może nie byłam pełnym człowiekiem, może ty jesteś lepszą częścią, przecież po coś zostało nam dane to podobieństwo, niemożliwe, aby wszystko, co nas złączyło wbrew woli, stało się tylko z przypadku... Zajęłaś moje miejsce, znienawidziłam cię, chciałam dla ciebie źle, dopiero kiedy przyszli ci dwaj, znalazłam się po twojej stronie... Jesteś mi coś winna, oddaj to mojemu dziecku... powinno się uczyć, zdobyć dobry zawód... Wszystko zło, jakie Narkos ze sobą wnieśli, dzięki mnie ominęło ciebie. Pamiętaj. Widocznie: „winien” na moim koncie było bardziej obciążone... I to właśnie ja wymierzyłam im... Też miałam z nimi rachunki, zadawnione, chociaż przyszli twoim śladem. Obaj są teraz ze mną, ale już nikomu nie mogą szkodzić, dużo Hero zastygło w ich krwi i dosyć jeszcze pozostało dla mnie... Jestem śmiertelnie zmęczona, cyngle oczekują na ulicy, nie uda się wywieźć ciała i nawet nie chcę... Nie pozwolę ujść cynglom, poszczuję policję i niechaj się stanie, co ma się stać, ale mnie policja nie dostanie... Nie przeżyłabym włóczenia po gazetach, zamknięcia u psychów... Lunze potrafi załatwić bez skandalu... Mojego domu nie da się uratować, przejdzie na Lothara, mam nadzieję, powiedz mu to, niechaj wie, że zwróci wypłacone przeze mnie pieniądze mojemu dziecku... Jesteś mi coś winna, ocal Evi Kovars, żyj za mnie i nie pozwól się wyzyskiwać, żądaj sześćdziesiąt procent od dochodu, dadzą... z dochodu za twoją pracę... I to już wszystko.
Mirosława.

Mirosława. Na spotkanie z ostatnią Tajemnicą przywołała najpierwsze swe imię, pozostawiając Anielce przybrane, które tak bardzo sobie ceniła.